

Isaac
Bashevis

Singer



Gimpel Gimpel

Isaac Bashevis Singer

Gimpel Głupek

(Przełożył Andrzej A. Zasadziński)

Spis treści

Gimpel Głupek.....	4
Pan z Krakowa.....	16
Żonobójca.....	29
Przy świecach pamięci.....	40
Lustro.....	47
Rodzina małych szewców.....	54
Radość.....	73
Z pamiętnika nie narodzonego.....	81
Starzec.....	88
Pożar.....	95
Niewidzialni.....	101
Słownik.....	121

Gimpel Głupek

I

Jestem Gimpel Głupek. Nie uważam się jednak za głupka. Wręcz przeciwnie. Ale tak wołają na mnie ludzie. Dano mi to przezwisko, kiedy byłem jeszcze w szkole. W ogóle to miałem siedem przezwisk: imbecyl, osioł, ryży łeb, tuman, jełop, pajac i głupek. To ostatnie przylgnęło do mnie na dobre. Na czym polegała moja głupota? Po prostu łatwo mnie było wywieść w pole.

Pewnego razu ktoś mi powiedział: - Gimpel, wiesz, że rabinowa ma właśnie rodzić?

A więc uciekłem na wagary. No cóż, okazało się, że to było kłamstwo. Ale jak mogłem się na tym znać? Rzeczywiście nie było widać, żeby miała duży brzuch. Lecz ja przecież nigdy nie patrzyłem na jej brzuch. Czy to naprawdę świadczy o głupocie? Zebrany tłum ryczał jednak ze śmiechu. Przytupywali nogami, tańczyli i podśpiewywali wieczorną modlitwę. I zamiast rodzynek, które daje się, kiedy kobieta rodzi, wciśnięto mi w rękę kozie łajno. Nie jestem słabeuszem. Jeśli już kogoś zdzielę w łeb, to zaraz cała droga do Krakowa staje mu przed oczami jak na dłoni. Ale z natury, tak naprawdę, to nie jestem żadnym zabijaką. Myślę więc sobie: nie przywiązuj do tego szczególnej wagi. Dlatego też jestem dla ludzi takim łatwym łupem.

Kiedyś wracałem do domu ze szkoły i usłyszałem jak pies szczeka. Nie boję się psów, ale oczywiście staram się nigdy nie wchodzić im w drogę. Można się przecież natknąć na jakiegoś wściekłego i jeśli taki ugryzie, to żaden kozak na świecie nic ci nie pomoże. Tak więc wzięłem nogi za pas. Potem, gdy stanąłem i rozejrzałem się wokół, zobaczyłem, że wszyscy zebrani na rynku aż zanoszą się ze śmiechu. Nie był to żaden pies, ale Wolf-Lejb Złodziej. Skąd mogłem jednak wiedzieć, że to był on? To, co słyszałem, przypominało przecież wyjąca sukę.

Kiedy więc dowcipnisie i prześmiewcy odkryli, że łatwo mnie oszukać, każdy z nich zaczął na mnie próbować szczęścia.

- Gimpel, car przyjeżdża do Frampola!

- Gimpel, księżyc spadł w Turobinie!

- Gimpel, mały Hodel Futerko znalazł skarb za mykwą!

A ja jak golem wierzyłem im wszystkim. Po pierwsze, wszystko jest możliwe, jak napisano w *Pouczeniach Ojców*. Ale zapomniałem już w jaki sposób. A po drugie, musiałem uwierzyć, gdy całe miasto uwzięło się na mnie! Kiedy zaś odważyłem się powiedzieć takiemu: „Ach, żartujesz tylko!”, zaczynały się kłopoty. Ludzi ponosił wtedy gniew. „Co ty sobie myślisz!? Chcesz każdego nazywać kłamcą?” Cóż więc miałem robić? Wierzyłem im i mam nadzieję, że przyniosło im to przynajmniej coś dobrego.

Byłem sierotą. Mój dziadek, który mnie wychowywał, chylił się już do grobu. Zostałem więc oddany do piekarza, a tam dopiero zaczęli sobie na mnie używać! Każda kobieta czy dziewczyna, która przychodziła zapiec garnek klusek, stawiała sobie za punkt honoru, aby choć raz wystrychnąć mnie na dudka.

- Gimpel, w niebie jest targ!

- Gimpel, rabin urodził cię w siódmym miesiącu!

- Gimpel, krowa przeleciała nad dachem i zniosła mosiężne jajka!

Kiedyś uczeń z jesziwy przyszedł kupić bułkę i powiedział: - Wiesz, Gimpel, kiedy ty tu tak sobie stoisz i skrobiesz szuflą w piecu, Mesjasz przyszedł. Zmarli powstali z grobów.

- Co ty mówisz? - odpowiedziałem. - Nie słyszałem, żeby ktoś zadał w barani róg!

Odrzekł na to: - Czyżbyś był głuchy?

Na to wszyscy zebrani zaczęli krzyzczeć: - Myśmy słyszeli! Tak, słyszeliśmy.

W chwilę potem przyszedł Rietze Świecowy i krzyknął chrapliwym głosem: - Gimpel, twój ojciec i twoja matka powstali z grobu. Szukają cię.

Prawdę mówiąc, wiedziałem bardzo dobrze, że coś takiego nie miało miejsca, ale i tak, gdy ludzie jeszcze rozmawiali między sobą, narzuciłem na siebie wełniany kubrak i wyszedłem na dwór. Być może rzeczywiście coś się wydarzyło. Cóż mogłem stracić przez to, że sprawdzę, co się dzieje? Jakaż kocią muzykę mi wtedy urządzili! Poprzysiągłem sobie wówczas, że już w nic nie będę wierzył. Ale to też nie pomogło. Tak starali się mnie skołować, że już nie wiedziałem, co jest prawdą, a co nie.

Poszedłem więc do rabina po poradę.

Powiedział mi: - Napisane jest, że lepiej być głupcem do końca dni swoich niż złoczyńcą choćby przez godzinę. Ty nie jesteś głupcem. To oni są głupcami. Ponieważ ten, co sprowadza na sąsiada niesławę, nie wejdzie do Raju.

Mimo to córka rabina zakpiła sobie ze mnie. Kiedy opuszczałem budynek sądu rabinackiego, spytała mnie: - Czy ucałowałeś już ścianę?

Odpowiedziałem na to: - Nie, a dlaczego?

Rzekła wtedy: - Takie jest prawo. Należy to robić po każdej wizycie.

No cóż, zrobiłem to. Nie widziałem w tym nic zdroźnego. Ona zaś wybuchnęła głośnym śmiechem. To był dobry kawał. Udało jej się ze mną, no i dobrze.

Chciałem się już przenieść do innego miasteczka, ale wtedy wszyscy oszaleli na punkcie swatania, no i wzięli się za mnie z taką energią, że prawie porwali mi poły chałatu. Tak mnie zadręczali gadaniem, że poczułem chlupanie wody w uszach. Nie była niewinną panną, ale wmawiali mi, że to czysta dziewica. Kulała, ale przekonywali mnie, że robiła to celowo z wrodzonej nieśmiałości. Miała bękartą, ale opowiadali, że to jej młodszy brat.

- Traciecie tylko czas! - krzychałem. Nigdy nie ożenię się z tą dziwką!

Odpowiadali na to z oburzeniem: - Jak można się tak odzywać! Jak się nie wstydzisz? Możemy zaprowadzić cię do rabina, żeby ukarał cię grzywną za to, że nazywasz ją takimi słowami.

Zrozumiałem wówczas, że tak łatwo się im nie wywinę, ale pomyślałem sobie tak: Zawzięli się, żeby zrobić ze mnie swojego błazna. No, ale kiedy już jesteś żonaty, stajesz się panem sytuacji, więc jeśli jej to odpowiada, ja nie mam nic przeciwko temu. A poza tym nie można przejść przez życie w nietkniętym stanie. Zresztą, nikt nawet tego od ciebie nie oczekuje.

Poszedłem więc do jej lepianki, która stała na piaskach, a tłum za mną, pokrzykując i podśpiewując. Zachowywali się tak, jakby mieli zwabić zwierza w potrzask. Kiedy dotarliśmy do studni, wszyscy się zatrzymali. Bali się zaczynać z Elką. Jej usta otwierały się bez przerwy, jakby były na zawiasach, a jej język znany był z ciętości.

Wszedłem do domu. Sznury rozwieszono były od ściany do ściany i suszyły się na nich ubrania. Stała boso nad balią i prała. Ubrana była w znoszoną, przekazywaną z matki na córkę, pluszową suknię. Włosy miała splecione w warkocze zebrane do góry i upięte na czubku głowy. Odebrało mi dech w piersi od odoru, który się tam unosił.

Najwyraźniej wiedziała, kim jestem. Spojrzała na mnie i rzekła: - Popatrzcie no, kogo tu mamy. Toż to ten gamoń przyszedł. Weź sobie coś do siedzenia.

Opowiedziałem jej wszystko, niczemu nie zaprzeczałem.

- Powiedz mi prawdę - zwróciłem się do niej - czy jesteś naprawdę dziewicą, a Jechiel, ten psotnik, to rzeczywiście twój brat? Nie staraj się mnie oszukać, bo jestem sierotą.

- Sama jestem sierotą - odpowiedziała na to - i ktokolwiek chciałby mnie wykiwać niech wie, że mu w końcu porządnie utrę nosa. Ale niech sobie też nikt nie myśli, że można mnie wykorzystać. Żądam posagu w wysokości pięćdziesięciu guldenów, a oprócz tego niech zbiorą coś na boku. Inaczej to mogą mnie pocałować sam wiesz gdzie.

Była rozbrajająco szczerą.

Powiedziałem jej tylko: - To narzeczona, a nie narzeczony daje posag.

Ona rzuciła na to krótko: - Nie targuj się ze mną. Albo mówisz „tak”, albo po prostu „nie” i wynoś się, skąd przyszedłeś.

Pomyślałem sobie: Z tej mąki chleba nie będzie. Ale nasze miasteczko nie należy do najbiedniejszych. Zgodzono się więc na wszystko i rozpoczęły się przygotowania do ślubu. Tak się złożyło, że w tym czasie wybuchła epidemia dżynterii. Ceremonia ślubna odbyła się więc przy bramie cmentarnej w pobliżu małego domku, gdzie się myje zmarłych przed pogrzebem. Goście dobrze sobie popili. W czasie, gdy spisywano kontrakt ślubny, usłyszałem, jak najbardziej pobożny rabin zapytał: - Czy narzeczona jest wdową, czy też rozwódką?

Żona szamesa odpowiedziała: - Wdową i rozwódką zarazem.

Była to dla mnie straszna chwila. Ale cóż miałem robić - uciec spod ślubnego baldachimu?

Były tańce i śpiew. Jakaś staruszka tańczyła obok mnie, przyciskając do piersi świeżo upieczoną białą chałkę. Mistrz ceremonii zaintonował *Boże pełen miłosierdzia* w intencji rodziców narzeczonej. Uczniowie rzucali rzepami łopianu jak w czasie Tiszeb'aw. Po błogosławieństwach dostaliśmy mnóstwo prezentów: deskę do gniecienia ciasta, dzieżę, chochłę, szczotki i wiele innych przedmiotów potrzebnych w gospodarstwie. Kiedy rozejrzałem się wokół, zobaczyłem nagle dwóch

młodych dryblasów, niosących koryto.

- Na co to nam? - spytałem.

Odpowiedzieli tylko: - Nie zaprzataj sobie tym głowy. Wszystko jest w porządku, z pewnością ci się to przyda.

Zrozumiałem, że znowu chcą sobie ze mnie zakpić. Pomyślałem: Poczekam i zobaczę, co z tego wyniknie. Przecież całe miasteczko nie może do końca zwariować.

II

Pewnej nocy podszedłem do posłania, gdzie leżała moja żona, ale nie wpuściła mnie do siebie.

- No i popatrz, czy po to nas ożeniono? - spytałem.

A ona odparła: - Mam okres.

- Przecież wczoraj zaprowadzono cię do kąpieli rytualnej, a to odbywa się zwykle po tym, czyż nie tak?

- Dzisiaj to nie wczoraj - stwierdziła - a wczoraj to nie dzisiaj. Możesz się wynosić, jeśli ci się to nie podoba.

Krótko mówiąc, czekałem.

I tak cztery miesiące później już rodziła. Ludzie z miasta z trudem powstrzymywali się od śmiechu. Ale cóż mogłem zrobić? Cierpiała straszne bóle, aż drapała palcami ściany.

- Gimpel! - krzyczała. - Już umieram. Przebacz mi!

Dom był pełen kobiet. Gotowały garnki z wodą.

A ona krzyczała wniebogłosy. Nie pozostawało mi już nic, jak tylko pójść do domu modlitwy i odmawiać psalmy. Tak też zrobiłem.

Ludzie z miasteczka z pewnością byli z tego zadowoleni. Stałem w kącie, recytując psalmy i odmawiając modlitwy. A oni kiwali głowami.

- Módl się, módl - mówili do mnie. - Od modlitwy jeszcze żadna kobieta nie zaszła w ciążę.

Jeden z obecnych włożył mi kawałek słomy w usta i powiedział: - Pasza dla krów.

Na Boga! Muszę przyznać, że był w tym jakiś sens.

Urodziła chłopca. W piątek w synagodze szames stanął przed Arką, uderzył w stół i obwieścił: - Zamożny reb Gimpel zaprasza wszystkich członków gminy na przyjęcie z okazji narodzin swego syna.

Cały dom modlitwy w jednej chwili zagrzemiał śmiechem. Czuję, że twarz mi płonie. Ale nie mogłem na to poradzić. Przecież to na mnie spoczywało zorganizowanie obrzędu obrzezania i związanych z tym uroczystości.

Pół miasteczka się zleciało. Nikogo więcej nie dałoby się już wcisnąć. Kobiety przyniosły groch

zrobiony na ostro z pieprzem. Znalazła się też beczułka piwa z gospody. Piłem i jadłem tak jak inni. Wszyscy składali mi gratulacje. Potem odbyło się obrzezanie i dałem chłopcu imię mojego ojca, niech spoczywa w pokoju. Kiedy wszyscy już sobie poszli i zostałem sam z żoną, wysunęła głowę zza kotary zasłaniającej łóżko i zawołała mnie do siebie.

- Gimpel - spytała - dlaczego siedzisz tak cicho? Czyżbyś stracił cały dobytek?

- A co mam mówić? - odpowiedziałem. - Pięknie mnie urządziłaś! Gdyby moja matka się o tym dowiedziała, to by umarła jeszcze raz.

- Zwariowałaś, czy co? - odparła.

- Jak możesz robić takiego głupca - powiedziałem - z kogoś, kto powinien być twoim panem i władcą?

- Co się z tobą dzieje? - rzekła na to. - Co ci się w tej twojej głowie ubzdurało?

Zobaczyłem, że muszę mówić otwarcie i bez ogródek.

- Czy uważasz, że tak można postępować z sierotą? - powiedziałem. - Urodziłaś bękarta.

Odpowiedziała stanowczo: - Wybij sobie te nedorzeczności z głowy. Dziecko jest twoje.

- Jak ono może być moje? - starałem się dowodzić. - Urodziło się siedemnaście tygodni po naszym ślubie.

Odpowiedziała mi na to, że nasz syn jest wcześniakiem.

- Czyż nie urodził się nazbyt wcześniej? - skwitowałem.

Powiedziała wówczas, że miała babkę, podobną do niej jak dwie krople wody, która również nosiła ciężę tak krótko jak ona. Zaklinała się przy tym na wszystkie świętości, że mówi prawdę, tak przekonująco, że uwierzyłbyś nawet chłopu na targu, gdyby ten poszedł w jej ślady. Ale mówiąc szczerą prawdę, to wcale jej nie wierzyłem, a kiedy następnego dnia rozmawiałem z nauczycielem, powiedział mi, że to samo przytrafiło się Adamowi i Ewie. Do łóżka poszli tylko we dwoje, a wyszło z niego już ich czworo.

- Nie ma kobiety na świecie, która nie pochodziłaby od Ewy - powiedział.

I tak to było; brali mnie za półgłówka. Ale cóż, kto tak naprawdę wie, jak się rzeczy mają?

Zaczynałem zapominać o swym zmartwieniu. Kochałem małego bez pamięci, a on odwzajemniał moje uczucie. Jak tylko mnie zobaczył, zaczynał machać do mnie swoimi małymi rączkami i chciał, żeby go brać na ręce. A kiedy płakał z powodu bólu brzuszka, tylko ja mogłem go uspokoić. Ciągle ściągał na siebie złe spojrzenia zawistnych ludzi, tak że musiałem odwoływać się do znanych magicznych sposobów, aby uchronić go przed złym urokiem.

Pracowałem jak wół. Każdy wie, jak rosną wydatki, kiedy w domu jest dziecko. Nie chcę o tym kłamać; nie czułem również niechęci do Elki, jeśli was to interesuje. Wyzywała mnie i przeklinała, a ja ciągle nie miałem jej dosyć. Jedno jej spojrzenie, a już odbierało ci mowę. A te jej tyrady! Pełne jadu i nienawiści, miały przy tym również jakiś urok. Ubóstwiałem każde jej słowo. Chociaż przy tym krwawo mnie nimi raniła.

Wieczorem przynosiłem jej bochenek białego i ciemnego chleba oraz bułeczki z makiem, które sam piekłem. Kradłem dla niej, zabierając wszystko, co mi wpadło w ręce: makaron, rodzynki,

migdały, ciastka. Mam nadzieję, że będzie mi wybaczone podkradanie z garnków, które kobiety zostawiały w piekarni przed sobotą, aby podgrzać ich zawartość w piecu. Wyciągałem więc kawałki mięsa lub zapiekane, czasami kurzą nóżkę, łepkę czy trochę flaków - wszystko co mogłem szybko chwycić. A ona jadła i stawała się gruba oraz ponętna.

Przez cały tydzień byłem zmuszony spać z dala od domu, w piekarni. W piątek wieczorem, gdy wracałem do domu, zawsze miała jakąś wymówkę. A to męczyła ją zgaga, a to kłuło ją w bok, to znowu czkawka nie dawała jej spokoju lub odchodziła od zmysłów z powodu migreny.

Każdy zna te kobiece wymówki. Przeżywałem z tego powodu gorzkie chwile. Było mi ciężko. I jakby tego było za mało, ten bękart, jej młodszy brat, stawał się coraz większy. Ciągłe starał się mi dokuczyć, a kiedy chciałem go skarcić, ona otwierała usta i zaczynała tak strasznie przeklinać, że ciemniało mi w oczach. Dziesięć razy na dzień groziła mi, że się ze mną rozwiedzie. Inny mężczyzna na moim miejscu już dawno wycofałby się chyłkiem i zniknął. Ale ja jestem typem, który wszystko znosi i nie mówi. Cóż można na to poradzić. Bóg daje ramiona, ale również ciężary, aby je na nich dźwigać.

Pewnego wieczoru stało się nieszczęście w piekarni: wybuchł piec i ledwo co ugasiliśmy pożar. Nie było nic do roboty, więc mogłem iść do domu. Tak też zrobiłem. Niech zakosztuję, pomyślałem sobie, przyjemności spania w swoim własnym łóżku, również w środku tygodnia. Nie chcąc budzić małego, wszedłem do domu na palcach. Kiedy wchodziłem, wydawało mi się, że słyszę chrapanie jakby dwóch osób. Jedna z nich chrapała cichutko, a druga jak zarzynany wół. Oj, nie podobało mi się to. Muszę przyznać, że wcale mi się to nie podobało. Podeszedłem do łóżka i nagle aż pociemniało mi w oczach. Obok Elki leżała, postać mężczyzny. Inny na moim miejscu podniósłby taki krzyk i narobił takiego hałasu, że całe miasto stanęłoby na nogi, ale nagle ogarnęła mnie myśl, że przecież mógłbym obudzić dziecko. Uświadomiłem sobie, że przestraszyłbym taką małą kruszynę, moją małą jaskółeczkę. No cóż, dobrze, powiedziałem sobie. Poszedłem z powrotem do piekarni i rozciągnąłem się na worku mąki. Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Trzęsło mną tak, jakbym miał malarię. Dostyc tego, nie będę już dłużej osłem, powiedziałem do siebie. Gimpel nie będzie frajerem całe swoje życie. Nawet dla takiego głupka jak Gimpel istnieją granice głupoty.

Rano poszedłem do rabina po radę. Wywołało to w miasteczku wielką wrzawę. Od razu przysłano szamesa po Elkę. Przyszła z dzieckiem na ręku. I wiecie, co zrobiła? Zaprzeczyła wszystkiemu. Tak, zaprzeczyła wszystkiemu z kamienną twarzą!

- Zupełnie pomieszało mu się w głowie - stwierdziła. - Ja tam się nie znam na omamach i przywidzeniach.

Krzyczeli na nią, grozili jej, uderzali w stół, ale ona twardo obstawała przy swoim: powtarzała z uporem, że oskarżenie jest fałszywe.

Rzeźnicy i handlarze koni wzięli jej stronę. Jeden z chłopaków z rzeźni podeszedł do mnie i powiedział:

- Mam cię na oku, jesteś jakiś taki niewyraźny.

Wtedy malec zaczął zsuwać się na ziemię i zabrudził się. W sądzie rabinackim stała Arka

Przymierza, więc nie można było tego tolerować i odesłano Elkę z powrotem.

Zapytałem rabina: - Co mam robić?

- Musisz się z nią rozwieść natychmiast - odpowiedział.

Spytałem znowu: - A co będzie, jeżeli odmówi?

- Musisz wysłać jej swoją decyzję na piśmie. To wszystko, co masz robić - stwierdził.

Powiedziałem na to: - No cóż, dobrze, rabi. Niech no tylko pomyślę.

- Nie ma o czym myśleć - odrzekł. - Nie wolno ci pozostawać z nią pod jednym dachem.

- A jeśli będę chciał zobaczyć się z dzieckiem? - spytałem.

- Niech szczerze wszetecznicą - powiedział - a wraz z nią jej pomiot bękarci.

Wydał orzeczenie, że nie wolno mi przekroczyć nawet progu jej domu - nigdy więcej aż do końca dni moich. W ciągu dnia nie przejmowałem się tym zbyt. Myślałem sobie: to musiało się stać, ten wrzód musiał pęknąć. Ale nocą, kiedy rozciągnąłem się na workach, zacząłem odczuwać to boleśnie. Nachodziła mnie tęsknota za nią i dzieckiem. Chciałem się wściekać i złościć, ale na tym polega moje nieszczęście, że tak naprawdę to nie potrafię odczuwać gniewu. Po pierwsze - tak biegło moje rozumowanie - czasami można się pomylić. Człowiek nie jest przecież nieomylny. Być może ten chłopak, który był u niej, mamił ją tylko, dając jej prezenty i Bóg wie co tam jeszcze, a wiadomo, kobiety nie grzeszą rozsądkiem i łatwo dają ponieść się emocjom. Przywidzenia przecież się zdarzają. Z daleka wydaje ci się, że widzisz zarys postaci i kontury, ale kiedy podejdziesz bliżej, wszystko znika, nie pozostaje nic. I jeśli taka jest prawda, to wyrządzam jej krzywdę. I gdy posunąłem się już tak daleko w moim rozumowaniu, zacząłem płakać. Płakałem tak mocno, że zamoczyłem mąkę, na której leżałem.

Rano poszedłem do rabina i powiedziałem, że pomyliłem się. Rabin zapisał wszystko piórem na papierze i powiedział, że jeśli tak się sprawy mają, to będzie musiał sprawę rozważyć na nowo. Zabronił mi zbliżać się do żony, dopóki się z tym nie upora, i pozwolił jedynie na przesyłanie jej chleba i pieniędzy przez posłańca.

III

Minęło dziewięć miesięcy, zanim wszyscy rabini doszli do porozumienia. Listy krążyły w tę i z powrotem. Nie miałem pojęcia, że do załatwienia sprawy takiej jak ta potrzebna jest tak głęboka wiedza.

W tym czasie Elka urodziła jeszcze jedno dziecko, tym razem córeczkę. W szabas poszedłem do synagogi, aby pomodlić się o błogosławieństwo dla niej. Zawołano mnie, abym podszedł do zwoju Tory i dałem dziecku imię mojej teściowej - niech spoczywa w pokoju. Nieokrzesane gbury i krzykacze z miasta, którzy przychodzili do piekarni, dobrze dali mi się we znaki. Cały Frampol

poczuł się lepiej z powodu moich utrapień i kłopotów. Jednakże postanowiłem sobie, że zawsze będę wierzyć w to, co mi mówią. Cóż dobrego jest w tym, że nie wierzysz? Dzisiaj to tylko twoja żona, ale już jutro samemu Bogu zaczynasz niedowierzać. Przez czeladnika, który był jej sąsiadem, przysyłałem żonie codziennie pszenny lub żytni chleb czy też kawałek ciasta, bułeczki lub bajgielki albo, jeśli była okazja, kawałek zapiekanki lub piernika czy weselnego strudla - cokolwiek wpadło mi pod rękę. Czeladnik, dobroduszny chłopak, nieraz dorzucał coś od siebie. Przedtem często mi się naprzykrzał, a to ciągnąc mnie za nos lub dając mi kuksańca w bok, ale od kiedy zaczął odwiedzać mój dom, stał się miły i przyjacielski.

- Hej, ty, Gimpel - mówił do mnie - masz miłą żoneczkę i dwójkę wspaniałych dzieciaków. Ale nie zasługujesz na nich...

- Ale przecież ludzie mówią o niej takie rzeczy - stwierdziłem nieśmiało.

- No wiesz, jakie to ludzie mają długie języki - odparł - i nic nie robią tylko nimi papłą. Niech cię to tyle obchodzi co zeszłoroczny śnieg.

Pewnego dnia rabin posłał po mnie i zapytał: - Czy jesteś pewien, Gimpel, że pomyliłeś się co do swojej żony?

- Tak, jestem tego pewien - odpowiedziałem.

- No, ale słuchaj! Przecież sam to widziałeś.

- To musiał być tylko jakiś cień - stwierdziłem.

- Cień czego?

- Myślę, że belki stropowej.

- Możesz więc iść do domu. Zawdzięczasz to rabinowi z Janowa. Odnalazł u Majmonidesa pewien zagmatwany zapis, który można było jednak zinterpretować na twoją korzyść.

Schwyciłem rabina za rękę i pocałowałem go w dłoń.

Chciałem natychmiast biec do domu. Rozłąka z żoną i dzieckiem przez tak długi czas nie jest błahą sprawą. Ale od razu też sobie pomyślałem: Lepiej wrócę teraz do pracy, a do domu pójdę wieczorem. Nic nikomu nie mówiłem, ale w głębi serca czułem, że był to dla mnie jeden z tych świętych dni. Kobiety dokuczały mi i kpiły ze mnie tak jak każdego dnia, a mnie to nie obchodziło. Gadajcie sobie ile wlezie, myślałem. Prawda wypłynęła i tak na wierzch, jak oliwa. Jeśli Majmonides mówi, że tak jest, to znaczy, że tak jest naprawdę!

Późnym wieczorem, kiedy już nakryłem ciasto na noc, aby rosło, wziąłem chleb, który mi się należał oraz mały worek mąki i wyruszyłem do domu. Była pełnia księżycy i gwiazdy świeciły jasno na niebie. W takich chwilach dusza ci siedzi na ramieniu ze strachu. Pospieszyłem więc przed siebie, ścigając się z cieniem, który sunął przede mną. Była zima i spadł świeży śnieg. Chciało mi się śpiewać, ale robiło się późno i bałem się obudzić gospodarzy. Potem zachciało mi się gwizdać, ale sobie przypomniałem, że nie należy gwizdać w nocy, bo to wywołuje złe moce. Zachowywałem się więc cicho i szedłem tak szybko, jak tylko mogłem.

Gdy mijałem zagrody chrześcijan, psy zaczynały na mnie ujadać. A szczekajcie sobie ile chcecie! - myślałem. Czymże jesteście jak tylko złymi psami? Podczas gdy ja jestem człowiekiem,

mężem wspaniałej żony i ojcem obiecujących dzieci.

Gdy zbliżałem się do domu, serce zaczynało mi bić gwałtownie niczym u złodzieja. Nie czułem strachu, ale i tak serce waliło mi jak dzwon! No cóż, nie było już odwrotu. Po cichu nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. Elka już spała. Spojrzałem na kolebkę dziecka. Zasłonka była zaciągnięta, ale światło księżyca przeciskało się przez szpary. Zobaczyłem twarz niemowlęcia i od razu pokochałem każdą jego drobną kosteczkę.

Potem podszedłem do posłania. I wiecie kogo tam zobaczyłem? Czeladnika, leżącego obok Elki. Wydało mi się, że światło księżyca nagle zgasło. Ogarnęła mnie całkowita ciemność i zacząłem się cały trząść. Szczękały mi zęby. Chleb wypadł mi z rąk. Moja żona obudziła się i krzyknęła: - Hej, kto tam?

Wymruczałem: - To ja.

- Gimpel - spytała. - Co się stało, że tu jesteś? Myślałam, że to zabronione.

- Rabin mi pozwolił - odpowiedziałem i poczułem, że trzęsę się, jakbym miał febrę.

- Posłuchaj mnie, Gimpel - powiedziała. - Idź do szopy i zobacz, czy koza czuje się dobrze. Wydaje mi się, że jest chora.

Kiedy usłyszałem, że jest z nią coś nie w porządku, wyszedłem na podwórko. Nasza koza była pocziwym stworzeniem. Wzbudzała u mnie prawie ludzkie uczucia.

Niepewnym krokiem podszedłem do szopy i otworzyłem drzwi. Koza stała na czterech nogach. Obmacałem ją wszędzie, pociągnąłem za rogi i sprawdziłem wymiona. Nie stwierdziłem nic podejrzanego. Prawdopodobnie najadła się za dużo kory.

- Dobranoc, kózko - powiedziałem. - Trzymaj się dobrze.

A ta mała bestia odpowiedziała mi na to: - Mee - jakby chcąc podziękować za dobre życzenia.

Wróciłem do chaty. Czeladnika już nie było.

- Gdzie - spytałem - jest chłopak?

- Jaki chłopak? - odpowiedziała żona.

- Nie udawaj głupiej - rzuciłem. - Czeladnik. Spałaś z nim.

- Niech to, co śniło mi się wczoraj i przedwczoraj w nocy, stanie się prawdą i niech szczególnie twoje ciało i twoja dusza! Demon zagnieżdżył się w tobie i przytępia ci wzrok! - krzyczała. - Ty nędzna kreaturo! Ty idioto! Ty imbecyłu! Ty gburze! Wynos się, albo zacznę tak krzyczeć, że postawię cały Frampol na nogi!

Zanim zdążyłem się ruszyć, jej brat wyskoczył zza pieca i zdzielił mnie w głowę. Myślałem, że złamał mi kark. Poczułem, że coś niedobrego dzieje się ze mną i powiedziałem: - Nie rób skandalu. Tylko teraz tego mi potrzeba, aby ludzie zaczęli mnie oskarżać o wywoływanie upiorów i dybuków. - Bo przecież to miała na myśli. - Nikt nie tknie chleba mojego wypieku.

Krótko mówiąc, jakoś ją uspokoilem.

- No dobrze - powiedziała - dosyć tego. Kładź się i niech cię piekło pochłonie.

Następnego ranka odwołałem czeladnika na bok.

- Posłuchaj no, bracie! - powiedziałem i ciągnąłem tak dalej. A na koniec zapytałem: - I co ty na

to?

Spojrzał na mnie, jakbym spadł z księżycy, czy coś w tym rodzaju.

- Do licha - powiedział - lepiej by było, gdybyś poszedł do jakiegoś znachora lub zielarza po poradę. Myślę, że brak ci piątej klepki, ale nie bój się, będę trzymać język za zębami.

I tak sprawy wyglądały.

Aby nie przedłużać tej historii, powiem krótko. Żyłem z moją żoną dwadzieścia lat. Urodziła mi sześcioro dzieci. Cztery córki i dwóch synów. Różne rzeczy miały miejsce, ale ja nic nie widziałem, nic nie słyszałem. Wierzyłem i tyle. Ostatnio rabin powiedział mi:

- Wiara sama w sobie ma zbawienny wpływ na człowieka. Napisane bowiem jest, że dobry człowiek żyje swoją wiarą.

Nagle moja żona zachorowała. Wszystko zaczęło się od głupstwa, małego guzka na piersi. Ale widocznie nie przeznaczone jej było długie życie; nie była przecież jeszcze stara. Straciłem na nią fortunę. Zapomniałem powiedzieć, że w tym czasie miałem już własną piekarnię i we Frampolu uważany byłem za bogatego człowieka. Każdego dnia przychodził miejscowy uzdrowiciel, ściągnąłem też wszystkich znachorów z okolicy. Najpierw zdecydowali się na pijawki, a później zastosowali bańki. Wezwano również doktora z Lublina, ale było już za późno.

Przed śmiercią wezwała mnie do swego łóżka i powiedziała: - Przebac mi, Gimpel.

Odpowiedziałem na to: - A cóż tu jest do przebaczenia? Byłaś przecież dobrą i wierną żoną.

- Oj, biada mi, Gimpel! - wyszeptała. - To podłe, że tak cię okłamywałam przez te wszystkie lata. Ale teraz chcę odejść czysta do mego Stwórcy, muszę ci więc powiedzieć, że to nie są twoje dzieci.

Zaskoczyło mnie to bardziej niż gdyby mnie kto nagle zdzielił obuchem w głowę.

- Czyje one są? - spytałem tylko.

- Nie wiem - odpowiedziała - było ich tylu... ale one nie są twoje.

Gdy to mówiła, odrzuciła głowę na bok, oczy jej się zaszklily i taki był koniec Elki. Na jej zbiegłych wargach pozostał uśmiech.

Wydawało mi się, że chociaż już nieżywa, to jednak stara się powiedzieć: „Oszukałam Gimpla. Taki był sens mojego krótkiego życia”.

IV

Pewnej nocy, już po zakończeniu żałoby, spałem na workach mąki i śniło mi się, że przyszedł do mnie Szatan i zapytał: - Gimpel, dlaczego śpisz?

Odpowiedziałem: - A cóż innego miałbym robić? Jeść krepłech?

- Cały świat cię oszukuje - stwierdził - więc ty również powinieneś oszukiwać świat.

- Jakże mógłbym oszukiwać świat? - spytałem go.

Odpowiedział na to: - Mógłbyś przygotować za dnia kubek z moczem, a w nocy wlać go do ciasta. Niech ci mędrzy z Frampola jedzą świństwo.

- A co z sądem w przyszłym świecie? - zapytałem.

- Nie ma przyszłego świata - stwierdził. - Sprzedano ci kota w worku i wmówiono, że to sam cymes. Cóż za nonsens!

- A więc - zapytałem go - czy jest jakiś Bóg?

- Nie ma żadnego Boga - odpowiedział.

- Cóż więc jest? - spytałem.

- Gęsta maź.

Stał mi przed oczyma, długozębny, z kozią bródką, rogiem i ogonem. Słyszając takie słowa, chciałem złapać go za ogon, ale w tym momencie spadłem z worków z mąką i o mało co nie złamałem sobie żebra. Potem musiałem iść za potrzebą i przechodząc zobaczyłem rosnące ciasto, które zdawało się mówić do mnie: „Zrób to!” Krótko mówiąc, dałem się przekonać.

O świecie przyszedł czeladnik. Poporcjował ciasto na bochenki, posypał kminkiem i wstawił je do pieca. Potem wyszedł, a ja zostałem sam. Usiadłem w małym dołku pod piecem na kupie szmat. No cóż, pomyślałem sobie, Gimpel, zemściłeś się na nich za całą tę niesławę, którą na ciebie sprowadzili. Na dworze śnieg połyskiwał od tęgiego mrozu, ale koło pieca było ciepło. Płomienie grzały mi twarz. Pochyliłem głowę i zapadłem w drzemkę.

We śnie od razu zobaczyłem Elkę w całunie. Zawołała do mnie: - Co zrobiłeś, Gimpel?

Odpowiedziałem jej: - To wszystko twoja wina. - I zacząłem płakać.

- Ty głupcze! - powiedziała. - Ty głupcze! To, że ja byłem fałszywa, nie znaczy jeszcze, że wszystko przepelnione jest fałszem. Nigdy nie oszukiwałam nikogo oprócz siebie. A teraz za to płacę, Gimpel. Tutaj nic ci nie jest oszczędzone.

Spojrzałem na jej twarz. Była czarna. Przeraziłem się i to mnie przebudziło. Siedziałem jednak dalej jak oniemiały. Czuję, że wszystko utrzymuje się w chwiejnej równowadze, jakby wisiało na włosku. Jeden fałszywy krok i stracę Życie Wieczne. Ale Bóg udzielił mi swej pomocy. Schwyciłem długą łopatę i wyjąłem bochenki z pieca, zaniósłem je na podwórko i zacząłem kopać dół w zamrzniętej ziemi.

Mój czeladnik wrócił i zastał mnie przy kopaniu. - Co robisz, szefie? - spytał i twarz mu trupio zbladła.

- Wiem, co robię - powiedziałem i zakopałem bochenki na jego oczach.

Później poszedłem do domu, wyciągnąłem ze skrytki wszystkie moje oszczędności i podzieliłem je między dzieci. - Widziałem waszą matkę dziś w nocy - powiedziałem. - Czernieje, biedactwo.

Wszyscy byli tak zaskoczeni, że nikt nie mógł wymówić ani słowa.

- Bądźcie zdrowi - powiedziałem - i zapomnijcie, że ktoś taki jak Gimpel kiedykolwiek istniał.

Włożyłem na siebie krótkie palto, a na nogi buty z cholewami. W jedną rękę wziąłem torbę, w której był mój tałes, a w drugą resztę rzeczy i pocałowałem mezuzę.

Ludzie, którzy spotykali mnie na ulicy, byli wyraźnie zdziwieni.

- Gdzie idziesz? - pytano.

Odpowiadałem: - W świat.

I tak opuściłem Frampol.

Wędrowałem po całym kraju, a dobrzy ludzie nie dali mi zginąć. Upłynęło wiele lat i stałem się stary oraz siwy. Wiele się nasłuchałem, mnóstwa kłamstw i oszczerstw, ale im dłużej żyłem, tym bardziej dochodziłem do przekonania, że tak naprawdę kłamstwa nie istnieją. To, co naprawdę nie istnieje, może się tylko przyśnić w nocy. To, co nie przydarza się jednemu, może przydarzyć się komuś innemu, jeśli nie dziś, to jutro, jeśli nie za rok, to za sto lat. Często słyszałem historie, o których mówiłem: „Nie, to nie mogło się zdarzyć”. Ale nim upłynął rok, usłyszałem, że coś takiego naprawdę gdzieś się przytrafiło.

Chodząc z miejsca na miejsce, jedząc przy obcych stołach, często bywa tak, że snuję opowieści - niestworzone historie, które nigdy nie miały miejsca - o diabłach, o czarownikach, tajemniczych wiatrakach i tym podobne. Dzieci biegną za mną wołając: „Dziadku, opowiedz nam jakąś historię”. Czasami proszą o jakąś szczególną, a ja staram się je zadowolić. Kiedyś pewien gruby chłopiec powiedział mi: „Dziadku, ale to ta sama historia, którą nam już przedtem opowiadałeś”. Mały psotnik, miał rację.

To samo można rzec o snach. Już tyle lat minęło od czasu, kiedy opuściłem Frampol, ale jak tylko zamknę oczy, od razu przenoszę się tam znowu. I kogo widzę, jak myślicie? Elkę. Stoi nad balią, tak jak w czasie naszego pierwszego spotkania, ale jej twarz jaśnieje, a oczy świecą jak u świętej. Opowiada mi jakieś dziwne rzeczy, używając obcych dla mnie słów. Kiedy się budzę, zapominam o wszystkim. Ale kiedy sen trwa, jestem zadowolony. Odpowiada na wszystkie moje zapytania. Z jej odpowiedzi wynika, że wszystko układa się dobrze. Płaczę i błagam ją: „Pozwól mi z tobą być”. A ona mnie pociesza i prosi, abym był cierpliwy. Jest już bliżej niż dalej. Czasami głaszcze mnie i całuje lub też płacze, roniąc łzy na moją twarz. Kiedy się budzę, czuję jeszcze dotyk jej ust i smak jej słonych łez...

Bez wątplenia świat jest wyłącznie zbiorem naszych wyobrażeń, które tylko jedyny raz ustępują przed rzeczywistością. Przy drzwiach nory, gdzie siedzę, leży deska, na której wynosi się zmarłych. Żyd grabarz trzyma łopatę w pogotowiu. Grób czeka, a robaki są głodne. Całun mam też przygotowany w moim żebraczym worku. Następny nędzarz już czeka, żeby odziedziczyć mój barłóg ze słomy. Kiedy nadejdzie mój czas, pójdę z radością. Cokolwiek bym tam spotkał, będzie to coś prawdziwego, bez kręactw, bez oszustw, bez obłudy. I chwała Bogu, tam nawet Gimpla nie będzie można oszukać.

Pan z Krakowa

I

Wśród gęstych lasów i głębokich mokradeł, na stoku wzgórza, tuż pod szczytem, leżało miasteczko Frampol. Nikt nie wiedział, kto je założył i dlaczego właśnie tutaj. Kozy pasły się tu na starym cmentarzu wśród zapadających się w ziemię macew. W siedzibie gminy znajdowała się kromka spisana na pergaminie, ale brakowało pierwszej strony, a pismo było już wyblakłe. Wśród ludzi krążyły legendy, opowieści o diabelskiej intrydze, w którą byli zamieszani: szalony pan, rozpustna pani, żydowski uczony i dziki pies. Prawdziwe pochodzenie tych historii ginęło w mrokach przeszłości. Okoliczni chłopci cierpieli biedę; ziemia była tu marna. Żydzi, którzy żyli w miasteczku, również klepali biedę: ich domostwa wieńczyły strzechy, a klepiska zastępowały podłogę. W lecie wielu z nich chodziło boso. Gdy dni były chłodne, owijali sobie stopy szmatami lub nosili sandały ze słomy.

Rabin Ozer, chociaż wielki i szanowany erudyta, otrzymywał jako zapłatę jedynie osiemnaście groszy tygodniowo. Nie tylko spełniał obowiązki rzezaka, ale był również nauczycielem, swatem, łaźiebny, a także opiekunem w przytułku. Nawet ci mieszkańcy miasteczka, których uważano za bogatych, nie wiedzieli co to dobrobyt. Nosili bawełniane chałaty, które przepasywali sznurkiem. Mięso jedli tylko w szabas. Również złote monety były rzadkością we Frampolu.

Za to los obdarzył mieszkańców Frampola wspaniałymi dziećmi. Chłopcy byli wysocy i silni, a dziewczęta piękne. Jednak nie dane im było w pełni cieszyć się tym uśmiechem losu, ponieważ młodzi mężczyźni żenili się z dziewczętami z innych miast, a ich siostry, nie mając posagu, tkwiły w staropanieństwie. Lecz mimo tego wszystkiego, w jakiś niewyjaśniony sposób, przy niedostatku żywności i złej wodzie, dzieci dalej chowały się zdrowo.

Pewnego lata przyszła susza. Nawet najstarsi chłopci nie pamiętali takiej klęski. Nie spadła ani kropla deszczu. Zboże skarłało i wyschło. Nie było co zbierać z pól. Kiedy już udało się ścinać i zebrać trochę snopków żyta, przyszedł deszcz, a z nim grad, który zniszczył wszystko to, co oszczędziła susza. Tuż przed burzą przyleciała szarańcza wielkości ptaków. Mówiono, że z gardzieli owadów wydobywały się ludzkie głosy. Atakowały chłopów, którzy chcieli je przegnać. Tego roku nie urządzono tradycyjnego targu, ponieważ wszystko było zniszczone i nie było czym handlować. Żywności brakowało chłopom, jak i Żydom z Frampola. I chociaż w dużych miastach było ziarno, to i tak nikt nie był w stanie go kupić.

Kiedy już porzucono wszelką nadzieję i całe miasteczko miało iść na żebry, stał się cud. Do Frampola przybył powóz, ciągniony przez osiem chyżych koni. Mieszkańcy myśleli, że jego właścicielem był polski pan, ale okazało się, że wysiadł z niego Żyd, młody mężczyzna między

dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Wysoki i blady, z twarzą okoloną czarną brodą i ciemnymi oczami, które pały niesamowitym blaskiem. Miał na sobie, sobolowy kołpak, buty ze srebrnymi zapinkami oraz obszyty futrem bobrowym kaftan, przepasany zieloną szarfą z jedwabiu. Z ciekawości zbiegło się całe miasteczko, aby zobaczyć nieznanego. A oto, co powiedział o sobie. Był doktorem, wdowcem z Krakowa. Jego żona, córka bogatego kupca, zmarła wraz z dzieckiem przy porodzie.

Poruszeni mieszkańcy spytali go, dlaczego przybył do Frampola. Odpowiedział im, że zrobił to za radą pewnego szacownego rabin. Melancholia, w którą popadł po śmierci żony, miała, zapewniał go rabin, ustąpić, kiedy przyjedzie do Frampola. Kiedy zaczął rozdawać jałmużnę - po trzy, sześć groszy i pół guldena monetą - tłumnie obiegli go żebracy, którzy przyszli z przytułku. Od razu też biegli po chleb do piekarza, który widząc to posłał do Zamościa po worek mąki.

- Tylko jeden worek? - spytał ze zdziwieniem młody doktor. - Przecież tego nie wystarczy nawet na jeden dzień. Zamówię cały wóz, nie tylko zwykłej, ale również pszennej mąki.

- Ale my nie mamy pieniędzy - wyjaśniła starszyzna miasteczka.

- Jeśli Bóg pozwoli, oddacie, kiedy nadejdą lepsze czasy - mówiąc to nieznanomy wyciągnął sakiewkę wypchaną złotymi dukatami. Kiedy liczył monety, cały Frampol zaczął wiwatować z radości.

Następnego dnia wozy wypełnione przednią mąką, gryką, jęczmieniem, prosem i fasolą zajęły do Frampola. Wiadomości o szczęśliwym losie, jaki spotkał miasteczko, dotarły do chłopów, którzy też zaraz udali się do Żydów, tak jak kiedyś Egipcjanie do Józefa, aby kupić różne towary. Nie mając pieniędzy płacili w naturze, co spowodowało, że w miasteczku pojawiło się mięso. Znowu w domach palono w piecu, a garnki były pełne stawy. Dym unoszący się z kominów roznosił wieczorem po miasteczku zapach pieczonych kurczaków i gęsi, cebuli i czosnku, świeżo pieczonego chleba i ciasta. Mieszkańcy powrócili do swoich zajęć; szewcy naprawiali obuwie; krawcy złapali się znowu za swoje porzewiałe nożyce i żelazka.

Wieczory były ciepłe, a niebo czyste, chociaż już dawno minęły Kuczki. Wydawało się, że gwiazdy stały się jakby większe. Nawet ptaki czuwały, ćwierkając i świergocąc, jakby to był środek lata. Nieznanomy z Krakowa zajął najlepszy pokój w gospodzie. Na kolację jadał pieczoną kaczkę z marcepanem i struclę. Posiłek kończył deserem, na który podawano mu morele i węgierskie wino. Sześć świec ozdabiało jego stół. Pewnego wieczoru, po kolacji, doktor z Krakowa wszedł do głównej sali w gospodzie, gdzie zebrali się co bardziej wścibscy mieszkańcy miasteczka, i zapytał: - Czy ktoś chciałby zagrać w karty?

- Przecież jeszcze daleko do Chanuki - odpowiedzieli zebrani ze zdziwieniem.

- Po co czekać do Chanuki? Będę płacił po guldenie za każdy grosz.

Kilku bardziej zuchwałych chciało spróbować szczęścia i okazało się, że fortuna się do nich uśmiechnęła. Każdy grosz obracał się w guldena, a z jednego guldena robiło się trzydzieści. Grał każdy, kto chciał. Wszyscy wygrywali. Ale nieznanomy nie wydawał się tym zmartwiony. Banknoty oraz srebrne i złote monety piętrzyły się na stole. Tłum kobiet i dziewcząt cisnął się do sali i miało

się wrażenie, że w ich oczach odbija się blask leżącego na stole złota. Z wrażenia aż dech im zapało. - Nigdy przedtem nic podobnego nie zdarzyło się we Frampolu. Matki namawiały więc córki, aby dbały usilnie o swoje fryzury, i pozwoliły im chodzić na co dzień w odświętnych sukienkach. Dziewczyna, która by znalazła uznanie w oczach młodego doktora, uchodziłaby za szczęśliwą - doktor nie żądałby przecież żadnego posagu.

II

Następnego ranka swaci przyszli do niego i każdy zaczął wychwalać zalety dziewczyny, którą reprezentował. Doktor zaprosił ich, aby usiedli, następnie poczęstował ich miodowymi ciasteczkami, orzechami oraz pitnym miodem i oświadczył:

- Od każdego z was słyszę to samo. Każda dziewczyna jest piękna, mądra i ma same zalety. Ale skąd mogę wiedzieć, który z was mówi prawdę? Chciałbym najlepszą z nich wziąć sobie za żonę. Oto co proponuję: niech odbędzie się bal, na który zaproszone zostaną wszystkie panny na wydaniu. Będę miał wtedy okazję przyjrzeć się im dokładnie i wybrać tę najlepszą. Wówczas dopiero będzie można spisać kontrakt ślubny i przygotować wesele.

Swaci oniemieli z osłupienia. Dopiero po chwili stary Mendel pierwszy otworzył usta: - Bal? To jest odpowiednie dla bogatych gojów, ale my, Żydzi, nie oddajemy się takim rozrywkom od czasu zburzenia Świątyni, chyba że Prawo na to pozwala w okresie pewnych świąt.

- Czyż każdy Żyd nie jest zobowiązany wydać swoje córki za mąż? - spytał doktor.

- Ależ dziewczęta nie mają odpowiednich strojów - zaprotestował inny swat. - Z powodu suszy musiałyby ubrać stare szmaty.

- Zadbam o to, aby wszystkie były odpowiednio ubrane. Zamówię w Zamościu tyle jedwabiu, wełny, aksamitu i płótna, ile będzie potrzeba, aby każda z nich sprawiła sobie odpowiedni strój. Niech się odbędzie bal, którego Frampol nigdy nie zapomni.

- Ale gdzie go urządzimy? - wtrącił następny swat.

- Sala, w której odbywały się wesela, spłonęła, a nasze domostwa są za małe.

- A rynek? - zasugerował pan z Krakowa.

- Mamy już przecież cheszwani i lada chwila zrobi się zimno.

- Wybierzemy ciepły wieczór, kiedy księżyc będzie w pełni. Nie macie się co tym martwić.

Na wszystkie obiekcje swatów nieznajomy miał zawsze gotową odpowiedź. W końcu zgodzili się, że należy poradzić się starszych gminy. Doktor oświadczył, że mu się nie spieszy i poczeka na ich decyzję. W czasie całej rozmowy grał sobie spokojnie w szachy z jednym z najzdolniejszych młodzieńców w miasteczku i pogryzał rodzynki.

Starszyzna zareagowała na tę propozycję sceptycznie. Natomiast młode dziewczęta były nią podekscytowane. Młodzieńcy również nie mieli nic przeciwko temu. Matki na początku udawały, że się wahają, ale w końcu dały przyzwolenie. Kiedy delegacja starszyny starała się uzyskać zgodę rabina Oзера, ten wpadł w szal.

- Co to za szarlataneria?! - krzyczał. - Frampol to nie Kraków. Tylko nam balu potrzeba! Niech Bóg broni, bo jeszcze sprowadzimy na nasze domostwa jakąś zarazę i niewinne dzieci zapłacą za naszą lekkomyślność.

Co bardziej praktyczni starali się przekonać rabina, mówiąc: - Nasze córki chodzą teraz oberwane i do tego boso. Zapewnimy im ubranie i buty. Jeśli jedna z nich mu się spodoba, to się z nią ożeni i zamieszka tutaj. Z pewnością będzie to z korzyścią dla nas. Synagoga potrzebuje nowego dachu. Okna w domu nauki są już stare i porozbijane, a mykwa pilnie wymaga remontu. W przytułku chorzy leżą na wiązkach gnijącej słomy.

- To wszystko prawda. Ale jeśli dopuścimy się grzechu?

- Wszystko odbędzie się zgodnie z Prawem, rabi. Możesz nam zaufać.

Rabin Ozer wziął z półki księgę Prawa i zaczął ją kartkować. Od czasu do czasu zatrzymywał się na jakiejś stronie i pilnie coś studiował. Wreszcie po wielu wahaniach, wzdychając, wyraził zgodę. A czy w ogóle miał jakiś wybór? Sam już od sześciu miesięcy nie otrzymywał zapłaty.

Jak tylko rabin wyraził zgodę, w miasteczku można było zaobserwować wielką krzątaninę. Kupcy bławatni od razu pojechali do Zamościa i Janowa, aby zakupić materiały i skórę za pieniądze pana z Krakowa. Krawcy i szwaczki pracowali dzień i noc; szewcy opuszczali swoje stołki tylko na czas modlitwy. Młode dziewczęta pozostawały w gorączkowym oczekiwaniu. Starano się przypomnieć sobie tańce, które już prawie zapomniano. Pieczono ciasteczka i różne inne ciasta. Wyciągano przy tym ze spiżarni zapasy konfitur i innych przetworów przechowywanych na wypadek choroby. Muzykanci z Frampola przejawiali również dużą aktywność. Należało wyczyścić i ponownie nastroić cymbały, skrzypce i kobzy, których dawno już nie używali i prawie o nich zapomnieli. Radość udzieliła się nawet najstarszym mieszkańcom, ponieważ rozeszły się pogłoski, że wytworny doktor planuje wydać przyjęcie dla biedaków, gdzie otrzymają jałmużnę.

Panny na wydaniu były całkowicie zajęte poprawianiem swojej urody. Pielęgnowały cerę i układały włosy; niektóre z nich poszły nawet do mykwy, aby zażyć rytualnej kąpieli wraz z mężatkami. Wiezorami, z wypiekami na twarzy i roziskrzonymi oczami, odwiedzały się nawzajem, aby opowiadać sobie różne historie i rozwiązywać zagadki. W nocy, tak jak ich matki, nie mogły spać. Ojcowie zaś wzdychali przez sen. Naraz, ni stąd, ni zowąd, dziewczęta z Frampola tak wyładniały, że młodzieńcy, którzy myśleli o ożenku poza miastem, zupełnie zaczęli tracić dla nich głowę. I chociaż młodzieńcy nadal pocili się w domu nauki nad *Talmudem*, to jednak jego mądrości już do nich nie docierały. Rozmawiali o balu. On tylko zaprzętał teraz ich umysły.

Doktor z Krakowa również przyjemnie spędzał czas. Kilka razy w ciągu dnia zmieniał ubranie. Najpierw był to jedwabny płaszcz noszony do pantofli ozdobionych pomponami, później zakładał wełniany kaftan do butów z cholewami. Jednym razem do posiłku siadał w pelerynie obszytej

bobrowymi ogonami, innym znowu razem peleryna wyszywana była w kwiaty i liście. Na śniadanie jadał pieczonego gołębia i popijał wytrawne wino. Na obiad zamawiał kluski i bliny oraz był na tyle zuchwały, że w ciągu tygodnia jadał szabasowy czulent. Nigdy nie brał udziału w modłach, ale za to grał namiętnie w karty, orła i reszkę oraz wilki i owce. Po obiedzie często jeździł po okolicy ze swoim woźnicą. Napotkani po drodze chłopci ściągali czapki z głów i kłaniali mu się prawie do ziemi. Niekiedy znowu spacerował po Frampolu, wymachując laseczką zakończoną złotym guzem. Kobiety tłoczyły się wtedy w oknach, aby popatrzeć na niego, a chłopcy chodzili za nim i łapali cukierki, które im rzucał. Wieczorami, wraz ze swymi kompanami, wesołymi młodzieńcami z miasteczka, pił wino całymi godzinami. Rabin Ozer ciągle ostrzegał swych podopiecznych, że weszli na ścieżkę, którą Szatan powiedzie ich na zatracenie, lecz nikt się tym nie przejmował. Bal, który miał się odbyć na rynku w środku tego miesiąca, przy pełni księżyca, całkowicie zaprzętał teraz ich umysły i serca.

III

Na skraju miasteczka, w niewielkiej dolince niedaleko bagna, stała chata nie większa od kurnika. Nie miała podłogi, lecz klepisko, a jej okna były zabite deskami. Dach, pokryty zielonym i żółtym mchem, przywodził na myśl ptasie gniazdo, porzucone przez swych mieszkańców. Góry śmieci rozciągały się przed chatą, a rowy do lasowania wapna wrzynały się w podmokłą ziemię. Z kupy śmieci wystawało a to krzeselko bez siedzenia, a to dzbanek bez ucha, to znowu stół bez nóg. Butwiały tam różnego rodzaju szczotki, kości i szmaty. Właśnie tu mieszkał Lipa Szmaciarz ze swoją córką Hodle. Kiedy żyła jego pierwsza żona, Lipa był szanowanym kupcem we Frampolu i posiadał nawet własną ławkę w synagodze, blisko wschodniej ściany. Lecz kiedy jego żona utopiła się w rzece, dotychczasowe życie Lipy legło w gruzach. Zaczął pić i zadawać się z najgorszymi mętami w miasteczku, i wkrótce zbankrutował.

Jego druga żona, żebraczka z Janowa, urodziła mu córkę, którą zostawiła, kiedy od niego odeszła, bo nie mógł jej utrzymać. Nie wzruszony odejściem żony Lipa pozostawił córkę samej sobie. Każdego dnia poświęcał kilka godzin na zbieranie szmat ze śmietników. Resztę czasu spędzał w gospodzie. I chociaż żona oberżysty ciągle mu wymyślała, on nic sobie z tego nie robił i nie pozostawał jej dłużny, pyskując ile wlezie. Cieszył się dużą popularnością wśród bywalców gospody, ponieważ potrafił opowiadać bez końca. Przyciągał tam klientelę swymi niesamowitymi historiami o czarownicach i wiatrakach, diabłach i duchach. Potrafił również recytować z pamięci wiersze po polsku i ukraińsku, miał też dar opowiadania dowcipów. Oberżysta pozwalał mu zajmować miejsce koło pieca i od czasu do czasu dawał mu miskę zupy i kawałek chleba. Starzy przyjaciele, którzy pamiętali czasy kiedy Lipa był jeszcze zamożny, obdarowali go czasami a to parą spodni, to znowu

znoszonym paltem, czy też koszulą. Nie poczuwał się jednak do wdzięczności wobec swoich dobrodziejów, a zdarzało się nawet, że za ich plecami pokazywał im język.

Tak jak w porzekadle „Niedaleko pada jabłko od jabłoni”, Hodle odziedziczyła przywary obojga rodziców - ojca pijaka i matki żebraczki. Kiedy miała sześć lat, cieszyła się już reputacją złodziejki i żarłoka. Włóczyła się po mieście bosa i półnaga, zakradając się do domów pod nieobecność gospodarzy i myszkując po spiżarniach. Polowała również na kury i kaczki. Następnie podcinała im gardła kawałkiem szkła i zjadała je. I chociaż mieszkańcy Frampola ciągle ostrzegali jej ojca, że wyrośnie na lafiryndę, on jednak zupełnie się tym nie przejmował. Rzadko kiedy się do niej odzywał, a ona nawet nie nazywała go ojcem. Kiedy miała dwanaście lat, jej rozwiązłość stała się tematem rozmów wśród kobiet. Do jej budy przychodzili Cyganie. Krążyły również pogłoski, że zjadała kocie i psie mięso, nie gardząc zresztą żadną padliną. Wysoka i szczupła, o rudych włosach i zielonych oczach, chodziła boso zimą i latem, nosząc sukienki uszyte z kolorowych ścinków, które szwaczki wyrzuciły na śmieci. Była postrachem matek, ponieważ wierzono, że rzuca urok, sprowadzający młodych na manowce. Starszych gminy, próbujących ją napomnieć, spotykały z jej strony jedynie bezwstydne wyzwiska. Posiadała spryt niczym bękart i kąśliwy język niczym żmija, a kiedy uliczne lobuziaki próbowały ją zaczepiać, nie wahała się nigdy przed oddaniem ciosu. Była szczególnie uzdolniona w sztuce przeklinania, posiadając nieograniczony w tym zakresie repertuar. To od niej można było usłyszeć coś takiego jak: „A bodajbyś pypcia dostał na języku i oczy ci wygniły” lub „Niech nawet skunks ucieka przed smrodem twego gnijącego truchła”.

Czasami jej przekleństwa przynosiły rezultaty i miasteczko coraz bardziej starało się unikać wzbudzania jej gniewu. Wraz z osiągnięciem dojrzałości zaczęła unikać pokazywania się w miasteczku i z czasem prawie o niej zapomniano. Ale w dniu, kiedy kupcy z Frampola, w związku z przygotowaniami do balu, rozdawali wśród dziewczyn z miasteczka sukno i skórę, Hodle znowu się pojawiła. Miała teraz około siedemnastu lat, w pełni już dojrzała, choć ciągle jeszcze nosiła krótką sukienkę. Twarz miała pełną piegów, a włosy w nieładzie. Na szyi wisiały jej korale, podobne do tych, które noszą Cyganki. Przeguby jej rąk oplatały bransolety z wilczych kłów. Przecisnąwszy się przez tłum, zażądała swojego przydziału. Wszystko już prawie rozdano, tak że dostała jakieś resztki. Wściekła pobiegła szybko do domu z tym, co otrzymała. Ci, którzy to widzieli, śmiali się mówiąc: - Popatrzcie no, któż to się wybiera na bal! Ależ będzie cudownie wyglądała!

W końcu krawcy i szewcy zakończyli swoją robotę; każda sukienka i każda para butów zostały dopasowane. Dni były nadzwyczaj ciepłe, a noce tak jasne, jak wieczory w porze Szawuot. W dzień balu gwiazda poranna zbudziła całe miasteczko. Po jednej stronie rynku ustawiono stoły i ławki. Kucharze napiekli już cielaków, owiec, kóz, gęsi, kaczek i kurczaków. Gotowe były również ciasta z rodzynkami, biszkopty, chałki i bułki, ciasteczka cebulowe i pierniki przyprawiane imbirem. Był także pitny miód i piwo, a sprzedawca win dostarczył beczkę węgierskiego wina. Dzieci natomiast przyniosły ze sobą łuki i strzały, którymi zwykle bawiły się w Lag ba-Omer, jak również grzechotki używane na Purim i chorągiewki na Simchat Tora. Nawet konie doktora zostały udekorowane wierzbowymi gałązkami i jesiennymi kwiatami, a woźnica paradował z nimi po miasteczku.

Czeladnicy zostawili swoją pracę, a uczniowie jesziwy opasłe woluminy *Talmudu*. Młode mężatki, pomimo zakazu rabina Ozera, również przybyły na bal, ubrane w swe ślubne suknie. Towarzyszyły im młode dziewczęta, także ubrane na biało. Każda z nich trzymała w ręku świecę, tak jakby to ona miała być panną młodą. Kapela zaczęła już grać wesołą muzykę. Jedyne rabin Ozer był nieobecny. Zamknął się w swoim pokoju. Również jego służąca pobiegła na bal, zostawiając go samego. Wiedział, że takie postępowanie nie prowadzi do niczego dobrego, ale nie mógł zrobić nic, aby temu zapobiec.

Późnym popołudniem wszystkie dziewczęta zebrały się na rynku, gdzie już tłoczyli się mieszkańcy miasteczka. Bito w bębny. Występowali clowni. Dziewczęta zaczęły tańczyć, najpierw kadryla, a później chodzonego. Potem rzucono się do kozaka, a w końcu zaczęto Taniec Gniewu. Wreszcie ukazał się księżyc, chociaż słońce jeszcze nie zaszło. Wtedy pojawił się pan z Krakowa. Wjechał na białej kłaczy w towarzystwie swego drużby, otoczony strażą. Na głowie miał szeroki kapelusz z piórem, a srebrne butony błyszcząły mu na zielonym kaftanie.

Szpada wisiała u jego boku, a lśniące buty z cholewami spoczywały w strzemionach. Przypominał pana wysokiego rodu, udającego się ze swym orszakiem na wojnę. Siedział spokojnie w siodle i obserwował tańczące dziewczęta. Wyglądały tak czarująco, a z jaką gracją się poruszały! Jedyne córka Lipy Szmaciarza nie tańczyła. Stała na boku, ignorowana przez wszystkich.

IV

Zachodzące słońce, nadzwyczaj ogromne, spoglądało gniewnie, niczym oko Opatrzności, na rynek we Frampolu. Jak rzeki płonącej siarki, ogniste chmury pędziły po niebie, przybierając kształty a to słoni, to lwów, to znowu węży czy też innych potworów. Wydawało się, że te stwory na niebie prowadzą ze sobą walkę. Widać było, że pożerają się nawzajem, plując przy tym i buchając ogniem. Wyglądało to prawie jak Rzeka Ognia, gdzie demony dręczą złoczyńców wśród rozpalonych węgli i kup popiołu. Księżyc napęczniał i stał się ogromny, jakby zabarwiony krwią. Pojawiły się na nim wielkie plamy oraz bruzdy i przestał świecić. Zniknęły również gwiazdy i zapadły ciemności. Młodzieńcy przynieśli pochodnie, przygotowano również beczkę płonącej smoły. Cienie przesuwwały się w tę i z powrotem, tak jakby uczestniczyły we własnym balu. Wydawało się, że wibrują domy okalające rynek; dachy falowały, a kominy ulegały wstrząsom. Takiej wesołości i upojenia alkoholem nigdy przedtem nie widziano we Frampolu. Po raz pierwszy od wielu miesięcy każdy mógł się najeść i napić do woli. Ta ogólna wesołość udzieliła się również zwierzętom. Konie rżały, krowy ryczały, piały również te nieliczne koguty, którym udało się ująć przed nożem. Nadleciały stada wron i innych dziwnych ptaków, aby pożywić się odpadkami. Robaczki świętojańskie rozświetlały ciemności, a błyskawica przeszła niebo na horyzoncie. Ale nie

było słycać grzmotu. Na kilka chwil pojawiła się na niebie przedziwna kula świetlna, która następnie szybko zniknęła za horyzontem, pozostawiając za sobą szkarłatny ogon, niczym słup ognia. Kiedy tak wszyscy z podziwem obserwowali niebo, pan z Krakowa przemówił:

- Posłuchajcie mnie. Mam wam wspaniałe rzeczy do powiedzenia, ale niech nikt z góry się nie cieszy. Mężowie, weźcie w objęcia swe żony. Młodzieńcy, uważajcie na swoje dziewczyny. Widzicie we mnie najbogatszego człowieka na całym świecie. Pieniądze to jak piasek dla mnie, a diamenty to jak kamienie. Pochodzę z ziemi Ofir, gdzie król Salomon znalazł złoto dla swej świątyni. Zamieszkuję pałac Królowej Saby. Mój powóz zrobiony jest z solidnego złota, jego koła wysadzane są szafirami, a szprychy toczone z kości słoniowej, lampy zaś ozdobione rubinami, szmaragdami, opalami i ametystami. Władca Dziesięciu Zaginionych Pokoleń Izraela zna wasze cierpienia i przysłał mnie, abym został waszym dobroczyńcą. Ale jest jednak warunek. Dzisiejszego wieczoru wszystkie dziewice muszą wyjść za mąż. Dam każdej pannie posag w wysokości dziesięciu tysięcy dukatów oraz sznur pereł, długi po pas. Ale musicie się spieszyć. Każda panna musi znaleźć męża, zanim zegar wybije dwunastą.

Tłum oniemiał. Zrobiło się tak cicho, jak w dzień Nowego Roku tuż przed odezwaniem się baraniego rogu. Można było usłyszeć nawet bzyczenie muchy.

Nagle pewien starzec wykrzyknął: - Ależ to jest niemożliwe! Dziewczęta nie są przecież nawet zaręczone.

- Niech się więc zaręczą.

- Z kim?

- Możemy ciągnąć losy - odpowiedział pan z Krakowa. - Na kartkach napiszemy imiona tych, którzy mają wstąpić w związki małżeńskie. Moje również. A później będziemy ciągnąć, aby zobaczyć, kto komu został przeznaczony.

- Ale panna musi czekać siedem dni. Trzeba przecież dokonać przepisanych ablucji.

- Niech ten grzech spadnie na mnie. Nie będzie musiała czekać.

Pomimo protestów starszych mężczyzn i ich żon, podarto większy kawałek papieru na mniejsze i na każdym skryba napisał imiona dziewcząt i młodzieńców. Szames gminy, teraz na służbie u pana z Krakowa, wyciągał z jednej czapki imiona młodzieńców, a z drugiej imiona dziewcząt, wyśpiewując je pod melodię, której używał kiedy wzywał członków kongregacji do czytania *Tory*.

- Nahum, syn Katriela, zaręczony z Jentł, córką Natana. Salomon, syn Kow Baera, zaręczony z Tryną, córką Jonasza Lieba.

Dobór wydawał się dziwny, ale ponieważ w nocy wszystkie koty są czarne, kojarzone pary nie wzbudzały większych zastrzeżeń. Po każdym ciągnięciu nowo zaręczona para, trzymając się za ręce, podchodziła do doktora, aby odebrać posag i prezent ślubny. Tak jak powiedział, pan z Krakowa wręczał każdej parze obiecaną sumę dukatów, a na szyi każdej panny młodej zawieszał sznur pereł. Matki widząc to nie mogły powstrzymać radości i zaczynały krzyczeć. Ojcowie stali na boku zaszokowani. Kiedy dziewczęta uniosły do góry swoje suknie, aby schwycić złote monety rozdawane przez doktora, można było zobaczyć ich nogi i spodnią bieliznę, co wprowadzało mężczyzn w szal

pożądania. Skrzypce piszczały, bębny dudniły, trąby ryczały. Harmider był ogłuszający. Dwunastoletni chłopcy byli kojarzeni ze „starymi pannami” mającymi po dziewiętnaście lat. Synowie zamożnych obywateli miasteczka dostawali za narzeczone córki biedaków; karlice kojarzone były z wielkoludami, piękności z kalekami. Na dwóch ostatnich kawałkach papieru pojawiły się imiona pana z Krakowa i Hodle, córki Lipy Szmaciarza.

Ten sam starzec, który uprzednio protestował, wykrzyknął: - Biada nam, ta dziewczyna jest ladaczną!

- Podejdz do mnie, Hodle, pójdz do swego oblubienca - rozkazał doktor.

Hodle ubrana w perkalową sukienkę, w sandałach na nogach i z włosami uplecionymi w dwa warkocze, nie czekała na powtórne zaproszenie. Jak tylko usłyszała, że ją wołają, podbiegła tam, gdzie stała klacz pana z Krakowa, i upadła do jej kopyt. Siedem razy tak padała przed nim plackiem.

- Czy to prawda, co mówi ten stary głupiec? - spytał ją jej przyszły mąż.

- Tak, mój panie, to prawda.

- Czy grzeszyłaś tylko z Żydami, czy także z gojami?

- Z jednymi i z drugimi.

- Czy robiłaś to dla chleba?

- Nie, z czystej przyjemności.

- Ile miałaś lat, kiedy zaczęłaś?

- Coś koło dziesięciu.

- Czy żałujesz tego, co zrobiłaś?

- Nie.

- Dlaczego?

- A dlaczegoż miałabym żałować? - odpowiedziała bezwstydnie.

- Nie boisz się ogni piekielnych?

- Niczego się nie boję, nawet samego Boga. Zresztą Boga nie ma.

Znowu ten sam starzec zaczął krzyżeć: - Biada nam! Oj, biada nam, Żydzi! Spadnie na nas ogień piekielny, Żydzi, i pochłonie nas. Ratujcie swe dusze, Żydzi. Uciekajcie, zanim będzie za późno!

- Zamknąć mu gębę - rozkazał pan z Krakowa.

Straż schwyciła starca i uciszyła go. Następnie doktor, wzięwszy Hodle za rękę, rozpoczął taniec. Nagle rozpętała się taka burza, jakby ktoś uwolnił wszystkie siły ciemności. Lał deszcz i walił grad, a licznym błyskawicom towarzyszyły potężne huki piorunów. Nie zważając zupełnie na burzę, mężczyźni i kobiety obejmowali się bezwstydnie, tańczyli i krzyczeli, jakby zły duch w nich wstąpił. Nawet starcy się temu poddali. W zapamiętaniu zdzierano suknie, zrzucano buty, kapelusze, peruki i mycki, które zadeptywano potem w błocie. Szarfy, które opadały na ziemię, wiły się tam niczym węże. Nagle rozległ się straszliwy huk. Okazało się, że piorun uderzył jednocześnie w synagogę, dom nauki i mykwę. Całe miasto stanęło w płomieniach.

Zbałamuceni mieszkańcy miasteczka zaczęli w końcu rozumieć, że za tym, co się działo, nie stały żadne naturalne przyczyny. I chociaż deszcz padał nadal, a nawet się wzmacniał, pożar nie został ugaszony. Cały rynek rozjaśniał jakiś dziwny blask. Kilka bardziej trzeźwych osób chciało się wyrwać z oszalałego tłumu, ale powalono je na ziemię i zdeptano.

Wtedy pan z Krakowa ujawnił swoje prawdziwe oblicze. Nie był już tym młodzieńcem, którego witali mieszkańcy miasteczka, ale dziwnym stworem pokrytym łuskami. W okolicy piersi miał jedno oko, a na czole róg, który obracał się z ogromną prędkością. Jego ramiona pokrywała sierść, kolce i kępki zwichrzonych kłaków, a ogon stanowiły wijące się węże. Nie był to nikt inny, ale sam Ketew Mriri, najważniejszy ze wszystkich diabłów. Czarownice, wilkołaki, straszysła, demony i upiory zaczęły spuszczać się z nieba na ziemię. Jedne na miotłach, inne na kołach, jeszcze inne na pająkach. Osnat, córka Machlat, z rozwichrzonymi na wietrze włosami, gołymi piersiami i odkrytymi udami, skakała z komin na komin i ślizgała się po okopach. Nama i Hurmiza, córki Afy, oraz inne diabllice wywijały kozły w powietrzu. Sam Szatan prowadził narzeczonego, podczas gdy diabły podtrzymywały baldachim na czterech drągach, które zmieniły się w wijące się pytony. Również cztery psy eskortowały pana młodego. Sukienka Hodle opadła na ziemię i dziewczyna stała całkiem naga. Piersi zwisały jej aż do pępka, a nogi zakończone były płetwami. Zamiast włosów na głowie wilo się mrowie robactwa i glist. Pan młody wyciągnął trójkątny pierścień i zamiast powiedzieć: „Przez ten pierścień poślubiam cię zgodnie z prawem Mojżesza i Izraela”, powiedział: „Przez ten pierścień bezczeszczę cię zgodnie z bluźnierstwem Koraha i Iszmaela”. I zamiast życzyć młodej parze szczęścia, złe duchy zawołały: „Na nieszczęście” i zaczęły śpiewać:

*Przekleństwo Ewy, Kaina znamię,
Jak też spryt węża, spłyńcie na nich.*

Krzycząc po raz ostatni, starzec złapał się za głowę i wyzionął ducha. Wówczas Ketew Mriri tak rozpoczął swój hymn pochwalny na cześć sił nieczystych:

*Przez czarcie łajno i Szatana czar,
Niech duszę mu trawi piekielny żar.*

V

Stary rabin Ozer obudził się w środku nocy. Ponieważ był człowiekiem pobożnym, ogień, który trawił całe miasto, nie miał dostępu do jego domu. Usiadłszy na łóżku, zaczął rozglądać się dokoła zastanawiając się, czy to świt już wstaje. Nie przypominało to jednak ani dnia, ani nocy. Niebo rozświetlała czerwona luna, a z oddali dochodziły odgłosy krzyków i śpiewów, przypominające

wycie dzikich bestii. W pierwszej chwili nic sobie nie przypominając, starzec zastanawiał się, co takiego mogło się tam dzieć. Czyżby nadszedł koniec świata? A może nie dosłyszałem baraniego rogu, zapowiadającego Mesjasza? Czyżby on już przyszedł? Umywszy ręce, założył pantofle, na plecy narzucił płaszcz i wyszedł.

Miasteczko było nie do poznania. Na miejscu domów stały jedynie kominy. Kupy tłących się węgla skwierczały tu i tam. Zawołał na szamesa, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Podpierając się laską, poszedł więc szukać swoich podopiecznych.

- Gdzie jesteście, Żydzi, gdzie się podzialiście? - wołał żałośnie.

Ziemia parzyła go w stopy, ale nie zwolnił kroku. Atakowały go wściekłe psy i jakieś dziwne istoty, które udawało mu się odgonić laską. Jego smutek był tak wielki, że nie czuł w ogóle strachu. Gdy doszedł do miejsca, gdzie był rynek, zobaczył okropny widok. Nie było tam nic, ale jedno wielkie bagno, pełne błota, szlamu i popiołu. Brodząc po pas w błocie, tłum nagich ludzi wykonywał taneczne ruchy. Na początku rabin mylnie wziął dziwnie poruszające się postacie za diabły i miał już zamiar wyrecytować rozdział *Niech przyjdzie uspokojenie* inne ustępy dotyczące egzorcyzmów, kiedy nagle rozpoznał mieszkańców swojego miasteczka. Dopiero wówczas przypomniał sobie doktora z Krakowa i krzyknął strasznym głosem: - Żydzi, na miłość Boską, ratujcie swe dusze! Jesteście w szponach Szatana!

Ale mieszkańcy miasteczka zbyt uniesieni szałem, aby zważać na jego krzyki, dalej wykonywali swoje obłąkańcze ruchy, skacząc niczym żaby i trzęsąc się jak w malignie. Kobiety z odkrytymi włosami i nagimi piersiami bujały się z boku na bok, śmiejąc się i krzycząc. Jedna z dziewcząt schwyciła chłopca z jesziwy za pejsy i przyciągnęła do łona. Jakaś kobieta ciągnęła za brodę dziwnie wyglądającego mężczyznę. Starzy mężczyźni i kobiety zanurzeni byli w błocie po biodra. Wyglądali na ledwie żywych.

Rabin nieugięcie błagał ludzi, aby przeciwstawili się złu. Recytując *Torę* i kilka innych świętych ksiąg, a także używając zaklęć i różnych imion Boga, zdołał otrzeźwić kilkoro. Za nimi poszli inni. Rabin pomógł pierwszemu wydostać się z trzęsawiska, a ten pomógł następnemu i tak poszło dalej. Kiedy gwiazda poranna pojawiła się na niebie, większość nieszczęśników została uratowana. Być może duchy ich przodków wstawiły się za nimi, bo chociaż wielu zgrzeszyło, tylko jeden człowiek umarł tej nocy na rynku.

Teraz dopiero ludzi ogarnęło przerażenie. Zrozumieli, że diabeł ich opętał i sprowadził na drogę zatrąty. Zaczęli płakać.

- Gdzie są nasze pieniądze? - zawodziły dziewczyny. - I nasze złoto, i nasza biżuteria? Gdzie są nasze ubrania? Co się stało z winem, miodem i prezentami ślubnymi?

Ale wszystko zmieniło się w błoto; miasteczko Frampol, zrujnowane i pozbawione wszystkiego, zamieniło się w grzęzawisko. Jego mieszkańcy, nadzy i oblepieni błotem, wyglądali monstrualnie. Przez moment, zapomniawszy o swoim strapieniu, zaczęli się z siebie śmiać nawzajem. Włosy dziewcząt zamieniły się w sklezione kudły, w których gnieździły się nietoperze. Młodzieńcy posiwieli i dostali zmarszczek. Starzy ludzie byli tak sini, że przypominali trupy. Wśród nich leżał starzec,

który zmarł.

Poczerwieniałe ze wstydu wstało słońce.

- Podrzyjmy nasze ubrania na znak żałoby! - krzyknął jeden człowiek, ale jego słowa wzbudziły tylko śmiech, ponieważ wszyscy byli nadzy.

- Utopmy się w rzece! - zapiszczała jedna z dziewcząt. - Po cóż mamy żyć?

Pewien chłopiec z jesziwy powiedział: - Powieśmy się na naszych szarfach.

- Bracia, jesteśmy straceni. Złorzeczmy więc Bogu - stwierdził handlarz końmi.

- Czyście zmysły postradali, Żydzi?! - krzyczał rabin Ozer. - Żałujcie za grzechy, dopóki nie jest za późno. Wpadliście w sidła Szatana, ale to moja wina. Biorę ten grzech na swoje barki. To ja ponoszę winę. Stanę się waszym kozłem ofiarnym i przez to pozostaniecie czysti.

- To szaleństwo! - zaprotestował pewien uczony człowiek. - Niech Bóg broni, aby tyle grzechów spadło na twoją świętą głowę!

- Nie potrzebujecie się tym martwić. Potrafię wiele znieść. Powiniennem być bardziej przewidujący. Byłem ślepy nie widząc, że doktor z Krakowa był w rzeczywistości demonem zła. Kiedy pasterz jest ślepy, jego trzoda schodzi na manowce. To ja zasługuję na karę i przekleństwo.

- Rabi, co mamy robić? Nie mamy domów, ubrania, nic. Biada nam, naszym ciałom i duszom.

- Nasze maleństwa! - rozdarł się nagle krzyk młodych mężatek - Spieszmy do nich!

Ale to właśnie niemowlęta stały się prawdziwymi ofiarami żądzy złota, która doprowadziła mieszkańców Frampola do grzechu. Ich kołyski zostały spalone, a małe ciała leżały zwęglone. Matki podnosiły małe rączki, stopki i czaszki. Zawodzenie i płacz trwały długo, ale ile czasu może płakać całe miasto? Grabarz zebrał małe kosteczki i zaniósł je na cmentarz. Połowa miasteczka rozpoczęła przepisane siedem dni żałoby. Ale pościli wszyscy, ponieważ w całym miasteczku nie było nic do jedzenia.

Współczucie Żydów jest dobrze wszystkim znane i kiedy w pobliskim Janowie dowiedziano się, co się stało, zebrano od razu ubrania, pościel, naczynia, a także dużo chleba i sera i przesłano do Frampola. Kupcy drzewni przywieźli drewno do budowy. Jakiś bogaty człowiek zaoferował pożyczkę i już następnego dnia rozpoczęła się odbudowa miasta. I chociaż jakakolwiek praca jest zabroniona w okresie żałoby, rabin Ozer wydał postanowienie, że sytuacja jest wyjątkowa, ponieważ życiu ludzi zagraża niebezpieczeństwo. Jakimś cudem pogoda była cały czas sprzyjająca - w ogóle nie padał śnieg. Nigdy przedtem nie widziano takiej pracowitości we Frampolu. Mieszkańcy budowali i modlili się, mieszały wapno z piaskiem i odmawiali psalmy. Kobiety pracowały na równi z mężczyznami. Również dziewczęta, zapomniawszy o swoich grymasach, pomagały innym. Ludzie uczeni i zajmujący wysoką pozycję w społeczności miasteczka także zaoferowali pomoc. Chłopi z okolicznych wiosek, dowiedziawszy się o całym nieszczęściu, wzięli starych i chorych pod opiekę do swych domostw. Dostarczyli również drewna, ziemniaków, kapusty, cebuli i innej żywności. Rabini z Lublina, dowiedziawszy się o pogłoskach, że we Frampolu miały miejsce przypadki czarnej magii, przybyli do miasteczka, aby przepytac świadków. I kiedy miejscowy skryba zaczął kompletować imiona mieszkańców, nagle ludzie przypomnieli sobie o

Hodle, córce Lipy Szmaciara. Lecz gdy przybyli na miejsce, gdzie stała jej chata, oczom ich ukazał się jedynie widok wzgórza porośniętego chwastami i krzakami jeżyn. Nie było widać żadnych śladów świadczących o tym, że kiedykolwiek mieszkały tu jakieś żywe istoty. Niczym nie zmąconą ciszę przerywały jedynie od czasu do czasu wrzaski wron i kotów.

Zrozumiano wtedy, że Hodle była to w rzeczywistości Lilit i że władca podziemi przybył do Frambola z jej powodu. Rabini z Lublina po zakończeniu swych dochodzeń, wielce zadziwieni tym, co zobaczyli i usłyszeli w miasteczku, powrócili do domu. Kilka dni później, w przeddzień szabatu, umarł rabin Ozer. Całe miasto wzięło udział w jego pogrzebie, a miejscowy kaznodzieja wygłosił mowę pochwalną nad jego grobem.

Po jakimś czasie nowy rabin przybył do gminy, urosło także nowe miasto. Starzy ludzie pomarli, zapadły się groby na cmentarzu, osunęły się również macewy. Ale całą tę historię, popartą świadectwami wiarygodnych świadków, ciągle jeszcze można przeczytać w miejscowej kronice, spisanej na pergaminie.

Wypadki opisane w tej historii miały również swój epilog: żądza złota już nigdy nie odżyła we Frampolu. Z pokolenia na pokolenie mieszkańcy miasteczka pozostawali biedakami. Złoto stało się przedmiotem odrazy we Frampolu, a nawet na srebro patrzono podejrzliwie. Kiedy zaś szewc czy krawiec policzył za dużo za swoją robotę, mówiono takiemu: - Idź do pana z Krakowa, a on cię obsypie złotem.

A na grobie rabina Ozera, gdzie zbudowano ohel, pali się wieczny ogień. Na jego dachu często przesiaduje biały gołąb: błogosławiony duch rabina Ozera.

Żonobójca

Opowieść ludowa

I

Pochodzę z Turobina. Mieszkał tam żonobójca. M. Nazywał się Pełte, Pełte Żonobójca. Miał cztery żony i, niech to nie będzie wykorzystane przeciwko niemu, wysłał je wszystkie na tamten świat. Co kobiety w nim widziały, sama nie wiem. Był mały, krępy i trupio blady. Miał rzadką brodę i wylupiaсте, przekrwione oczy. Na sam jego widok można było się przestraszyć. A jeśli chodzi o jego sknerstwo, to czegoś podobnego nikt nigdy nie widział. Latem i zimą chodził w tym samym watowanym kaftanie i butach z bykowej skóry. Pomimo to był jednak bogaty. Posiadał dość duży dom z cegły, pełen spichlerz ziarna i własność w mieście. Miał dębowy kufer, do dziś go pamiętam, obciążony skórą i obity miedzianymi obręczami, aby zabezpieczyć go na wypadek pożaru. Chcąc natomiast uchronić się przed złodziejami, Pełte przytwierdził go gwoździami do podłogi. Mówiono, że przechowuje w nim krociową fortunę. Pomimo to nie rozumiem, jak jakaś kobieta mogła wejść z nim pod ślubny baldachim. Jego dwie pierwsze żony można przynajmniej wytłumaczyć tym, że pochodziły z biednych rodzin. Pierwsza - niech jej biedna dusza żyje wiecznie - była sierotą i wziął ją tak jak stała, bez żadnego posagu. Druga znowu - niech spoczywa w pokoju - była wdową bez grosza. Wziął ją w jednej koszuli, jeśli wybaczycie mi to wyrażenie. Dzisiaj ludzie mówią dużo o miłości. Myślą, że kiedyś mężczyźni byli aniołami. Cóż za nonsens. Kiedy ktoś tak niewydarzony jak on zakochał się w niej bez pamięci, cały Turobin aż pękał ze śmiechu. Miał już dobrze po czterdzieście, a ona była jeszcze dzieckiem, niecałe osiemnaście lat. Mówiąc krótko, w całą sprawę włączyły się bratnie dusze oraz krewni i wszystko znalazło właściwe rozwiązanie.

Zaraz po ślubie młoda żona zaczęła narzekać na jego zachowanie. Opowiadano dziwne historie - oby Bóg nie pokarał mnie za moje słowa. Był cały czas złośliwy. Zanim wyszedł z domu rano na modlitwę, zwykle go pytała: „Co chcesz na obiad? Zupę czy barszcz?” „Zupę” - odpowiadał. A więc robiła mu zupę. On zaś po powrocie zaczynał narzekać: „Czyż nie mówiłem ci, abyś zrobiła barszcz?” Ona wtedy zaczynała się tłumaczyć: „Sam przecież powiedziałeś, że chcesz zupę”. A on na to odpowiadał: „A więc jestem kłamcą!” I nie minęła chwila, a już wpadał w szal. Łapał wtedy kawałek chleba i główkę czosnku i leciał z powrotem do domu modlitwy, aby tam zjeść. Ona zaś biegła za nim i krzyczała: „Ugotuję ci barszcz! Nie rób mi tylko wstydu przed ludźmi!” On jednak nawet się nie obejrzał. Młodzi, którzy studiowali święte księgi w synagodze, pytali go: „Co się stało, że musisz tutaj jeść?” „Moja żona wypędziła mnie z domu” - odpowiadał. Aby się długo nie rozwodzić, powiem tylko, że tymi swoimi napadami złości wpędził ją do grobu. Kiedy ludzie namawiali ją, aby się z nim rozwiodła, on straszył, że ucieknie od niej i ją porzuci. Kiedyś

rzeczywiście uciekł, ale złapano go na drodze do Janowa, koło rogatek. Kiedy kobieta zobaczyła, że wszystko już stracone, położyła się po prostu do łóżka i umarła. „Umieram przez niego - powiedziała - ale niech to nie będzie wykorzystane przeciwko niemu”. Całe miasto było wzburzone. Kilku rzeźników i bardziej popędliwych młodzieńców chciało dać mu nauczkę, ponieważ pochodziła z ich sfery, ale gmina na to nie pozwoliła - był przecież zamożnym człowiekiem. Jak to się mówi, zmarłych należy grzebać, ale to, co ziemia zabierze, odchodzi w niepamięć.

Minęło kilka lat, a on się nie żenił ponownie. Być może nie chciał lub też nie trafiała mu się żadna okazja, w każdym razie pozostawał wdowcem. Kobiety nie ukrywały swojego zadowolenia z tego powodu. Stał się nawet bardziej chciwy niż poprzednio. Wyglądał również tak niechlujnie, że wzbudzało to u wszystkich obrzydzenie. Jedynie w soboty jadał kawałek mięsa, zwykle jakiś ochłap twardy jak podeszwa. Cały zaś tydzień żył na suchym prowiancie. Piekł sobie sam chleb z żytniej mąki z otrębami. Nie kupował nawet drewna. Za to wymykał się nocą z workiem i zbierał szczapy koło piekarni. Miał dwie przepastne kieszenie, w które upychał wszystko, co spotkał na drodze: kości, stare skorupy, kawałki skóry czy sznurka. Wszystko to później chował na poddaszu, gdzie stosy tych śmieci podchodziły aż pod dach. „Każda, nawet najmniejsza rzecz może się zawsze na coś przydać”, zwykł mawiać. Potrafił się targować jak nikt inny, a na każdą okazję miał gotowy cytat z Biblii, chociaż z zasady mówił mało.

Wszyscy myśleli już, że pozostanie sam do końca życia. Nagle rozeszły się straszne wieści, że zaręczył się z Finkł, córką reba Falika. Jak mam wam opisać Finkł? Była najpiękniejszą kobietą w mieście i do tego pochodziła z bardzo dobrej rodziny. Jej ojciec, reb Falik, był bogaczem. Mówiono, że oprawia swoje książki w jedwab. Za każdym razem, kiedy prowadzono narzeczoną do mykwy, muzykanci zatrzymywali się pod jego oknami i grali mu jakąś melodię. Finkł była jego jedynym dzieckiem. Miał ich siedmioro, ale tylko ona przeżyła. Reb Falik wydał ją za bogatego młodzieńca z Brodów, uczonego i mądrego jak rzadko, prawdziwie szlachetnie urodzonego. Widziałam go tylko raz, kiedy mnie mijał. Miał kręcone pejsy, a na sobie kwiecisty kaftan, porządne buty i białe skarpetki. Tuż po Siedmiu Błogosławieństwach poważnie zaniemógł. Zawołano Zisze Uzdrowiciela. Postawił mu pijawki i puścił mu także krew, ale czyż można walczyć z losem? Reb Falik pospiesznie wysłał powóz do Lublina po doktora, ale Lublin jest daleko i nim się obejrzano, już było po nim. Całe miasto płakało jak w Jom Kipur przy *Kol Nidre*. Stary rabin - niech spoczywa w pokoju - wygłosił mowę pochwalną, nad jego grobem. Jestem jedynie grzeszną kobietą i nie znam się na uczonych sprawach, ale pamiętam po dziś dzień, co powiedział rabin. Zresztą prawie każdy nauczył się tego na pamięć. „Zamówił czarne, a otrzymał białe...”, zaczął rabin. W świętej księdze *Gemary* dotyczy to człowieka, który zamówił gołębie, ale rabin - wieczny mu pokój - przełożył to na strój weselny i całun żałobny. Nawet jego wrogowie obchodzili po nim żałobę. My, dziewczęta, zraszałyśmy łzami poduszki w nocy. Finkł, ta delikatna i rozpieszczona Finkł, tak strasznie się przejęła, że odebrało jej mowę. Jej matka już nie żyła, a reb Falik także długo nie pociągnął. Finkł odziedziczyła całe jego bogactwo, ale na cóż zdały się te pieniądze? Nie chciała o nikim słyszeć.

Nagle usłyszeliśmy, że Finkł ma wyjść za Pełte. Wiadomość ta rozeszła się pewnego zimnego i

wietrznego czwartku wieczorem i od razu wszystkich zmroziła. „Ten człowiek to łotr z piekła rodem! - krzyczała moja matka. - Takiego powinno się wypędzić z miasta”. My, młodzi, oniemieliśmy z osłupienia. Zwykle spałam sama, ale tej nocy wdrapałam się do łóżka razem z siostrą. Czułam się tak, jakbym była w malignie. Później dowiedzieliśmy się, że małżeństwo to zostało skojarzone przez jednego takiego, który się wszystkim naprzykrzał, taki, co to był wszystkim i niczym. Mówiono, że pożyczył księgę *Gemary* od Pełte i znalazł w środku banknot sturublowy. Pełte miał zwyczaj chowania banknotów do ksiązek. Jaki to miało związek jedno z drugim, nie wiem - byłam wtedy jeszcze dzieckiem. Ale jakie to ma znaczenie? Finkl się zgodziła. Jeśli Bóg chce kogoś pokarać, to pozbawia go rozumu. Ludzie biegali do niej i rwąc sobie włosy z głowy, starali się ją odwieść od tego, ale ona nie zmieniła zdania. Ślub odbył się w szabas po miesiącu szewat. Ustawiono baldachim przed synagogą, jak to jest w zwyczaju, kiedy dziewczica wychodzi za mąż, ale nam wszystkim wydawało się, że uczestniczymy w pogrzebie. Stałam w jednym z dwóch rzędów dziewcząt trzymających świece. Był letni bezwietrzny wieczór, ale kiedy pan młody nas mijał, płomienie świec zaczęły migotać. Strach ścisnął mi serce. Skrzypce zaczęły grać weselną melodię, ale nie była to radosna muzyka, tylko jakieś zawrodożenie i płacz. Tę żałobną nutę podchwyciła również wiolonczela. Nie życzyłabym nikomu, aby musiał słuchać czegoś takiego. Mówiąc prawdę, wolałabym dalej nie opowiadać tej historii. Mogłyby wam się przyśnić jakieś koszmary, a i ja sama jakoś nie czuję się na siłach, aby ciągnąć dalej. Co? Chcecie jednak dowiedzieć się więcej. Bardzo dobrze. Ale będziecie musieli mnie zabrać do domu. Dziś wieczorem nie pójdę sama.

II

Gdzie to ja stałam? Ach, tak, Finkl wyszła za mąż. Przypominała bardziej trupa niż pannę młodą. Druhny musiały ją podtrzymywać. Kto wie? Może zmieniła zdanie. Ale czyż ona była temu winna? Wszystkim przecież rządzi Opatrzność. Słyszałam kiedyś o pannie młodej, która uciekła spod baldachimu. Ale to nie Finkl. Dałaby się raczej spalić żywcem niż miałyby kogoś poniżyć.

Czyż muszę wam mówić, jak się to wszystko skończyło? Czyż nie możecie sami tego odgadnąć? Niech wszystkich wrogów Izraela spotka taki koniec. Muszę powiedzieć, że tym razem nie stosował swych zwykłych sztuczek. Wręcz przeciwnie, starał się ją pocieszać. Doprowadził jednak jedynie do tego, że popadła w czarną melancholię. Próbowwała pogryźć się w pracach domowych. Młode kobiety przychodziły ją odwiedzić. Odbywał się ciągły ruch w tę i z powrotem, tak jakby Finkl żyła w zamknięciu. Opowiadały różne historie, robiły na drutach, szyły i rozwiązywały zagadki, cokolwiek, aby tylko ją rozerwać. Niektóre z nich zaczęły nawet napomykać, że być może małżeństwo to nie było tak całkiem nieudane. Był przecież bogaty, a także uczony. Czyż nie mogła to być szansa, że żyjąc z nią stanie się bardziej ludzki? Zakładano, że Finkl zajdzie w ciążę i urodzi dziecko, a wtedy

pogodzi się ze swoim losem. Czyż nie ma wielu niedobrych małżeństw na świecie! Ale los zrzucił inaczej. Finkł poroniła i dostała krwotoku. Trzeba było sprowadzić doktora z Zamościa. Poradził jej, aby cały czas była czymś zajęta. Po raz drugi nie zaszła już w ciążę i wówczas zaczęły się jej kłopoty. Wszyscy wiedzieli, że ją prześladowała. Ale kiedy ją spytano:

- Co on ci robi? - ona tylko odpowiadała:

- Nic.

- Jeśli ci nie robi, to dlaczego masz tak podsinaczone oczy? I dlaczego kręcisz się wokół jak błędna owca?

Ale ona odpowiadała tylko: - Sama nie wiem dlaczego.

Jak długo to trwało? Dłużej niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Wszyscy myśleliśmy, że dłużej niż rok nie wytrzyma, ale ona cierpiała przez trzy i pół roku. Gasła w oczach. Krewni chcieli ją wysłać na gorące kąpiele, ale stanowczo odmówiła. Sprawy zaszły tak daleko, że ludzie zaczęli się modlić o jej śmierć. Nie powinno się tego mówić, ale śmierć jest lepsza od takiego życia. Sama również przeklinała swoje życie. Przed śmiercią posłała po rabina, aby spisać testament. Prawdopodobnie chciała przekazać swoją fortunę na charytatywne cele. Bo na cóż innego? Zostawić ją swojemu mordercy? Ale znowu los wszystko pokrzyżował. Nagle jedna dziewczyna krzyknęła: „Pożar!” i wszyscy pobiegli ratować swój dobytek. Okazało się jednak, że nie było żadnego pożaru.

- Dlaczego krzyczałaś „pożar”? - spytano dziewczynę.

Zacząła tłumaczyć, że to nie ona krzyczała, ale jakiś wewnętrzny głos krzyczał za nią. W tym czasie Finkł umarła i Pełte odziedziczył jej majątek. Stał się teraz najbogatszym człowiekiem w mieście, ale i tak targował się o cenę grobu, aż zgodzono się na pół ceny.

Do tej pory nie nazywano go Żonobójcą. Często zdarza się, że mężczyzna dwa razy owdowieje. Ale po tym ostatnim pogrzebie nazwano go Pełte Żonobójca. Chłopcy z chederu pokazywali go palcami i krzyczeli: „O patrzcie, idzie Pełte Żonobójca!” Po szwie posłał po niego rabin.

- Reb Pełte - powiedział - jesteś teraz najbogatszym człowiekiem w Turobinie. Połowa sklepów w rynku należy do ciebie. Z pomocą Bożą osiągnąłeś wysoką pozycję w naszej gminie. Już czas, abyś zmienił swoje postępowanie. Jak długo jeszcze będziesz separować się od innych?

Żadne jednak słowa nie robiły na nim wrażenia. Mówiło się do niego o czymś, a on odpowiadał tak, jakby w ogóle tego nie słuchał, lub zagryzał wargi i milczał - można było równie dobrze mówić do ściany. Kiedy rabin zobaczył, że to strata czasu, pozwolił mu odejść.

Przez jakiś czas zachowywał się spokojnie. Zaczął znowu piec sobie chleb i zbierać szczapy, szyszki i nawóz na opał. Unikano go jak trędowatego. Rzadko przychodził do synagogi, wszyscy zresztą woleli go tam nie oglądać. W czwartki, z książką rachunkową w ręku, robił obchód, aby odebrać to, co mu inni byli winni w długach czy procentach. Wszystko miał dokładnie zapisane i nigdy o niczym nie zapominał. Jeśli sprzedawca mówił, że nie ma pieniędzy, aby mu zapłacić i prosił go, aby przyszedł innym razem, on się nie ruszał, tylko patrzył na nieszczęśnika swymi wylupiastymi oczami tak długo, aż ten miał tego dość i oddawał mu ostatni grosz. Resztę tygodnia

przesiadwał gdzieś w swojej kuchni. I tak minęło co najmniej dziesięć lat, a być może jedenaście, już dobrze nie pamiętam. Musiał wtedy mieć koło sześćdziesiątki, lub też po sześćdziesiątce. Nikt nie chciał go już swatać.

I wtedy zdarzyło się coś, o czym chciałabym wam opowiedzieć. Ktoś mógłby napisać o tym całą książkę, ale ja wam to krótko przedstawię. W Turobinie żyła kobieta, którą nazywano Złate Dziwka. Niektórzy nazywali ją Złate Kozaczka. Z samych tych przydomków możecie się zorientować, jakiego rodzaju była to kobieta. Nie należy mówić źle o zmarłych, ale trzeba dać świadectwo prawdzie - należała do najgorszych szumowin. Sprzedawała ryby, a jej mąż był rybakiem. Aż wstyd mówić, co robiła w młodości. Była dziwką - wszyscy o tym wiedzieli. Miała gdzieś bękarta. Jej mąż pracował przedtem w przytułku. Bił tam i okradał chorych. Skąd nagle został rybakiem, tego nie wiem, ale i tak to nie ma znaczenia. W piątki stali na rynku z koszem ryb i urągali wszystkim, zarówno tym, którzy u nich kupowali, jak i tym, którzy obchodzili ich z daleka. Przekleństwa wylatywały z ich ust jak z dziurawego worka. Kiedy zaś ktoś zaczynał narzekać, że oszukuje na wadze, chwytła rybę za ogon i okładała nią kupującego. W napadzie szału zerwała perukę niejednej kobiecie. Kiedyś oskarżono ją o kradzież, poszła więc do rabina i fałszywie przysięgała przed czarnymi świecami i deską, na której myje się zmarłych, że jest niewinna. Jej mąż miał dosyć dziwne imię Eber; pochodził gdzieś z Polski. Umarł i została wdową. Była tak występna, że przez cały pogrzeb krzyczała: „Eber, nie zapomnij tylko zabrać ze sobą wszystkich kłopotów!” Po sziwie znowu zaczęła sprzedawać ryby na rynku. Ponieważ była złością i wszystkich obrażała, ludzie lubili się z niej naigrawać.

Kiedyś jedna kobieta spytała ją: - Czy nie masz zamiaru powtórnie wyjść za mąż, Złate?

Odpowiedziała jej na to: - Dlaczego nie? Ciągle jeszcze jestem smacznym kąskiem.

A była już przecież starą megierą.

- Za kogo wyjdiesz, Złate? - pytali ją wtedy ludzie, a ona, pomyślawszy przez chwilę, odpowiedziała:

- Za Pełte.

Kobiety myślały, że żartuje i zaczęły się śmiać. Ale to nie były żarty, jak się o tym już wkrótce przekonacie.

III

Jedna z kobiet zauważyła: - Ależ to Żonobójca!

Na to Złate odpowiedziała: - Jeśli on jest żonobójca, to ja jestem jeszcze gorszą mężobójczynią. Eber nie był moim jedynym mężem.

Któż może wiedzieć, ilu ich miała przed nim? Nie pochodziła z Turobina. Czort wie, skąd tu się wzięła - mówiono, że gdzieś z drugiej strony Wisły. Nikt nie zwracał uwagi na to, co mówiła, ale nie minął jeszcze tydzień, a już wszyscy dowiedzieli się, że nie rzucała słów na wiatr. Nikt nie wiedział, czy wysłała swatów, czy też sama skojarzyła to małżeństwo. W każdym razie wszystko zostało zaklepane. Całe miasto zanosilo się od śmiechu - dobrana para, fałsz i występki. Wszyscy powtarzali to samo: „Gdyby Finkł żyła i widziała, kto ma zająć jej miejsce, umarłaby raz jeszcze ze zgryzoty”. Czeladnicy od krawców i szwaczki zaczęli się zakładać, kto kogo przeżyje. Czeladnicy mówili, że nikt nie stanowi zagrożenia dla Pełte Żonobójcy, szwaczki zaś dowodziły, że Złate jest młodsza o kilka lat i że nawet Pełte nie ma szans, gdy ona otworzy swoją jadaczkę. W każdym razie ślub się odbył. Nie byłam tam. Wiecie, kiedy wdowiec bierze wdowę, nie robi się zbytniego szumu. Ale inni, którzy tam byli, dobrze się ubawili. Panna młoda była cała wystrojona. W sobotę przyszła na galerię w synagodze w kapeluszu z piórkiem. Nie potrafiła czytać. Tak się zdarzyło, że w tamtą sobotę przyprowadziłam do synagogi świeżo upieczoną narzeczoną i Złate stała tuż obok mnie. Zajęła miejsce Finkł. Cały czas tak terkotała, że nie wiedziałam, co mam ze wstydu robić. I wiecie, co powiedziała? Obraziła swego męża. „Przy mnie długo nie pociągnie”, powiedziała ot tak, po prostu. Suka - nie może być żadnych wątpliwości.

Przez jakiś czas nikt o nich nie mówił. Całe miasto nie może przecież ciągle zajmować się takimi szumowinami. Nagle któregoś dnia podniósł się znowu szum. Złate miała gosposię, taką małą kobietkę, którą porzucił mąż. Zaczęła opowiadać straszne historie. Pełte i Złate prowadzili ze sobą wojnę, ale nie tylko oni, ich gwiazdy również. Zaczęły się dziać różne rzeczy. Pewnego dnia Złate stała pośrodku pokoju, a żyrandol spadł na podłogę tylko o kilka centymetrów od niej. „Żonobójca zaczął znowu swoje sztuczki - powiedziała - Jeszcze mu pokażę”. Następnego dnia Pełte chodząc po rynku nagle się pośliznęła i wpadła do rowu, o mało co nie łamiąc sobie karku. Każdego dnia coś nowego się działo. Kiedyś znowu zapaliły się sadze w kominie i prawie cały dom się spalił. Innym razem odpadł gzyms od szafy i o mało co nie uderzył Pełte w głowę. Jasno było widać, że jedno z nich musi ulec. Napisane jest gdzieś, że każdemu człowiekowi towarzyszą diabły - tysiąc po lewej stronie i dziesięć tysięcy po prawej. Mieliśmy w mieście nauczyciela w chederze, niejakiego reba Icka Pogromcę - tak go nazywano - wspaniałego człowieka, który wiedział wszystko o „tych” sprawach. Powiedział, że „one” prowadzą ze sobą wojnę. Na początku było stosunkowo spokojnie; to znaczy, ludzie sobie gadali, ale nieszczęsna para nie pisnęła ani słowa. Ale w końcu Złate przybiegła do rabina cała roztrzęsiona.

- Rabi! - krzychała. - Już nie mogę tego dłużej wytrzymać. Tylko posłuchaj: zagniotłam ciasto w dzieży i przykryłam poduszką. Miałam zamiar raniutko wstać i upiec chleb. W środku nocy budzę się i co widzę: ciasto jest na moim łóżku. To jego robota, rabi. Uwziął się, aby mnie wykończyć.

W tym czasie reb Ajzele Teumin, prawdziwie święty człowiek, był rabinem w naszym mieście. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. - Dlaczegoż miałby się posuwać do takich sztuczek? - zapytał.

- Dlaczego? Właśnie, powiedz mi dlaczego! - odpowiedziała. - Rabi, poślij po niego i niech on sam ci to wytłumaczy.

Posłali szamesa i przyprowadził Pełte. Oczywiście, wszystkiemu zaprzeczył.

- Obmawia mnie tylko! - krzyczał. - Chce się mnie pozbyć i zagarnąć moje pieniądze. Rzuciła urok i woda zalała piwnicę. Zszedłem tam, aby wziąć kawałek sznura i o mało co nie utonąłem. A prócz tego sprowadziła plagę myszy. - Pełte zeznał pod przysięgą, że w nocy Złate gwizdała w łóżku i jak tylko zaczęła gwizdać, myszy zaczynały piszczeć i wychodzić ze wszystkich dziur. Pokazał przy tym bliznę nad okiem, mówiąc, że tam właśnie ugryzła go mysz.

Kiedy rabin zorientował się, z kim ma do czynienia, powiedział: - Posłuchaj mojej rady i się rozwiedź. Tak będzie lepiej dla was obojga.

- Rabi ma rację - wtrąciła Złate. - Jestem gotowa na to w każdej chwili, ale niech podpisze, że otrzymam połowę majątku.

- Nie dostaniesz nawet tyle co za paznokciem! - krzyczał. - A co więcej, będziesz musiała zapłacić grzywnę. - Złapał w tym momencie swój kij i chciał ją uderzyć. Ledwo go powstrzymano.

Kiedy rabin zobaczył, że nie uda mu się nic zrobić w tej sprawie, powiedział: - Idźcie swoją drogą i pozwólcie mi zająć się moją pracą.

Poszli więc sobie.

Od tego czasu nie było w mieście spokoju. Aż strach było przechodzić koło ich domu. Okiennice były zawsze zamknięte, nawet w ciągu dnia. Złate zaprzestała sprzedawania ryb i cały czas schodził im na klótniach. Złate była potężną kobietą. Kiedyś chodziła pomagać rozciągać sieci na stawach u dziedziców. W zimie wstawiała już nad ranem, a w najcięższe nawet mrozy nigdy nie paliła w piecu. „Czort mnie nie weźmie - mawiała. - Nigdy nie czuję zimna”. Ale teraz nagle się postarzała. Twarz jej szerniała i pomarszczyła się tak, jakby już miała siedemdziesiątkę na karku. Zaczęła chodzić po obcych i prosić o radę. Kiedyś przysłała do mojej matki - niech spoczywa w pokoju - i błagała, aby pozwoliła jej zostać na noc.

Moja matka spojrzała na nią, jak na kogoś niespełna rozumu. - Co się stało? - spytała.

- Boję się go - odpowiedziała Złate - Chce się mnie pozbyć. Robi przeciagi w domu. - Mówiła, że chociaż okna były oblepione z zewnątrz gliną, a wewnątrz opatrzone słomą, w jej sypialni wiało jak na polu. Przysięgała również, że łóżko podnosi się pod nią do góry i że Pełte spędza ciągle pół nocy w wychodku - jeśli mi wybaczycie to słowo.

- Co on tam tak długo robi? - spytała moja matka.

- Ma tam kochankę - powiedziała Złate.

Akurat byłam w alkowie i słyszałam wszystko. Pełte z pewnością musiał zadawać się z kimś nieczystym.

Dreszcz przerażenia wstrząsnął moją matką. - Posłuchaj mnie, Złate - powiedziała - zostaw mu „tuzin linijek” i uciekaj, aby ratować swoje życie. Gdybyś nawet dała mi tyle złota, ile sama ważę, nie mieszkałabym z kimś takim pod jednym dachem.

Ale kozak nigdy nie ustępuje. - Nie pozbędzie się mnie ot tak, po prostu - stwierdziła Złate. - Niech da mi podział majątku na piśmie.

W końcu moja matka zrobiła jej posłanie na ławce. Nie zmrużyłyśmy oka tej nocy. Przed

świttem wstała i poszła sobie. Matka nie mogła już zasnąć i zapaliła świecę w kuchni. - Wiesz - powiedziała do mnie - mam przecucie, że nie wydostanie się z jego łap żywa. No cóż, nie będzie to wielka strata.

Ale Złate to nie była Finkl. Nie tak łatwo dawała za wygraną, jak już wkrótce się o tym dowiedziecie.

IV

Co zrobiła? Nie wiem. Ludzie opowiadali przeróżne rzeczy, ale nie można przecież wierzyć wszystkiemu. Mieliśmy w mieście starą wieśniaczkę, Kunegundę. Musiała mieć ze sto lat lub więcej. Wszyscy wiedzieli, że była czarownicą. Całą twarz pokrytą miała kurzajkami i była zgarbiona, tak, że prawie dotykała ziemi. Jej chata znajdowała się na skraju miasta, a w niej pełno różnych zwierząt. Były tam króliki i świnki morskie, koty i psy, a także wszelkiego rodzaju robactwo. Ptaki fruwały sobie swobodnie przez okna. Cuchnęło tam obrzydliwie. Ale Złate była u niej częstym gościem, przesiadując tam całymi dniami. Kobieta ta umiała łać wosk. Jeśli ktoś z wieśniaków był chory, przychodziła i łała wtedy płynny wosk, który tworzył dziwnie wyglądające figury. Potem odczytywała z nich przyczynę choroby, chociaż na niewiele to się zdało.

Ludzie w mieście mówili, że to właśnie Kunegunda nauczyła Złate rzucać urok. W każdym razie Pełte zmienił się całkowicie: Stał się łagodny jak baranek. Kiedy chciała, aby przepisał na nią dom, wynajął zaprzęg koni i pojechał do rejenta w tej sprawie. Później zaczęła się wtrącać do jego sklepów. Teraz ona robiła obchód w czwartki z księgą rachunkową w ręku. Od razu też nakazała podwyżki. Sprzedawcy płakali, że ściąga z nich ostatnią koszulę. Niewzruszona, odpowiadała na to: „W takim razie możecie iść na żebrzy”.

Zwołano zebranie i zawezwano Pełte. Był tak słaby, że ledwo przyszedł. Nic też prawie nie słyszał.

- Nic na to nie poradzę - stwierdził. - Wszystko należy do niej. Jeśli będzie chciała, to może mnie wygnać z domu.

Na pewno by tak zrobiła, ale jeszcze nie przepisał na nią wszystkiego. Ciągle jeszcze się z nią targował. Sąsiedzi mówili, że go głodziła. Zaczął chodzić po domach i żebrać o kawałek chleba. Ręce mu się trzęsły. Wszyscy widzieli, że Złate była górą. Niektórzy wyrażali zadowolenie, że został wreszcie pokarany za Finkl. Inni znowu dowodzili, że Złate doprowadzi miasto do ruiny. Nie jest błąhą sprawą, kiedy tyle majątku dostaje się w ręce takiej bestii. Zaczęła kopać i budować w mieście. Sprowadziła rzemieślników z Janowa, którzy zaczęli mierzyć ulice. Nosiła na głowie perukę upiętą srebrnymi grzebykami, a w ręku miała torebkę i parasolkę, jak prawdziwa dama. Wpadała do domów wczesnym rankiem, kiedy jeszcze lokatorzy nie wstali z łóżek i wałąc w stół

krzyczała: „Wyrzucę was z gratami! Wsadzę was do więzienia w Janowie! Puszczę was z torbami!” Biedacy próbowali się jej podlizywać, ale ona w ogóle na to nie zwracała uwagi. Ludzie wtedy zrozumieli, że czekanie na nową miotłę nie ma sensu.

Pewnego dnia otworzyły się drzwi przytułku i wszedł Pełte, ubrany jak żebrak. Opiekun przytułku zrobił się blady jak trup. - Reb Pełte! - wykrzyknął. - Co tu robisz?

- Przyszedłem, aby tu zostać - odpowiedział Pełte. - Moja żona mnie wyrzuciła.

Aby się długo nie rozwodzić, powiem tylko, że Pełte przepisał na Złate wszystko, co posiadał, wszystko do ostatniej nitki i wtedy ona go wygnała.

- Ale jak można coś takiego zrobić? - spytano go.

- Nawet nie pytajcie - odpowiedział. - Dopadła mnie! Ledwo z życiem uszedłem.

W przytułku powstał zamęt. Niektórzy przeklinali Pełte. „Tym bogaczom już nie wystarcza to co mają, zazdroszczą jeszcze biedakom tej skromnej łyżki strawy!”, krzyczeli. Inni udawali, że mu współczują. W końcu Pełte dostał wiązkę słomy, rozrzucił ją w kącie i położył się. Całe miasto się zbiegło, aby zobaczyć ten widok. Ja również byłam ciekawa i pobiegłam. Siedział na podłodze jak żałobnik i gapił się na wszystkich tymi swoimi wylupiastymi oczami.

Ludzie pytali go: - Dlaczego tu siedzisz, reb Pełte, gdzie się podziała twoja władza?

Na początku nie odpowiadał wcale, tak jakby nie mówiono do niego, dopiero później powiedział: - To jeszcze nie koniec.

- A co jej zrobisz? - szydzili żebracy.

Zrobili sobie z niego obiekt drwin i żartów. Tylko żadnych wniosków z tego pochopnie nie wyciągajcie. Znacie stare powiedzenie: Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Przez kilka tygodni Złate zachowywała się niczym demon. Przewróciła całe miasto do góry nogami. W samym środku rynku, blisko sklepów, kazała wykopać rów i najęła ludzi, aby tam lasowali wapno. Zwieziono kloce drewna i ustawiono stosy cegieł, tak że ledwo można było przejść. Zerwano dachy i przybył notariusz z Janowa, aby spisać dobytek wszystkich jej lokatorów. Złate kupiła sobie powóz i zaprzęg rączych koni. Każdego popołudnia urządziła sobie przejażdżki. Zaczęła nosić spiczaste pantofle i zapuściła włosy. Zadawała się też z gojami z chrześcijańskiej części miasta. Kupiła dwa złe psy, prawdziwe bestie, tak że każdy bał się przechodzić koło jej domu. Przestała sprzedawać ryby. Zresztą po cóż miałyby się tym zajmować? Ale z przyzwyczajenia musiała mieć koło siebie ryby. Napełniła więc balie, które miała w domu, wodą i wpuściła tam karpie i szczupaki. W jednej z nich trzymała nawet trefne ryby, a także raki, żaby i węgorze. Po mieście krążyły pogłoski, że wkrótce się przechrzci. Niektórzy opowiadali, że w czasie Pesach przyszedł do niej ksiądz i pokropił dom święconą wodą. Ludzie obawiali się, że może donosić na gminę - taki ktoś jak ona był zdolny do wszystkiego.

Nagle ni stąd, ni zowąd przybiegła do rabina. - Rabi - powiedziała - poślij po Pełte. Chcę rozwodu.

- Dlaczego chcesz rozwodu? - spytał ją rabin. - Czy chcesz ponownie wyjść za mąż?

- Nie wiem - odparła. - Być może tak, być może nie. Ale nie chcę być dłużej żoną Żonobójcy.

Jestem skłonna jakoś mu to wynagrodzić.

Rabin posłał po Pełte. Ten ledwo się przyczolgał. Przed domem rabina stało prawie całe miasto. Biedny Pełte zgodził się na wszystko. Ręce mu się trzęsły jak w gorączce. Reb Mojsze Skryba usiadł, aby spisać akt rozwodowy. Doskonale go pamiętam, tak jakby to było wczoraj. Był mały i miał śmieszny tik. Poliniował papier przy pomocy scyzoryka i wytarł swoje gęsie pióro o myckę. Świadkowie zostali poinstruowani, jak należy podpisać akt rozwodowy. Mój mąż - niech spoczywa w pokoju - był jednym ze świadków, ponieważ miał ładny charakter pisma. Złate siedziała sobie wygodnie na krześle i ssała cukierka. Ach, tak, zapomniałam wspomnieć, że wyłożyła dwieście rubli. Pełte rozpoznał banknoty, ponieważ miał zwyczaj naznaczać swoje pieniądze. Rabin poprosił o ciszę, ale Złate wcale tym nie zrażona zaczęła się chwalić kobietom, ^ że ma zamiar wyjść za dziedzica, ale że tak długo jak Żonobójca jest jej mężem, nie jest pewna swego życia. Kiedy to powiedziała, zaśmiała się tak głośno, że wszyscy stojący przed domem ją usłyszeli. Kiedy wszystko było już gotowe, rabin zaczął odpytywanie ich obojga. Ciągle pamiętam jego słowa: - Posłuchaj mnie, Pałtiel, synu Szneura Zalmana - tak wzywano Pełte do czytania *Tory* - czy chcesz rozwieść się ze swoją żoną? - Dodał coś jeszcze cytując *Gemarę*, ale nie mogę tego powtórzyć dokładnie. - Masz powiedzieć „tak” - kazał Pełte. - Powiedz „tak” tylko raz, nie dwa razy.

- Tak - powiedział Pełte. Ledwo co mogliśmy dosłyszeć.

- Posłuchaj mnie, Złate Gołde, córko Jehudy Trejtla, czy chcesz rozwieść się ze swoim mężem Pałtielem?

- Tak! - krzyknęła Złate i jak tylko to wymówiła, zachwiała się i upadła zemdlna na podłogę. Sama to widziałam i mówię wam prawdę; czułam, że mi głowa pęka. Myślałam też, że zemdleję. Rozległy się krzyki i powstało wielkie zamieszanie. Wszyscy rzucili się, aby ją cucić. Skrapiali ją wodą, kłuli szpilkami, nacierali octem i ciągnęli za włosy. Przybiegł Azriel Uzdrowiciel i od razu postawił jej tam bańki. Jeszcze oddychała, ale nie była to już ta sama Złate. Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Usta jej się wykrzywiły na jedną stronę i ciekła z nich ślina; oczy jej się wywróciły, a nos zrobił się biały jak u trupa. Kobiety, które były blisko niej, usłyszały jak mamrotała: - Żonobójca! Pokonał mnie! - Były to jej ostatnie słowa.

Na pogrzebie omal nie doszło do ekscesów. Pełte siedział znowu mocno w siodle. Oprócz swego majątku posiadał teraz także jej bogactwo. Sama jej biżuteria warta była fortunę. Grabarze gminy zażądali wysokiej sumy, ale Pełte ani myślał ustąpić. Krzyczeli na niego, grozili mu i przeklinali go. Straszili, że rzucają na niego klątwę. Ale równie dobrze można było mówić do ściany!

- Nie dam grosza, niech gnije - powiedział. Niechybnie pozostawiono by ją bez pochówku, ale było lato i nadeszła właśnie fala upałów, bano się więc, że może wybuchnąć epidemia. Mówiąc krótko, kilka kobiet odprawiło przepisane obrzędy - a jakie było inne wyjście? Żałobnicy nie chcieli jej nieść, wynajęto więc wóz. Została pochowana tuż przy murze, pośród noworodków, które martwe przyszły na świat. Pełte zmówił za nią kadsiz - to jednak zrobił.

Od tego czasu Żonobójca pozostał już sam. Ludzie tak się go bali, że starali się nie przechodzić koło jego domu. Matki młodych kobiet w ciąży nie pozwalały na wymawianie jego imienia, chyba że

po założeniu na siebie dwóch fartuchów. Chłopcy z chederu przebierali palcami, zanim wymówili jego imię. Nic nie wyszło z planów rozbudowy i przebudowy miasta. Cegły zabrano, a wapno ktoś ukradł. Powóz wraz z zaprzęgiem koni zniknął - musiał go sprzedać. Woda w baliach wyschła i ryby zdechły. W domu była papuga w klatce. Cały czas skrzeczała: „Jestem głodna” - potrafiła mówić w jidysz - aż w końcu zdechła z głodu. Pełte kazał mocno zabić okiennice i nigdy już ich nie otwierał. Nie wychodził nawet, żeby zebrać pieniądze od sprzedawców w sklepach. Cały dzień leżał na swojej ławce, drzemiąc i pochrapując sobie. W nocy wychodził, żeby zebrać szczapy, drewna. Raz w tygodniu przysyłano mu dwa bochenki chleba z piekarni, a żona piekarza kupowała mu trochę cebuli, czosnku, rzodkiewki i od czasu do czasu kawałek obsuszonego sera. Nigdy nie jadał mięsa. Nigdy nie przychodził w sobotę do synagogi. W domu nie można było uświadczyc żadnej szczotki, tak że wszędzie wały się kupy śmieci. Myszy biegały po domu nawet w ciągu dnia, a spod sufitu zwisały ogromne pajęczyny. Dach przeciekał, ale nikt go nie naprawiał. Ściany gniły i zapadały się w ziemię. Co kilka tygodni dochodziły wieści, że źle się dzieje z Żonobójcą, że jest chory lub że umiera. Grabarze gminy zacierali ręce w oczekiwaniu. Ale nic się nie działo. Przeżył wszystkich. Żył już tak długo, że ludzie w Turobinie zaczęli przypuszczać, że może będzie żyć wiecznie. Dlaczego nie? Być może spoczywało na nim jakieś specjalne błogosławieństwo lub też Anioł Śmierci zapomniał o nim. Wszystko się przecież może zdarzyć.

Inni zaś zapewniali, że Anioł Śmierci z pewnością o nim nie zapomniał. Ale kiedy to się stało, nie było mnie już w Turobinie. Musiał mieć wtedy ze sto lat lub więcej. Po pogrzebie cały dom przewrócono do góry nogami, ale nic wartościowego nie znaleziono. Kufry zgniły. Złoto i srebro gdzieś przepadło. A najmniejszy powiew wiatru zmieniał banknoty w popiół. Grzebanie w kupach śmieci nic nie dało. Żonobójca przeżył wszystko: swoje żony, swych wrogów, swoje pieniądze, swój majątek i swoje pokolenie. Wszystko co po nim zostało - niech Bóg wybaczy mi to co powiem - była to jedynie kupa popiołu.

Przy świecach pamięci

I

Wraz z zapadaniem ciemności brał coraz większy mróz. I chociaż w domu nauki grzał gliniany piec, mróz malował szyby w niezwykle wzory, a z ram okiennych zwisały sople lodu. Szames zgasił lampy oliwne, z wyjątkiem dwóch świec pamięci, jednej długiej, drugiej krótkiej, które paliły się w menorze przy wschodniej ścianie. Ta krótsza, paląca się od poprzedniego dnia, zgrubiała od ściekającego wosku. Mówi się, że patrząc na świece pamięci można poznać los tych, w których intencji zostały zapalone; płomienie migocą i syczą, kiedy dusza zmarłego nie zaznała ukojenia. W migotliwym świetle świec wszystko dookoła, a w tym nogi stołu do czytania *Tory*, belki podtrzymujące sufit, żyrandole wiszące na łańcuchach i nawet Święta Arka, ozdobiona rzeźbionymi lwami i pamiątkowymi tablicami, zdawało się nabierać nierealnych kształtów. W lecie muchy lub ćmy wpadające na knoty mogłyby spowodować takie migotanie, ale przecież w zimie ich nie ma.

Ławki, otaczające z trzech stron gliniany piec, wykorzystywane były w nocy przez wędrownych żebraków jako miejsce do spania. Ale dzisiejszej nocy zajmujący je szczęśliwcy nie mogli zasnąć. Jeden z nich, niski piegowaty mężczyzna o płowych włosach, pełnych gniewu oczach, z rudą brodą okalającą twarz, obcinał scyzorykiem paznokcie u nóg. Drugi, o pełnej twarzy, łagodnych oczach, ze strzechą siwych włosów na wielkiej głowie, suszył szmaty, które zastępowały mu buty. Wysoki mężczyzna, czarny od sadzy, niczym szufla palacza, piekł ziemniaki w piecu, a blask żarzących się węgla odbijał się na jego twarzy. Inny mężczyzna, dosyć krzepki, z widocznymi na twarzy śladami po ospie, guzem na czole i brudną, kędzierzawą brodą, leżał bez ruchu jak sparaliżowany, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w ścianę.

Mężczyzna z wielką głową zaczął mówić. Ciekła mu przy tym ślina z ust, jakby miał za duży język. Powiedział: - Jak można stwierdzić, że mężczyzna był już żonaty? Jeśli powiem, że jestem jeszcze kawalerem, któż może temu zaprzeczyć? ,

- Jeśli nawet jesteś kawalerem, to co z tego? - odpowiedział rudy. - Czy myślisz, że najważniejszy człowiek w mieście odda ci swoją córkę za żonę? Jesteś włóczęgą i takim już zostaniesz, od tego nie ma już ucieczki. Będziesz dalej włóczył się po kraju ze swym żebraczym workiem na plecach, tak jak ja na ten przykład. Kiedyś byłem rzemieślnikiem, rymarzem. Robiłem siodła dla szlachetnie urodzonych. Ale po śmierci żony nie byłem w stanie już dłużej pracować. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca i musiałem wyruszyć w drogę. I tak stałem się żebrakiem.

Palcami nie reagującymi już na ogień wysoki mężczyzna wyciągnął jednego ziemniaka spod węgla. - Czy ktoś chce ugryźć kawałek? Pracowałbym, gdybym znalazł pracę. Ale nikt już nie potrzebuje snycerzy. Kiedyś spod rąk snycerza wychodziło wszystko, szkatułki na biżuterię,

pojemniki na świąteczne cytrusy, okładki do *Księgi Estery*. Rzeźbiłem gzymsy do szaf, oparcia łóżek, płyciny drzwi. Pewnego razu jedno z miast zaprosiło mnie, abym rzeźbił Świętą Arkę dla synagogi. Ludzie z całego kraju zjeżdżali się, aby ją zobaczyć. Ale dzisiaj kupuje się gotowe rzeczy z kilkoma jedynie ozdóbkami. To nie ja, ale mój ojciec, niech spoczywa w pokoju, chciał być snycerzem. Nasza rodzina zajmowała się snycerstwem od pięciu pokoleń. Ale na cóż to teraz? To już zanikające rzemiosło. Cóż, nie było innego wyjścia, jak tylko zacząć żebrać.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Żebrak z rudą brodą, zakończywszy obcinanie paznokci u stóp, zawiązał ścinki z dwoma drzazgami z ławki w kawałek papieru i wrzucił w ogień. W dzień obrachunku dwie drzazgi będą świadczyć, że nie zbecześcił żadnej części swego ciała wrzucając je do śmieci. Następnie zwrócił się do żebraka z guzem. - Hej ty, jak ci tam! Jak tu się znalazłeś?

Mężczyzna z guzem milczał.

- Co z tobą, ogłuchłeś?

- Nie jestem głuchy.

- To dlaczego nie odpowiadasz? Czy to coś kosztuje?

- Jeśli ktoś milczy, to milczy.

- Słowo - zauważył snycerz - jest dla niego niczym złoto.

Żebrak z rudą brodą zaczął ostrzyć swój scyzoryk o występ pieca.

- Będziesz tutaj w szabas?

- Oczywiście.

- To możemy porozmawiać później. Całkiem zimno, co? Aż dechy trzeszczą. Słyszałem, że ozimina wymarzała pod śniegiem. A to znaczy, że przyjdzie głód.

- Och, czegoż to ludzie nie wymyślą! Pod śniegiem nigdy nie jest zimno. Jeszcze nim zboże wszędzie, jest sprzedane przez właścicieli ziemskich. Stracić mogą na tym jedynie kupcy ziarnem.

- Co oni tam tracą? Kiedy zbiory są złe, ceny lecą bez opamiętania do góry, a to daje jeszcze większe zyski. To biedni, jak zawsze, są najbardziej poszkodowani.

- No a czego się spodziewasz? Nie wszyscy mogą być bogaci; biedni też muszą być - dowodził ten z rudą brodą. - No, ale oczywiście człowieka skazanego na biedę trzeba żałować. Nie żebym narzekał na to, że jestem głodny w ciągu tygodnia, ale szczęście cię całkowicie opuściło, kiedy sknera zaprosi cię do stołu w szabas. Jeśli zjesz nędznie w czasie szabasu, cały tydzień będziesz głodny. Tam, skąd pochodzę, w szabas je się suto i tłusto. Tutaj zaś wszystko jest marne. Nawet czulent.

Mężczyzna z guzem nagle się rozgadał. - Pomimo to jakoś unikasz głodu. Raz się je do syta, a znowu innym razem prawie nic. Ale jak to mówią, żołądek się rozciąga. Jeśli zdobędę kawałek chleba i główkę cebuli, jestem szczęśliwy.

- Daleko się nie zajdzie o chlebie i cebuli.

Mężczyzna z guzem usiadł.

- Wprawiasz nogi w ruch, a już one dalej same cię poniosą. Kiedy jesteś w domu, robisz co chcesz, ale jak tylko wyjdiesz za drzwi, to musisz iść dalej. Dziś w jednym mieście, jutro w innym.

Dzień tu, a noc tam. Któż cię pilnuje? Kiedyś dobrze mi się powodziło. Miałem zawód, na który zawsze jest zapotrzebowanie. Pochodzę z Szyszkowa i byłem grabarzem. Może to i miła miejscowość, ale ludzie umierają wszędzie. Grzebałem starych i młodych niczym strażnik wrót piekielnych. W naszym mieście było bractwo pogrzebowe, ale jego członkowie cały tydzień jeździli po okolicznych wsiach i kupowali od chłopów włosie do produkcji szczotek. Tak więc ten ciężki obowiązek spoczywał całkowicie na mnie. Musiałem myć ciała i szyć całuny. Mieszkałem w chacie naprzeciwko cmentarza. Moja żona zachorowała. Pewnego dnia zrozumiałem, że wkrótce umrze. Zjadła trochę zupy i już było po wszystkim. Przez czterdzieści lat żyliśmy ze sobą jak para gołąbków. Nagle położyła się i umarła. Własnymi rękami ją pochowałem. Ludzie nienawidzą grabarza. Czy to jednak jego należy potępiać? Nigdy nie miałem zamiaru nikogo skrzywdzić. Jeśli o mnie chodzi, to ludzie mogą żyć wiecznie. Ale to tak już jest. No cóż, kiedy umarła moja własna żona, musiałem nawet ją pochować.

Mówią, że nieboszczyki chodzą w nocy po cmentarzu. Niektórzy nawet twierdzą, że widzieli ducha tej czy innej osoby, małe ogniki, zjawy. Byłem grabarzem przez trzydzieści lat, ale sam nie widziałem. Wchodziłem do synagogi o północy, ale żaden głos nie wołał mnie do pulpitu. Kiedy umierasz, wszystko się kończy. Nawet jeśli jest życie pozagrobowe, to nieboszczyk na tym świecie jest jedynie kupą ciała i kości.

Raz na jakiś czas, kiedy obcy umierał w naszym mieście, ciało pozostawiano na noc w pomieszczeniu do mycia nieboszczyków. Ponieważ byłem również strażnikiem, zapalałem w głowach dwie świece i odmawiałem psalmy. Ale jak długo można to robić? Powieki zaczynały mi opadać. Kładłem się wtedy na ławce i zapadałem w drzemkę. Wiatr zdmuchiwał świece i zostawałem w ciemności sam na sam z nieboszczykiem. Kiedyś zapomniałem zabrać ze sobą poduszkę wypchaną sianem. Nie mogłem wrócić się do domu, ponieważ padało oraz nie chciałem budzić żony, a więc, wybaczone mi to co mówię, wziąłem ciało i położyłem sobie pod głowę. To nie kłamstwo, ale prawda, tak jak to, że jestem teraz z wami tu, w synagodze.

- Nie każdy mógłby to zrobić - powiedział rudobrody mężczyzna.

- Ja bym tam oszalał ze strachu - dorzucił żebrak z wielką głową i łagodnymi oczami.

- Nie tak łatwo można oszaleć. Czy przeraża cię zarżnięta gęś? Nieboszczyk to jak zdechła gęś. A dlaczego trzeba pilnować nieboszczyka, jak myślisz? Aby nie dopuścić myszy.

Jak już mówiłem, powodziło mi się dobrze. Ale kiedy umarła moja żona, zaczęła mi doskwierać samotność. Nie mieliśmy dzieci. Swaci mieli dla mnie jakieś propozycje, ale jak można pozwolić, aby ktoś obcy zajął miejsce kobiety, z którą żyłeś tyle lat? Innych na to stać; ja nie byłem w stanie tego zrobić. Przez cały dzień wpatrywałem się w jej grób. Kiedyś jeden ze swatów przysłał kobietę do mej chaty. Zaczęła zamiatać podłogę. Przyszła z zamiarem, żeby zobaczyć, czy się jej podobam, ale w chwili, gdy chwyciła za szczotkę, zrobiło mi się niedobrze i odesłałem ją. Od kiedy zostałem wdowcem, nauczyłem się gotować ziemniaki w mundurkach. Zacząłem nawet piec chleb w piątki rano. Ale kiedy jesteś bez żony, nie ma do kogo otworzyć ust. Tak, byłem samotny, ale miałem pieniądze. Mogłem nawet dawać jałmużnę biednym. Miłosierdzie, moi bracia, jest najlepszym

uczynkiem.

II

- Dlaczego więc zostałeś włóczęgą? - spytał rudobrody żebrak.

- Sza, nie popędzaj mnie. Co nagle, to po diable. Mówiłem już, że nie ma powodu obawiać się nieboszczyków. Ale posłuchajcie tej historii. Gdzieś koło pięciu lat temu w naszym powiecie wybuchła epidemia. Każdego roku, szczególnie jesienią, wybuchają epidemie, które zabijają dzieci. Umierają wtedy jak muchy - na ospę, odrę, szkarlatynę czy krup. Kiedyś pochowałem ośmioro dzieci w ciągu jednego dnia. To nie jest żadna ciężka praca. Całunów nie potrzeba, wystarczy bawełniane płótno, kopiesz płytki dół i to wszystko. Mycie też nie stanowi żadnego problemu. Tak, matki rozpaczają, ale takie już są. Ale tym razem epidemia zaatakowała dorosłych - była to cholera. Nogi im drętwiały, a nacieranie alkoholem nic nie pomagało. Zaczynali wymiotować i dostawali biegunki - zwykłe objawy. Nawet cyrulik zaraził się i zmarł. Człowiek, który chciał sprowadzić doktora z Zamościa, został zaatakowany przez chorobę w drodze - nogi zaczęły mu drętwieć i umarł, jak tylko dojechał do najbliższej gospody. Tak, Anioł Śmierci zbierał swoje żniwo.

Sam grzebałem zmarłych, ponieważ inni członkowie bractwa bali się wrócić do miasta. Wraz z niemową jeździłem od domu do domu w poszukiwaniu nieboszczyków i natychmiast ich zabierałem. Ponieważ większość naszych rodzin mieszka w jednej izbie, nie można było dopuścić, aby chorzy i nieboszczycy przebywali długo razem. Był to dla mnie ciężki okres. Należało myć ciała i równocześnie robić dla nich całuny, więc nie można ich było grzebać tego samego dnia. Pomieszczenie do mycia ciał było zavalone trupami. Wieczorami zapalałem świece i siadałem, aby odmawiać psalmy. Pewnego wieczoru mieliśmy dziewięcioro nieboszczyków, pięciu mężczyzn i cztery kobiety. Ledwo co udało nam się przykryć ich prześcieradłami. W czasie epidemii wszystko wywraca się do góry nogami.

A czy wiecie, że zmarli na cholere mają dziwny wyraz twarzy? Jednemu młodzieńcowi musiałem podwiązać podbródek, bo wydawało się, że się śmieje. Ale on i tak śmiał się dalej. Jedna kobieta wyglądała znowu tak, jakby chciała krzyknąć. Tak się jakoś złożyło, że gdy żyła, wrzeszczała ile wlezie.

Nieboszczycy są zimni, ale ci, co umierają na cholere, pozostają ciepli. Kiedy dotkniesz czoła, czujesz ciepło. Zwykle ucinałem sobie krótką drzemkę, ale tej nocy nie mogłem zmrużyć oka.

Mówią, że grabarz nie odczuwa litości. Bzdura. Serce mi krwawiło, kiedy widziałem, że młodzi umierają. Dlaczegożby mieli schodzić z tego świata w kwiecie wieku? Na dworze lało jak z cebra. I chociaż mieliśmy miesiąc cheszwana, waliły pioruny z błyskawicami, jakby to było lato. Niebo płakało. Te kilka grobów, które wykopałem, zalała woda.

Między nieboszczykami była siedemnastoletnia dziewczyna, córka szewca, niedawno zaręczona. Jej ojciec, Zelig Szewc, zawsze naprawiał mi buty. Miał trzech synów, ale ją ubóstwiał, ponieważ była jego jedyną córką. Cała rodzina również zachorowała i nie mogłem zostawić jej z nimi. Potarłem piórkiem jej nozdrza, aby sprawdzić czy się rusza, ale leżała bez życia. Tam, gdzie się myje trupy, przykryłem ją workiem. Policzki miała dalej rumiane, ale przy cholery, jak już wam powiedziałem, twarz nieboszczyka nie traci normalnego koloru. Ojciec na niebie - burzyłem się w środku - dlaczego na to zasłużyli? Rodzice czekają lata, aby nacieszyć się swoimi dziećmi i nagle ni stąd, ni zowąd wszystkie ich nadzieje zostają pogrzebane.

Gdy tak śpiewałem psalmy, wydało mi się nagle, że worek przykrywający dziewczynę zaczął się poruszać. Myślałem, że mam przywidzenia; nieboszczycy przecież się nie ruszają. Zacząłem więc dalej śpiewać psalmy, lecz przykrycie znowu się poruszyło. Jak już się zorientowaliście, niełatwo mnie wystraszyć, ale mimo to aż mi ciarki po plecach przeszły. Zacząłem do tego podchodzić rozumowo, z pewnością mysz czy jakieś inne paskudztwo ciągnęło za worek. Ale nagle worek spadł. Trup podniósł głowę. Usłyszałem, jak wyszeptała: „Wody, wody!” Takie były dokładnie jej słowa.

Zrozumiałem wówczas, jakim byłem głupcem; ona ciągle jeszcze żyła. Zmarli nie odczuwają przecież pragnienia. Musiała się znajdować w, jak to nazywają, stanie kataleptycznym. Ale tak się wtedy wystraszyłem, że wyleciałem na dwór wołając o pomoc. Biegłem tak szybko, że o mało co nie złamałem sobie nogi. Cały czas krzychałem, ale nikt mnie nie słyszał. Cmentarz znajdował się daleko od miasta i lało jak z cebra. Wołałem *Słuchaj Izraelu* i co tylko przyszło mi do głowy. Wreszcie dotarłem do skraju miasta, ale kiedy zacząłem walić w okiennice, wszyscy bali się mi otworzyć. Myślę, że brali mnie za szalonego. W końcu kilku rzeźników i woźniców obudziło się, wzięło latarnie i poszło ze mną. W drodze na cmentarz zaczęli się ze mnie naigrawać. „Getz - mówili - tak się nazywam - powinieneś się wstydić. To ze strachu coś ci się przywidziało. Wszyscy się będą z Ciebie śmiać”. Zachowywali się buńczucznie, ale sami dobrze byli podszyci strachem.

W czasie deszczu rynsztoki w naszym mieście zalewa woda. Brodziliśmy więc w wodzie po kolana. Nie jest zbyt rozsądne przeziębienie się w czasie epidemii, a my przemokliśmy do suchej nitki.

Kiedy weszliśmy do pomieszczenia, gdzie leżały ciała, zobaczyliśmy, że dziewczyna leży bez okrycia z rozpostartymi ramionami. Nacierano ją, a także potrząsano i dmuchano na nią, ale ona nie dawała żadnego znaku życia. Była naprawdę martwa. Zaczęli więc się ze mnie śmiać i urągać mi. Ale rzeźnicy będą zawsze rzeźnikami. Przysięgałem, że była przedtem przykryta workiem i że zrzuciła go, kiedy próbowała usiąść, ale oni tylko stwierdzili, że wszystko to mi się jedynie wydawało. Jeden nazwał to przywidzeniem, inny majakiem, snem. Bóg wie zresztą czym. Wyszedłem w ich oczach na wariata. Ale nie było czasu, aby dalej się sprzeczać, ponieważ wszyscy musieli już iść do domu. Złożyłem więc razem ramiona i nogi dziewczyny, przykryłem ją workiem i zacząłem śpiewać psalmy. Ale teraz siedziałem jak na szpilkach. Serce waliło mi jak młotem. Napilem się łyk wódki z butelki, którą zawsze miałem pod ręką, ale to niewiele pomogło. Jednym okiem rzucałem na psalmy, a drugim na nieboszczyków. Jeśli coś takiego mogło się stać, to czyż można być pewnym czegokolwiek? Wiatr próbował zdmuchnąć świece. Trzymałem przy sobie

pudełko zapalek, nie miałem bowiem zamiaru ani przez moment pozostawać w ciemności. Byłem szczęśliwy, kiedy zaświtał ranek.

Zapomniałem wspomnieć, że oczywiście nic nie powiedzieliśmy rodzicom dziewczyny, aby ich nie przerazić. I kto wie, czy to by jej nie uratowało. Ale było już za późno. Następnego dnia byłem już gotów opuścić miasto, ale nie można tego przecież zrobić, kiedy epidemia szaleje na dobre. Nie chciałem już dłużej pilnować sam nieboszczyków i wynająłem niemowę, aby mi dotrzymywał towarzystwa. Prawda, że spał cały czas, ale przynajmniej znajdowała się koło mnie istota ludzka.

Teraz, kiedy kopałem każdy następny grób i myłem każdego następnego nieboszczyka, coś mnie gryzło. Myślałem ciągle o tej dziewczynie, jak siadała i gasnącym głosem prosiła: „Wody, wody!” Kiedy spałem, przychodziła do mnie we śnie. Chodziły mi różne myśli po głowie. Kto wie? Może oprócz niej byli inni. Może inni nieboszczycy obudzili się w swoich grobach. Żałowałem teraz, że pochowałem żonę tego samego dnia, kiedy umarła. Nigdy, aż do tej chwili, nie bałem się spojrzeć nieboszczykowi w twarz, ale co ja wiedziałem? Nic! Kiedy więc teraz wnoszono trupa, nie patrzyłem na niego. Ciągle mi się bowiem wydawało, że mruga do mnie i stara mi się coś powiedzieć, ale nie może. Za oknami srożyła się teraz zima. Wiatr hulał i ryczał tak, jakby wszystkie demony sprzysięgły się przeciwko światu. Byłem sam, ponieważ niemowa nie chciał już ze mną zostawać. Ale nie jest tak łatwo porzucić pracę. W nocy przewracałem i kręciłem się w łóżku nie mogąc zasnąć.

Pewnej nocy poczułem drapanie w uchu, ale nie z zewnątrz, lecz wewnątrz. Obudziłem się i usłyszałem głos mojej żony. Szeptala: „Getz!” Musiało mi się to śnić; umarli przecież nie mówią. Ale ucho to delikatny instrument. Mogę znieść każdy ból z wyjątkiem łaskotania w uchu. Ucho, jak wiecie, znajduje się blisko mózgu. Wiatr ucichł. A teraz opowiem wam coś. Zapaliłem świecę i ubrałem się. Wsadziłem do worka bieliznę, płaszcz oraz bochenek chleba i wyszedłem tak w środku nocy, bez żadnych pożegnań. Miasto mi było winne miesięczną zapłatę, ale to nie miało znaczenia. Nie poszedłem nawet na grób żony, co powinienem był zrobić. Zostawiłem wszystko i odszedłem.

- Bez pieniędzy?

- Miałem ze sobą kilka rubli.

- Strach cię obleciał? - spytał rudobrody żebrak.

- To nie był strach, ale rozstrój nerwowy. Chciałem później zostać kupcem, ale jakoś nie mogłem skoncentrować się na robieniu interesów. Cóż człowiekowi potrzeba? Kromkę chleba i szklankę wody. Ludzie są dla ciebie dobrzy.

- A co z twoim uchem? Czy twoja żona ciągle cię wzywa?

- Nikt mnie nie wzywa. Mam watę w uszach.

- Dlaczego watę?

- Aby uchronić je przed zimnem. Nie ma innego powodu.

Żebracy zamilkli. W ciszy słychać było trzaskanie węgla w piecu. Pierwszy odezwał się żebrak z wielką głową.

- Gdyby się to mnie przydarzyło, wykitowałbym.

- Jeśli przeznaczone ci jest żyć, to żyjesz.
- Może to była jednak twoja żona - rzekł snycerz.
- Tak jak ty jesteś rabinem z Lublina - odpowiedział grabarz.
- Może ci chciała coś powiedzieć - stwierdził rudobrody.
- Cóż takiego chciałaby mi powiedzieć? Nigdy przecież nie wziąłem sobie innej na jej miejsce.

Krótką świecę pamięci zamigotała i zgasła. W domu nauki pociemniało. Swąd wosku i spalonego knota zaczął roznosić się po pokoju od strony menory przy wschodniej ścianie. Cicho i powoli żebracy zaczęli się układać na swoich ławkach.

Lustro

I

Jest taka sieć, stara jak Matuzalem, przy tym delikatna i pełna dziur niczym pajęczyna, która jednak zachowała swoją moc aż do dziś. Kiedy demon zmęczy się gonieniem za tym, co było wczoraj, lub kręceniem się w kółko na wiatraku, może zagnieździć się w lustrze. Czeka tam niczym pająk w sieci na swoją ofiarę, a z pewnością jakaś mucha się złapie. Bóg obdarzył kobiety próżnością, szczególnie te bogate, ładne, puste i młode, które mają dużo wolnego czasu i nudzą się z powodu braku towarzystwa.

Znalazłem taką kobietę w miasteczku Kraśnik. Jej ojciec zajmował się handlem drewnem, a jej mąż spławiał je do Gdańska; zaś grób jej matki dawno już porósł trawą. Córka żyła w starym domu, wśród dębowych kredensów, obitych skórą kufrów i książek oprawnych w jedwab. Miała dwie służące; jedna była stara i głucha, a ta druga, młoda, uganiała się ciągle za pewnym skrzypkiem. Inne kobiety w Kraśniku nosiły męskie buty z cholewami, miały grykę w żarnach, darły pierze, gotowały rosół, rodziły dzieci i chodziły na pogrzeby. Nie potrzeba więc nikogo przekonywać, że Cyrł, piękna i wykształcona - wychowała się w Krakowie - nie miała o czym rozmawiać ze swoimi małomiasteczkowymi sąsiadkami. Tak więc wolała przeglądać swój niemiecki śpiewnik i haftować na płótnie portrety Mojżesza i Sefory, Dawida i Batszeby oraz Aswerusa i królowej Estery. Piękne stroje, które dostawała od męża, wisiały w szafie. Perły i diamenty leżały w puzderku. Nikt nigdy nie widział jej jedwabnych majteczek, koronkowych halek, czy rudych włosów ukrytych pod peruką, ani nawet jej męża. Bo kiedy można było to wszystko zobaczyć? Z pewnością nie w ciągu dnia, a w nocy jest ciemno.

W domu Cyrł było poddasze, które nazywała swoim buduarem. Wisiało tam lustro, dające niebieskawy refleks, jak woda tuż przed zamarznięciem. Lustro było pęknięte pośrodku i oprawione w pozłacaną ramę, bogato rzeźbioną w węże, róże i różnego rodzaju sploty. Przed lustrem leżała niedźwiedzia skóra, a tuż obok stało krzesło z oparciami na ręce z kości słoniowej i miękkim siedzeniem. Czyż mogło być coś przyjemniejszego nad siedzenie sobie nago w tym krześle? Można było przy tym wygodnie złożyć stopy na niedźwiedziej skórze i kontem płować w ciszy swoją osobę. A Cyrł miała na co patrzeć. Jej skóra była miękka i biała niczym satyna, piersi pełne jak bukłaki wina, włosy spadały jej na ramiona, a jej nogi były tak smukłe jak u sarenki. I chociaż drzwi były zamknięte i zaryglowane, wyobrażała sobie, że nagle się otwierają i wchodzi do jej samotni raz książę, innym razem myśliwy, to znowu rycerz czy poeta. A to dlatego, że wszystko, co ukryte, musi zostać ujawnione, bo każdy sekret czeka na swoje odkrycie, każda miłość pragnie zdrady, a wszystko, co święte, musi zostać zbezczeszczone. Niebo i ziemia są ze sobą w zмовie, aby to, co

dobrze się zaczyna, zawsze spotykał zły koniec.

No cóż, kiedy tylko dowiedziałem się o istnieniu tego rozkosznego stworzonka, postanowiłem, że musi być moja. Należało uzbroić się jedynie w trochę cierpliwości. Pewnego letniego dnia, kiedy tak siedziała wpatrując się w sutek swojej lewej piersi, spostrzegła mnie nagle w lustrze - byłem tam, czarny jak smoła, długi jak miotła, z uszami osła, rogami barana, ustami żaby i bródką kozła. Wpatrywałem się w nią z rozwartymi źrenicami. Była tak zaskoczona, że zapomniała o strachu. Zamiast krzyknąć *Śłuchaj Izraelu*, wybuchnęła śmiechem.

- Ojej, ale jesteś wstrętny - rzekła.

- Ojej, ale jesteś piękna - odpowiedziałem na to.

Była wyraźnie zadowolona z mojego komplementu.

- Kim jesteś? - spytała.

- Nie bój się - rzekłem. - Jestem tylko diablikiem, a nie demonem. Moje palce nie mają paznokci, moje usta są bezzębne, moje ramiona tak się gną i rozciągają jak lukrecja, a moje rogi są miękkie niczym wosk; moim zajęciem jest błazenada, dlatego też przybyłem, aby cię rozweselić, ponieważ jesteś samotna.

- A gdzie przebywałeś przedtem?

- W sypialni za kominem, gdzie świerszcz cyka a myszy chroboczą, między suchą wiązanką kwiatów a zwiędłymi gałązkami brzozy.

- Co tam robiłeś?

- Patrzyłem na ciebie.

- Od kiedy?

- Od czasu twojej nocy poślubnej.

- A czym się żywiłeś?

- Zapachem twego ciała, blaskiem twych włosów, światłem twych oczu, smutkiem twej twarzy.

- Och, ty pochlebco! - krzyknęła. - Kim jesteś? Co tu robisz? Skąd tu przybyłeś? Co zamierzasz?

Na poczekaniu wymyśliłem jakąś historyjkę. Mój ojciec, powiedziałem jej, był kowalem, a moja matka sukkubem, demonem w kobiecej postaci; kopulowali pewnej nocy ze sobą w piwnicy na kupie gnijącego sznuru i tak przyszedłem na świat ja, ich bękart. Przez jakiś czas żyłem w siedlisku diabłów na górze Seir, gdzie mieszkałem w kreciej norze. Ale kiedy dowiedziano się, że mój ojciec był człowiekiem, zostałem wygnany. Od tej pory jestem bezdomny i tułam się po świecie. Diablice unikały mnie, bo przypominałem im synów Adama; natomiast córy Ewy widziały we mnie Szatana. Psy na mnie czekały, a dzieci płakały na mój widok. Czego się bali? Nikomu nie zrobiłem przecież krzywdy. Moim jedynym pragnieniem było podziwianie pięknych kobiet. Chciałem jedynie patrzeć na nie i prowadzić z nimi rozmowy.

- Dlaczego rozmowy? Piękne nie zawsze są mądre.

- W Raju mądrzy są podnózkami pięknych.

- Mój nauczyciel mówił mi zupełnie coś innego.

- Cóż mógł wiedzieć twój nauczyciel? Autorzy książek mają przecież ptasie mózdzki: naśladowają

jedynie samych siebie, jak papugi. Zapytaj mnie, gdybyś chciała coś rzeczywiście poznać. Rozum sięga nie dalej niż pierwszy krąg niebieski. Wszystko dalej jest już tylko pożądlivością. Czy wiesz, że aniołowie nie mają głów? Serafyny bawią się w piasku jak dzieci; cherubiny nie potrafią liczyć; aralimy przezuwają swoje myśli przed Tronem Chwały. Sam Bóg ma pogodne usposobienie. Spędza czas na ciągnięciu Lewiatana za ogon, a w tym czasie liże go Dziki Wół; lub też łaskocze swoją własną istotę, która znosi każdego dnia niezliczoną ilość jaj, a każde jajo to gwiazda.

- Teraz wiem, że naigrawasz się ze mnie.

- Jeśli to nieprawda, niech mi taki cudacki róg na nosie wyrośnie. Już dawno wyczerpałem swój zasób kłamstw. Nie mam teraz innego wyboru, jak tylko mówić prawdę.

- Czy możesz płodzić dzieci?

- Nie, moja droga. Tak jak muł, jestem ostatni z linii. Nie osłabia to jednak mojego pożądania. Kładę się tylko z męczatkami, ponieważ dobre uczynki są dla mnie niczym grzechy; bluźnierstwa to moje modlitwy; złość jest dla mnie chlebem codziennym, a buta winem; pycha zaś to jak szpik moich kości. Mogę jeszcze robić jedną rzecz poza gadaniem.

To wprawilo ją w śmiech. A potem powiedziała: - Moja matka nie po to mnie wychowała, abym stała się diabelską dziwką. Uciekaj, albo każę odprawić egzorcyzmy.

- Dlaczego miałabyś się tym kłopotać - powiedziałem. - Już uciekam. Nikomu nie chcę się narzucać. *Auf wiedersehen.*

I rozviałem się jak mgła.

II

Przez siedem dni Cyrł nie przychodziła do buduaru. Drzemałem więc sobie w lustrze. Sieć została zastawiona; ofiara była przygotowana. Wiedziałem, że pożera ją ciekawość. Ziewając rozważałem już swoje następne posunięcia. Czy mam uwieść córkę rabina? Pozbawić nowożeńca męskości? Zatkać komin w synagodze? Zamienić wino szabasowe w ocet? Rozwichrzyć loki dziewicy? Wejść do baraniego rogu w czasie Rosz Haszana? Spowodować, że kantor zachrypnie? Diablikowi nigdy nie brakuje rzeczy do zrobienia, a szczególnie w czasie Strasznych Dni, kiedy nawet ryba drży z lęku. I kiedy tak siedziałem sobie, marząc o księżycowym soku i indyckich zarodkach, ona weszła do buduaru. Patrzyła za mną, ale nie mogła mnie nigdzie zobaczyć. Stanęła przed lustrem, ale ja się nie pokazałem.

- To wszystko musiało mi się tylko wydawać - mruzczała do siebie. - Musiałam śnić na jawie.

Zdjęła koszulę nocną i stała zupełnie naga. Wiedziałem, że jej mąż był w mieście i że spędził z nią poprzednią noc, chociaż ona nie udała się do rytualnej kąpieli - ale jak mówi *Talmud* „kobieta będzie zawsze posiadała raczej jedną miarkę rozwiązłości niż dziesięć skromności”. Cyrł, córka

Rozjy Glike, tęskniła za mną. W oczach jej malował się smutek. Jest już moja, tak, moja, myślałam sobie. Anioł Śmierci czekał w pogotowiu ze swym mieczem; zaś gorliwy mały diablik krzątał się, przygotowując dla niej gorący kocioł w piekle; a grzesznica, zupełnie jak palacz, zbierała odpowiednie drwa. Wszystko było już przygotowane - zaspą śnieżną i żarzące się węgle, hak na jej język, kleszcze na piersi, myszy, które będą żarły jej wątrobę, i robaki, aby gryźć jej pęcherz. Ale moja mała uwodzicielka niczego nie podejrzewała. Gładziła swą lewą, a potem prawą pierś. Patrzyła na brzuch, oglądała dokładnie uda i palce stóp. Zastanawiała się, czy ma czytać książkę, przycinać paznokcie, czy też czesać włosy. Mąż przywiózł jej perfumy z Łęczycy. Pachniała wodą różaną i goździkami. Podarował jej również sznur koralu, który oplatał jej szyję. Ale czymże jest Ewa bez węża? I czymże jest Bóg bez Lucyfera? Cyrł przepępniało pożądanie. Tak jak dziwka przywoływała mnie swoimi oczami. Trzęsącymi się ustami wypowiedziała zaklęcie:

Wiatr już się źli,
Głęboki rów tuż,
Kot sierścią łśni,
Więc zjaw się już.
Lew sroży się
A ryba śpi,
Przyjdź i weź tę,
Co należy się ci.

Kiedy wymawiała ostatnie słowo, ukazałem się jej. Twarz jej pojaśniła.

- A więc jesteś tu.

- Nie było mnie - rzekłem - ale już wróciłem.

- Gdzie byłeś?

- W zaczarowanym kraju. Byłem w Rehab, pałacu Ladacznicy, w ogrodzie złotych ptaków, blisko zamku Asmodeusza.

- Aż tak daleko?

- Jeśli mi nie wierzysz, moje złotko, chodź ze mną. Usiądź na moich plecach i złap się za moje rogi. Rozpostrę moje skrzydła i poszybujemy ponad wierzchołkami gór.

- Ależ ja nie mam nic na sobie.

- Nikt tam się nie ubiera.

- Mój mąż nie będzie miał pojęcia, gdzie jestem.

- Nie ma obawy, wkrótce się dowie.

- Jak długo trwa podróż?

- Nie więcej niż sekundę.

- A kiedy wrócę?

- Ci, którzy się tam udają, nie chcą wracać.

- A co będę tam robić?

- Będziesz siedziała na łonie Asmodeusza i plotła warkocze na jego brodzie. Będziesz jadła migdały i piła ciemne piwo; wieczorami zaś będziesz tańczyła dla niego. Do kostek będziesz miała poprzyczepiane dzwoneczki i diabły będą wirować wraz z tobą.

- A co będzie potem?

- Jeśli spodobasz się mojemu panu, będziesz należeć do niego. Jeśli zaś nie, to zajmie się tobą jeden z jego pupilów.

- A co z rankami?

- Nie ma tam ranków.

- A czy ty zostaniesz ze mną?

- Z twojego powodu może i mnie trafi się jakiś smaczny kąsek.

- Biedny mały diabliku, żal mi cię, ale nie mogę z tobą iść. Mam męża i ojca. Mam złoto i srebro, stroje i futra. Jestem przez wszystkich podziwiana w Kraśniku.

- No cóż, żegnam cię więc.

- Nie uciekaj ot tak, po prostu. Cóż mam więc zrobić?

- Teraz mówisz rozsądnie. Zagnieć trochę ciasta z najbielszej mąki. Dodaj miodu, krwi menstrualnej oraz jajko z krwawym znamieniem, a także porcję wieprzowego tłuszczu, łyżkę łoju i puchar wina po pijackiej libacji. Rozpal ogień w szabat i upiecz to na węglach. Potem zawołaj męża do łóżka i spraw, aby zjadł ciasto, które upiekłaś. Najpierw przy pomocy kłamstw nie daj mu zasnąć, a potem wyuzdaniem doprowadź go do snu. Kiedy już zacznie chrapać, obetnij mu połowę brody i jeden pejs, weź jego złoto, spal jego skrypty dłużne i podrzyj kontrakt ślubny. Jak już to wszystko zrobisz, wrzuć swoje klejnoty pod okna rzeźnika, który szlachtuje świnie - to będzie mój prezent zaręczynowy. Przed opuszczeniem domu napluj na mezuzę, dokładnie w miejsce, gdzie wypisane jest słowo *Szaddaj*, i wyrzuć modlitewnik na śmietnik. Potem przyjdź prosto do mnie. Uniosę cię na mych skrzydłach z Kraśnika na pustynię. Polecimy ponad polanami pełnymi muchomorów i lasami zamieszkanymi przez wilkołaki, ponad ruinami Sodomy, gdzie węże uchodzą za uczonych, hieny śpiewają, krowy nauczają, a złodziejom powierza się pieniądze na cele dobroczynne. Tam brzydota jest pięknem, a to, co przewrotne, uchodzi za normalne, tortury są rozrywką, a szyderstwo szczytem uniesienia. Ale śpiesz się, bo nasza wieczność krótko trwa.

- Boję się, mój diabliku, bardzo się boję.

- Każdy, kto się z nami tam udaje, odczuwa to samo.

Chciała mi jeszcze zadać dalsze pytania oraz złapać mnie na sprzecznościach, ale ja się szybko oddaliłem. Zdążyła tylko przycisnąć usta do lustra i poczuć koniec mojego ogona.

III

Ojciec jej zalewał się łzami; mąż rwał sobie włosy z głowy; służba szukała jej w drewnitni i w piwnicy; teściowa sprawdzała łopatą komin; woźnice i rzeźnicy przeszukiwali okoliczne lasy. Nocą widać było zapalone pochodnie, a echo niesło głosy poszukiwaczy: „Cyrł, gdzie jesteś? Cyrł! Cyrł!” Zaczęto podejrzewać, że uciekła do klasztoru, ale ksiądz przysięgał na krucyfiks, że to nieprawda. Posłano po cudotwórcę, a później po czarownicę, starą gojkę, która potrafiła robić podobizny ludzkie z wosku, a w końcu po człowieka, który potrafił przy pomocy lustra zlokalizować zmarłych i zaginionych; pewien chłop pożyczył im nawet swe psy gończe. Ale kiedy złapię ofiarę, to już nikt nie może mi w niczym przeszkodzić. Rozpostarłem swoje skrzydła i już nas nie było. Cyrł coś do mnie mówiła, ale ja milczałem. Kiedy dotarliśmy do Sodomy, przez chwilę krążyłem nad żoną Lota. Trzy woły były zajęte lizaniem jej nosa. Lot zaś leżał w jaskini ze swoimi córkami, pijany jak zwykle.

W dolinie cienia zwanej światem wszystko podlega zmianie. Ale dla nas czas stoi w miejscu! Adam jest ciągle nagi, Ewa, gnana chucią, wciąż jest uwodziona przez węża. Kain zabija Abla, pchła pokłada się ze słońcem, z nieba leje się potop, Żydzi ciągle wyrabiają glinę w Egipcie, a Hiob wciąż drapie swoje ciało pokryte strupami. Będzie tak się drapał aż do kresu czasu, ale nigdy nie zazna ukojenia.

Chciała rozmawiać ze mną, ale ja zatrzepotawszy skrzydłami zniknąłem. Wykonałem to, co mi polecono. Leżałem teraz na stromej skale niczym nietoperz, mrużąc niewidome oczy. Ziemia miała kolor brązu, a niebo było żółte. Diabły stały kołem, machając ogonami. Dwa żółwie spięte były w uścisku, a kamień-mężczyzna dosiadł swojego żeńskiego odpowiednika. Pojawili się Szabriri i Bariri. Szabriri przybrał postać kawalera. Na głowie miał stożkowaty kapelusz, a przy boku powyginaną szpadę. Widać było charakterystyczne gęsie nogi i kozią bródkę. Na ryju trzymał okulary i mówił niemieckim dialektem. Bariri przypominał równocześnie małpę, papugę, szczura i nietoperza. Szabriri uklonił się nisko i zaczął śpiewać, niczym wesolek na weselu:

Rach, prach, ciach,
Już jest targ.
A ta śliczna wiewióreczka,
Toż to nasza Cyrelecza.
Otwórz podwoje twych drzwi,
Bo chuć miła jest ci.

I już miał wziąć ją w swe ramiona, gdy Bariri podniósł krzyk: - Nie pozwól, aby cię dotknął! Głowę ma pokrytą świerzbem, wrzody na nogach i nie posiada tego, czego kobieta potrzebuje najbardziej. Udaje wielkiego kochanka, jednak kapłon jest przy nim uosobieniem męskości. Taki był również jego ojciec, a także jego dziad. Pozwól, abym ja został twoim kochankiem. Jestem

wnukiem Wielkiego Kłamcy. A w dodatku jestem człowiekiem majątnym i pochodzę z dobrej rodziny. Moja babka była damą dworu u Machlat, córki Namy. Moja matka miała zaszczyt myć nogi Asmodeuszowi. Mój ojciec, niech na wieki przebywa w piekle, nosił tabakierkę Szatanowi.

Szabriri i Bariri schwycili Cyrł za włosy i ciągnąc w swoje strony za każdym pociągnięciem wyrwali jej po kępce włosów. Cyrł zorientowała się, jak się rzeczy mają, i zaczęła krzyżeć: - Litości, litości!

- A kogo my tu mamy? - spytał Ketew Mariri.

- Kokietkę z Kraśnika.

- Czyż nie mają już kogoś lepszego?

- Nie, to jest najlepsza ich zdobycz.

- Kto ją tu sprowadził?

- Mały diablik.

- No to więc zaczynajmy.

- Pomocy, pomocy! - zajęczała Cyrł.

- Powiesić ją! - wydał okrzyk Gniew, syn Złości. - Na nic się tu zda twój płacz ani krzyk. Czas i zmiana nie mają tu racji bytu. Rób, co ci każą: nie jesteś ani stara, ani młoda.

Cyrł zaczęła, lamentować. Hałas obudził Lilit ze snu. Odrzuciła na bok brodę Asmodeusza i wychyliła się z pieczary. Na jej głowie zamiast włosów wiły się węże.

- Co się dzieje z tą suką? - spytała. - Skąd te wrzaski?

- Pracują nad nią.

- Czy to wszystko? Dodajcie trochę soli.

- I nie zapomnijcie zeszkrobać tłuszcz.

Cała ta zabawa trwa już tysiąc lat i, jak dotąd, nie znudziła się jeszcze czarnej bandzie. Każdy diabeł wnosi do niej swój wkład, a każdy diablik stara się ułożyć nowy kalambur. Mimo wszystko same diabły nie są jeszcze tak złe. Najbardziej wyzywają się diabllice, rozkazując nieszczęśnikom: „Zbierz szumowiny z gotującego się rosółu gołymi rękoma! Zapleć warkocze bez pomocy palców! Zrób pranie bez wody! Łap ryby w gorącym piasku! Zostań w domu i chodź po ulicach! Kap się bez zamoczenia! Ubij masło z kamieni! Rozbij beczułkę bez rozlania wina!” A w tym samym czasie cnotliwe kobiety plotkują sobie w Raju, a pobożni mężczyźni siedzą na złotych krzesłach i napychają się mięsem Lewiatana oraz chwalą się swymi dobrymi uczynkami.

Czy więc istnieje Bóg? Czy jest rzeczywiście miłosierny? Czy kiedykolwiek Cyrł uzyska zbawienie? Lub czy stworzenie jest niczym innym jak pierwotnym wężem, pełzającym, aby czynić zło? Cóż mogę na to odpowiedzieć? Jestem wciąż jedynie poślednim diabłem. Diabliki rzadko awansują. A w tym czasie pokolenia przychodzą i odchodzą, po jednej Cyrł przychodzi następna w niezliczonych odbiciach niezliczonych luster.

Rodzina małych szewców

I

Szewcy i ich drzewo rodowe

Rodzina małych szewców była sławna nie tylko we Frampolu, ale także w całej okolicy - w Janowie, Krzeszowie, Biłgoraju, a nawet w Zamościu. Abba Szuster, założyciel rodu, zjawił się we Frampolu w jakiś czas po pogromach Chmielnickiego. Wziął sobie kawałek ziemi na niewykarzowanym stoku wzgórza, tuż za jatkami rzeźników, i zbudował dom, który do niedawna jeszcze tam stał. I to nie dlatego, iżby się znajdował w jakimś cudownym stanie - kamienna podmurówka osiadła, wilgoć spaczyła małe okna, a zielony od pleśni dach, kryty gontem, obwieszony był jaskółczymi gniazdami. Ponadto odrzwia zapadły się w ziemię, a poręcze przy schodkach do nich prowadzących niebezpiecznie się wygięły. Tak więc wchodząc do środka, zamiast wstępować na próg, leciało się gdzieś w dół. Pomimo to dom przetrwał w nienaruszonym stanie niezliczone pożary, które niszczyły Frampol we wczesnym okresie jego istnienia. Krokwie podtrzymujące dach były zaś tak zbutwiałe, że rosły na nich grzyby, a kiedy potrzebne były wióry dla zatamowania krwi po obrzezaniu, wystarczyło obłamać kawałek drewna z zewnętrznej ściany i rozkruszyć go w palcach. Sami dach zaś się obsunął i był tak stromy, że kominiarz nie mógł się na niego wspinać i czyścić komina, tak więc strzelające w górę iskry ciągle wzniecały na nim pożar. Należało więc tylko łasce Bożej przypisać to, że domu nie spotkała żadna katastrofa.

Nazwisko Abby Szustera widniało w spisanej na pergaminie kronice gminy żydowskiej we Frampolu. Zgodnie ze swym zwyczajem robił każdego roku sześć par butów, aby rozdać je między wdowy i sieroty. W uznaniu dla jego działalności dobroczynnej w synagodze przyznano mu honorowy tytuł *Murenu*, co oznacza „nasz nauczyciel”, i zawsze go używano, gdy wzywano reba Abbę do czytania *Tory*.

Jego nagrobek na starym cmentarzu zniknął, ale szewcy zawsze rozpoznawali jego grób po leszczynie, która rosła obok. Zgodnie z tym, co opowiadały stare kobiety, drzewo to wykiełkowało z brody reba Abby.

Reb Abba miał pięciu synów; wszyscy z wyjątkiem jednego osiedlili się w pobliskich miasteczkach; jedynie Gecel pozostał we Frampolu. Kontynuował on dobroczynne zwyczaje swego ojca i również robił buty dla biednych, był także aktywnym członkiem bractwa pogrzebowego.

Kroniki mówią dalej, że Gecel miał syna Godła, któremu urodził się syn Trejtłel, a Trejtłowi Gimpel. Tak więc sztuka szewska przekazywana była z pokolenia na pokolenie. W rodzinie przyjął się zwyczaj, który nakazywał, aby najstarszy syn pozostał w domu i zastąpił ojca przy warsztacie.

Szewcy w rodzinie byli do siebie podobni. Niskiego wzrostu, o płowych włosach, wszyscy

również rzetelnie i uczciwie wykonywali swój zawód. Mieszkańcy Frampola byli przekonani, że reb Abba, głowa rodu, nauczył się rzemiosła od majstra szewskiego w Brodach, który zdradził mu tajemnicę, jak należy utwardzać skórę, aby zapewnić jej trwałość. W piwnicy domu mali szewcy trzymali kadz do moczenia skóry. Bóg jeden wie, jakich dziwnych chemikaliów używali do robienia swoich garbników. Nigdy nie zdradzili swego przepisu nikomu postronnemu, tak że przechodził on z ojca na syna.

Ponieważ nie jest naszym celem zajmowanie się wszystkimi pokoleniami małych szewców, ograniczymy nasze zainteresowanie do trzech ostatnich. Reb Lippe pozostawał bez dziedzica aż do bardzo starego wieku i wszyscy byli święcie przekonani, że ród na nim wygaśnie. Ale kiedy dochodził już siedemdziesiątki, żona mu zmarła i ożenił się z dość już przejrzałą dziewczyną, dójką, która urodziła mu sześcioro dzieci. Najstarszemu synowi, Fajwłowi, powodziło się całkiem dobrze. Zajmował ważną pozycję w gminie, brał udział we wszystkich ważnych posiedzeniach i przez lata był szamesem w synagodze krawców. W synagodze tej obowiązywał zwyczaj, że nowego szamesa wybierano każdego roku w czasie święta Simchat Tora. Wybranemu, jako wyraz szacunku, umieszczano na głowie dynię; w dynię wetknięte były zapalone świece i szczęśliwego wybrańca prowadzono od domu do domu, gdzie zwykle częstowano go winem i strudlem lub miodowymi ciasteczkami. Jednakowoż rebowi Fajwłowi zmarło się w czasie Simchat Tora, w dniu Radości Prawa, w czasie odbywania takiego obchodu po domach; padł bez życia na rynku miasteczka i nie można było już nic na to poradzić. Ponieważ Fajwel zyskał duże uznanie z uwagi na swoją działalność dobroczynną, rabin nadzorujący jego obowiązki stwierdził, że świece, które Fajwel niósł na głowie, rozświetlą mu drogę do Raju. Testament, który znaleziono w jego skrytce, zawierał prośbę, aby w drodze na cmentarz położono na jego trumnie młotek, szydło i kopyto na znak tego, że był człowiekiem cichym a pracowitym, który nigdy nie oszukiwał swoich klientów. Jego wola została spełniona.

Najstarszy syn Fajwła nazywał się Abba, po założycielu rodu. Tak jak inni w rodzinie, był niskiego wzrostu i krępej budowy ciała. Miał szeroką żółtawą brodę, a wysokie czoło porane było głębokimi zmarszczkami, którymi mogli się pochwalić jedynie rabini i szewcy. Oczy jego miały również żółtawą barwę, tak że cała jego postać przypominała obraz nastroszonej kury. Pomimo to był zdolnym rzemieślnikiem, dobroczynnym, jak jego przodkowie. Nie miał też równego sobie w całym Frampolu, jeśli chodzi o dotrzymywanie słowa. Nigdy nic nie obiecywał, jeśli nie był pewien, że może się z tego wywiązać; kiedy więc nie był czegoś pewien, zwykł mówić: „kto wie”, „z, wolą Boską” lub „być może”. Ponadto miał pewien zasób wiedzy. Każdego dnia czytał jeden rozdział *Tory* w tłumaczeniu na jidysz, a wolny czas poświęcał na zagłębianie się w broszurowe wydania różnych popularnych książek. Abba nie opuścił żadnego kazania głoszonego przez wędrownych kaznodziejów. Upodobał sobie też szczególnie te fragmenty *Biblii*, które były czytane w synagodze w czasie miesięcy zimowych. Kiedy w szabas jego żona Pesza czytała mu rozdziały z *Księgi Rodzaju* w tłumaczeniu na jidysz, wyobrażał sobie, że jest Noem, a jego synowie to Sem, Cham i Jafet. Innym znowu razem wcielał się w postać Abrahama, Izaaka lub Jakuba. Nachodziły go często myśli, że

jeśli Wszechmocny wezwałby go, aby złożył ofiarę ze swego pierworodnego, Gimpla, wstałby wówczas wczesnym rankiem i wypełnił rozkazy bez żadnej zwłoki. Z całą pewnością opuściłby Polskę oraz dom, w którym się urodził, i ruszyłby przed siebie, aby dotrzeć wszędzie tam, gdzie posłałby go Bóg. Znał na pamięć historię Józefa i jego braci, ale ciągle z przyjemnością czytał ją na nowo. Zazdrościł starożytnym Żydom, że Król Wszechświata objawił się im i czynił dla nich cuda, ale pocieszał się tym, że przecież między nim, Abbą, a patriarchami istniał nieprzerwany ciąg pokoleń, co jak gdyby włączało go w Boży plan objawiony w *Biblii*. Pochodził przecież od Jakuba; on i jego synowie należeli do plemienia równie niezliczonego jak piach czy gwiazdy na niebie. Żył na wygnaniu, ponieważ Żydzi w Ziemi Świętej popadli w grzech, ale oczekiwał Odkupienia i był przygotowany na nadejście tej chwili.

Abba był bez porównania najlepszym szewcem we Frampolu. Jego buty zawsze świetnie leżały na nodze, nigdy nie były za ciasne ani za luźne. Ludzie, którzy cierpieli na odciski, żylaki czy też odmrożenia, szczególnie chwalili jego robotę, twierdząc, że jego buty przynosiły im ulgę. Gardził modnymi nowinkami, tandetnie, na efekt wykończonymi butami, pantoflami o wymyślnych obcasach i słabo zeszytymi podeszwami, które po pierwszym deszczu odpadały. Jego klientami byli szanowani obywatele Frampola oraz chłopci z okolicznych wiosek i według niego zasługiwali na to, aby otrzymać jak najlepszy wyrób. Zdejmował im miarę na buty sznurkiem przewiązanym supełkami, jak za dawnych czasów. Większość kobiet we Frampolu nosiła peruki, ale jego żona Pesza zakrywała głowę również beretem. Urodziła mu siedmiu synów a on nadał im imiona po swoich przodkach - Gimpel, Gecel, Trejtel, Godeł, Fajwel, Lippe i Chananiasz. Wszyscy byli niskiego wzrostu, o żółtawej barwie włosów, tak jak ich ojciec. Od razu założył, że zrobi z nich szewców i jako człowiek, który zawsze dotrzymywał słowa, pozwalał im przyglądać się pracy w warsztacie już od najmłodszych lat, a od czasu do czasu wkładał im do głowy starą maksymę - dobra robota nigdy nie idzie na marne.

Po szesnaście godzin dziennie siedział w warsztacie. Fartuch zakrywał mu kolana, a on drążył dziury szydłem, szył igłą, barwił i polerował skórę lub ścierał ją kawałkiem szkła: od czasu do czasu nucił sobie pod nosem fragmenty pieśni przeznaczonych na Straszne Dni. Zwykle obok kręcił się kot i przyglądał się uważnie temu, co robił Abba, tak jakby chciał go pilnować. Jego przodkowie w swoim czasie łapali myszy dla małych szewców. Abba patrząc przez okno widział całe miasteczko u stóp wzgórza, a gdy sięgnął wzrokiem dalej, mógł zobaczyć drogę do Biłgoraja i ciągnące się na horyzoncie sosnowe lasy. Mógł także obserwować stare kobiety, które gromadziły się każdego ranka przy rzeźnickich jatkach, młodzieńców i wałkoni, którzy wchodzili na dziedziniec synagogi i potem go opuszczali, dziewczęta idące do pompy, aby nabrać wody na herbatę i kobiety spieszące o zmroku do rytualnej kąpieli.

Wieczorami, gdy zachodziło słońce, zmierzch otaczał swym przyćmionym blaskiem cały dom. Promyki światła tańczyły po kątach, migotały na suficie i malowały kolorem złota pasemka włosów jego rozłożystej brody. Pesza, żona Abby, gotowała wtedy kaszę i zupę w kuchni, dzieci się bawiły, a sąsiadki wpadały na chwilę poplotkować do ich domu. Abba zaś wstawał od pracy, mył ręce,

zakładał na siebie długi chałat i szedł do synagogi krawców na wieczorne modlitwy. Wiedział, że w szerokim świecie pełno jest obcych miast i dalekich krajów, że w rzeczywistości Frampol nie był większy od kropki w małym modlitewniku, ale jemu się zdawało, że jego małe miasteczko jest pępkiem świata, a jego dom znajduje się w samym tego pępka centrum. Nachodziły go przy tym często myśli, że gdyby przyszedł Mesjasz, aby zaprowadzić Żydów do Ziemi Izraela, on, Abba, pozostałby we Frampolu w swym własnym domu, na swym wzgórzu. Tylko w szabat i w dni święte dawał się ponieść swym skrytym marzeniom i oczami wyobraźni widział się na chmurze, która unosiła go do Jerozolimy.

II

Abba i jego siedmiu synów

Ponieważ Gimpel był najstarszy i miał przez to w przyszłości zająć miejsce ojca, Abba otaczał go szczególną troską. Posyłał go do najlepszych nauczycieli hebrajskiego, a nawet wynajął korepetytora, który uczył go podstaw jidysz, polskiego, rosyjskiego i arytmetyki. Abba sam zaprowadził chłopca do piwnicy i wyjaśnił mu przepis na przygotowanie garbnika, będącego tajemnicą rodzinną, uzyskiwanego przez wymieszanie chemikaliów z różnymi rodzajami kory. Powiedział mu również, że w większości przypadków prawa stopa jest większa od lewej i że duże palce u stopy stwarzają największy problem i są zarazem kluczem do dobrze leżących na nodze butów. Potem wyjaśnił Gimplowi podstawowe zasady wycinania podeszew i brandzli, szycia butów z zadartymi i ostrymi noskami, na wysokich i niskich obcasach, a także pasowania butów dla klientów z płaskostopiem, z odciskami, guzowatymi i młotowatymi palcami.

W piątki, kiedy zawsze piętrzyła się pilna robota do wykończenia, starsi chłopcy wychodzili z chederu o dziesiątej rano, aby pomóc ojcu w warsztacie. Pesza natomiast piekła chałki i przygotowywała obiad. Wyciągała z pieca pierwszą z brzegu, jeszcze gorącą chałkę, niosła ją, cały czas dmuchając i przerzucając ją z ręki do ręki, do Abby, aby pochwalić się swoim wypiekiem. Tak długo pokazywała mu ją ze wszystkich stron, aż zaczął kiwać głową z uznaniem. Potem powracała z warząchwią, aby mógł spróbować zupy rybnej lub też prosiła go, aby skosztował kawałek świeżo upieczonego ciasta. Pesza ceniła sobie bardzo jego zdanie. Kiedy znowu szła kupować materiał na ubranie dla siebie lub dla dzieci, przynosiła do domu najpierw próbki, aby on sam zdecydował. Nawet przed wyjściem do rzeźnika pytała go o zdanie - co powinna kupić, mostek lub też kawałek mięsa na pieczeń, czy też łopatkę albo żeberka? Radziła się go nie dlatego, że się bała lub też nie miała własnego zdania, ale z tej prostej przyczyny, że według niej posiadał zawsze wyrobioną opinię w każdej sprawie. I nawet kiedy była przekonana, że nie ma racji, okazywało się w końcu, że jednak musiała mu przyznać słusność. Nigdy nie zachowywał się w stosunku do niej obcesowo. Kiedy

więc uważał, że zachowuje się jakby była niespełna rozumu, rzucał jej tylko wymowne spojrzenie, a ona od razu wiedziała, o co mu chodzi. W taki sam sposób postępował z dziećmi. Pas wisiał na ścianie, ale on rzadko go używał; jego bronią była dobroć. Nawet obcy go szanowali. Kupcy sprzedawali mu skórę po rozsądnych cenach i nie stawiali sprzeciwu, kiedy prosił o kredyt. Jego klienci darzyli go takim zaufaniem, że bez szemrania płacili za buty tyle, ile od nich zażądał. W synagodze krawców zawsze był wzywany jako szósty w kolejności do czytania *Tory*, co było nie lada zaszczytem. A kiedy pożyczał pieniądze pod zastaw lub miał zapłacić jakiś podatek, nigdy nie trzeba było przypominać mu o terminie wywiązania się z ciążących na nim zobowiązań. Zawsze niezawodnie spłacał swoje należności zaraz po szabasie. Miasteczko wkrótce poznało jego cnoty i chociaż był tylko zwykłym szewcem i, mówiąc prawdę, do pewnego stopnia nieukiem, to traktowano go niczym kogoś wybitnego.

Kiedy Gimpel skończył dwanaście lat, Abba ubrał go w fartuch i zaprzął do pracy w warsztacie. Po Gimplu, Gecel, Trejtel, Godeł i Fajwel zostali czeladnikami. I chociaż byli przecież jego synami i utrzymywał ich ze swoich zarobków, to jednak płacił im wynagrodzenie. Dwaj najmłodsi chłopcy, Lippe i Chananiasz, ciągle jeszcze pobierali nauki w chederze, ale i oni również pomagali w prostszych pracach, stukając młotkiem. Abba i Pesza byli z nich dumni. Rankiem wszyscy razem zbierali się w kuchni na śniadanie, myli swoje sześć par rąk, wypowiadając odpowiednie słowa błogosławieństwa i zaraz potem sześć gęb żuło smażoną kaszę i żytni chleb.

Abba lubił sadzać sobie wówczas dwóch najmłodszych chłopców na kolanach i śpiewał im starą piosenkę z Frampola:

Matka miała
Dziesięciu małych chłopców
Och, tak Panie, dziesięciu małych chłopców!
Pierwszy nazywał się Awremele,
Drugi zaś Berele,
A trzeci Gimpele,
A czwarty znowu Dowidl
Piąty zwał się Herszele...

W tym momencie wszyscy chłopcy włączali się, śpiewając chórem refren:

Och, tak Panie, Herszele!

Teraz, kiedy miał czeladników, Abba mógł robić więcej i jego dochód wzrósł. Życie było tanie we Frampolu, a ponieważ chłopcy często obdarowywali go a to cetnarem zboża, osełką masła, workiem kartofli czy też dzbanem miodu, kurą lub gęsią, był w stanie zaoszczędzić trochę pieniędzy na jedzeniu. Wraz z polepszaniem się ich sytuacji życiowej, Pesza zaczynała mówić o rozbudowie domu. Pokoje były za małe i za niskie. Podłoga bujała się pod nogami. Tynk odpadał z drewnianych ścian i wychodziło z nich różnego rodzaju robactwo. Ciągle też żyli w strachu, że sufit spadnie im na

głowę. I chociaż trzymali kota, cały czas dom trapiła plaga myszy. Pesza domagała się, aby rozebrać tę rudere i zbudować większy dom.

Abba nie od razu ustosunkował się do tego negatywnie. Powiedział jedynie żonie, że przemyśli całą sprawę. Kiedy jednak się nad tym zastanowił, stwierdził, że pozostawi wszystko tak jak jest. Po pierwsze, bał się, że rozebranie domu może przynieść nieszczęście. Po drugie, obawiał się, że ktoś mógłby rzucić na nich urok - ludzie i tak dostatecznie im zazdrościli i spoglądali na nich kosym okiem. A po trzecie, trudno mu było rozstać się z domem, w którym jego cała rodzina była zakotwiczona od pokoleń. Żyli tu przecież i umierali jego rodzice, dziadkowie i wszyscy ich przodkowie. Znał dobrze każdy kąt w domu, każdą dziurę i załamanie. Kiedy gdzieś ze ściany odpadła farba, pod nią od razu ukazywała się druga warstwa o innym kolorze, a pod nią jeszcze następna. Ściany były niczym album rodzinny, który przedstawia losy rodziny. Poddasze zawały pozostałości po jego przodkach - były tam stoły i krzesła, pulpity szewskie i kopyta, osełki i noże, stare ubrania, garnki, rondle, pościel, deski do krajania, kołyski. Na podłodze leżały porozrzucone worki wypełnione podartymi modlitewnikami.

Abba lubił wspinać się na poddasze w letnie upalne dni. Wisiały tam wielkie pajęczyny i promienie słońca, przeciskając się przez dziury w dachu, malowały je kolorami tęczy. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. I kiedy tak cały zamieniał się w słuch, wydawało mu się, że słyszy jakieś szepty, pomruki i lekkie drapanie, tak jakby jakaś niewidzialna istota nie mogła się oderwać od swych nie kończących się zajęć, a przy tym mówiła w jakimś niezmiernym języku. Był pewien, że dusze jego przodków stoją na straży domu. W taki sam sposób kochał ziemię, na której on stał. Chwasty sięgały tu człowiekowi do głowy. Wszędzie dookoła rozpościerała się bujna roślinność. Widać było pełno krzaków jeżyn. Kosmate liście i ostre gałązki niczym pazury i kły wczepiały się w ubranie każdego, kto chciał się tędy przedzierać. Chmary much i komarów kłębiły się w powietrzu, natomiast ziemia aż ruszała się od robaków i żmij różnego rodzaju. W zaroślach widać było kopuły mrowisk i gdzieś świeżo wydrążone norki myszy polnych. Wśród tego pustkowia rosła grusza. Każdego roku w okresie święta Kuczek rodziła małe owoce, twarde jak kamień i o smaku drewna. Nad całą gęstwiną szybowały ptaki i latały pszczoły oraz wielkie złotawo-zielonkawe muchy. Po każdym deszczu wystrzeliwały do góry muchomory. Ziemia leżała tu odłogiem, ale jakaś niewidzialna ręka pilnowała tego, aby mogła wydać swe owoce.

Kiedy Abba tak tu stał i patrzył do góry na letnie niebo, pogrążając się całkowicie w kontemplowaniu chmur, które przybierały kształty łodzi żaglowych, owiec, rozłożystych krzewów, stad słoń, czuł obecność Boga, Jego opatrność i Jego miłosierdzie. Wydawało mu się, że wręcz widzi Wszechmogącego, który siedzi na swym Tronie Chwały, a Ziemia służy mu za podnózek. Szatan został już pokonany, a aniołowie śpiewają hymny chwały.

Księga Pamięci, w której zapisane są wszystkie uczynki ludzi, leżała otwarta. Czasami o zachodzie słońca wydawało się Abbie, że widzi rzekę ognia w królestwie podziemi. Płomienie buchały z palących się węgli, a słup ognia podnosił się i ogarniał brzegi. I gdy zaczął wytężyć słuch, wydawało mu się, że słyszy stłumione krzyki grzeszników oraz szydery śmiech Szatana.

Nie, to, co miał, wystarczało zupełnie Abbie Szusterowi. Czuł się z tym dobrze. Nie było potrzeby niczego zmieniać. Niech wszystko pozostanie więc tak, jak trwało przez wieki, aż do chwili, kiedy dożyje dni, które są mu przeznaczone i zostanie pochowany na cmentarzu wśród swych przodków, którzy od najdawniejszych czasów ubierali w buty czcigodnych członków gminy i których dobre imię mieszkańcy Frampola i okolic przechowują we wdzięcznej pamięci aż po chwilę obecną.

III

Gimpel emigruje do Ameryki

Przysłowie mówi: Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

Pewnego dnia, kiedy Abba mozolił się nad jakimś butem, jego najstarszy syn, Gimpel, wszedł do warsztatu. Jego piegowata twarz cała płonęła, a pod mycką widać było rozmierzwione płowe włosy. Zamiast usiąść przy pulpicie, stanął u boku ojca, spojrzał na niego z pewnym wahaniem, ale w końcu odezwał się: - Ojcze, muszę ci coś powiedzieć.

- No cóż, przecież ci nie przeszkadzam - odpowiedział Abba.

- Ojcze! - wykrzyknął. - Jadę do Ameryki!

Abba przerwał robotę. Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć. Podniósł brwi do góry.

- Co się takiego stało? Czyżbyś kogoś obrabował lub wdał się w jakąś bójkę?

- Nie, ojcze.

- No więc dlaczego chcesz uciekać?

- Nie ma dla mnie przyszłości we Frampolu.

- A dlaczego nie? Masz przecież zawód. Jeśli Bóg pozwoli, pewnego dnia ożenisz się. Masz jeszcze wszystko przed sobą.

- Mam już dosyć małych miasteczek; obrzydli mi też ci ludzie. Wszystko to jest śmierdzące bagno.

- Kiedy zabiorą się do osuszania - rzekł Abba - to nie będzie już żadnych bagien.

- Nie, ojcze, nie o to mi chodzi.

- A więc o co ci chodzi?! - krzyknął Abba z gniewem w głosie. - Mów jaśniej!

Chłopak zaczął wyjaśniać, ale Abba nie mógł zrozumieć z tego ani słowa. Oskarżał synagogę i władze z taką zajadłością, że Abba zaczął przypuszczać, że biednego chłopca opętał zły duch: nauczyciele hebrajskiego biją dzieci; kobiety wylewają pomyje tuż za próg; sklepikarze wałęsają się po ulicach; nigdzie nie ma publicznych toalet i ludzie załatwiają się gdzie chcą, czy to z tyłu za mykwą lub też nawet na otwartej przestrzeni, przyczyniając się w ten sposób do wybuchu epidemii i

różnych zaraz. Wydrwił też Ezraela, uzdrowiciela, i Mechelesa, swata. Nie oszczędził również sądu rabinackiego, łaźni z mykwy, praczki i nadzorcy z przytułku, a także wielu zawodów i bractw dobroczynności.

Na początku Abba obawiał się, że chłopak postradał zmysły, ale im dłużej ten ciągnął swą napaść, stawało się coraz bardziej oczywiste, że po prostu zboczył z drogi cnoty. Jakub Reifman, ateista, przyjeżdżał przecież szerzyć swoje poglądy do Szczebrzeszyna, niedaleko Frampola. Jego uczeń, zdrajca Izraela, przyjeżdżał od czasu do czasu do Frampola w odwiedziny do swej ciotki i zebrał wielu zwolenników pośród wałkoni i innych nieudaczników. Nigdy jednak nie przyszło Abbie do głowy, że jego Gimpel mógłby mieć coś wspólnego z tą bandą.

- I co powiesz, ojcze? - spytał Gimpel.

Abba zastanowił się nad tym głęboko. Wiedział, że dyskusja z Gimplem jest bez sensu, a przy okazji przypomniało mu się powiedzenie o łyżce dziegciu, która może zepsuć cały garnek miodu.

- No cóż - odpowiedział - nic na to nie mogę poradzić. Jeśli chcesz jechać, to jedź. Nie będę cię zatrzymywać.

I powrócił do przerwanej roboty.

Ale Pesza nie poddała się tak łatwo. Błagała Gimpla, aby nie jechał tak daleko. Wylewała łzy i zaklinała go, aby nie sprowadzał hańby na rodzinę. Pobiegła nawet na cmentarz, na groby swych przodków, aby szukać wstawiennictwa u zmarłych. Ale w końcu przekonała się, że Abba miał rację: rzeczywiście nie było sensu dalej przekonywać Gimpla. Stęzał na twarzy w uporze, a jego żółtawe oczy nabrały złowrogiego spojrzenia. Stał się obcym we własnym domu. Spędził tę noc u przyjaciół, a rano wrócił tylko, aby zapakować na drogę swój tałes i filakteria, kilka koszul, koc oraz trochę jajek na twardo i był już gotowy do wyjazdu. Zaoszczędził też dosyć pieniędzy na podróż. Kiedy matka zobaczyła, że klamka już zapadła, zaczęła go namawiać, aby wziął ze sobą przynajmniej słoik jakichś przetworów, butelkę soku wiśniowego oraz pościel i poduszki. Gimpel jednak odmówił. Miał zamiar przedostać się przez zieloną granicę do Niemiec, a z dużym i ciężkim bagażem byłby bez szans. Mówiąc więc krótko, ucałował matkę, pożegnał się z braćmi i przyjaciółmi i wyruszył w drogę. Abba, nie chcąc rozstawać się z synem w gniewie, zawiózł go wozem na stację w Rejowcu. Pociąg nadjechał z wielkim hałasem w środku nocy, wypuszczając z sykiem i gwizdem kłęby pary. Abba wziął światła lokomotywy za oczy jakiegoś piekielnego potwora i chciał jak najdalej uciec od kominów parowozu, strzelających w górę słupami iskier, dymem i parą. Oślepiające światła parowozu pogłębiały tylko ciemności zalegające stację. Gimpel niczym szalony kręcił się w kółko ze swym bagażem, a ojciec podążał za nim krok w krok. Już w ostatnim momencie chłopak pocałował ojca w rękę, a Abba krzyknął za nim w ciemność: - Powodzenia! I nie zapomnij o swojej religii!

Pociąg odjechał, a w nozdrzach pozostał Abbie zapach dymu, zaś w uszach dzwonienie. Ziemia zdrząła mu pod nogami. Miał wrażenie, że to jakieś demony porwały chłopca. Kiedy wrócił do domu, a Pesza rzuciła się na niego z płaczem, powiedział do niej tylko: - Pan dał i Pan zabrał...

Mijały miesiące, a Gimpel nie dawał żadnego znaku życia. Abba wiedział, że tak to jest z młodymi, gdy opuszczają swój dom rodzinny - zapominają o swych najbliższych. Jak mówi

przysłowie: Co z oczu, to i z serca. Zwątpił już, czy kiedykolwiek jeszcze w życiu dostanie od niego jakąś wiadomość, aż tu pewnego dnia nadszedł list z Ameryki. Abba rozpoznał od razu charakter pisma syna. Gimpel pisał, że bezpiecznie przedostał się przez granicę, że zobaczył wiele obcych miast i że spędził cztery tygodnie na pokładzie statku, odżywiając się tylko ziemniakami i śledziami, ponieważ nie chciał dotykać niczego niekoszernego. Ocean był bardzo głęboki, a fale wznosiły się aż pod niebo. Widział latające ryby, ale nie widział syren ani trytonów i nie słyszał ich śpiewu. Nowy Jork jest wielkim miastem, a domy tam sięgają chmur. Pociągi jeżdżą pod dachami. Goje mówią tam po angielsku. Nikt nie chodzi z oczami spuszczoneymi ku ziemi, każdy trzyma głowę wysoko podniesioną do góry. Spotkał wielu swych rodaków w Nowym Jorku; wszyscy oni noszą krótkie płaszcze. On także. Zawód, którego wyuczył się w domu, stał mu się tu bardzo przydatny. On ma się *all right*; zarabia sam na życie. Napisze znowu, tym razem już długi list. Całuje ojca, matkę i swych braci i przesyła pozdrowienia wszystkim swoim przyjaciołom.

Był to mimo wszystko serdeczny list.

W swym drugim liście Gimpel poinformował, że zakochał się w pewnej dziewczynie i że kupił jej pierścionek z brylantem. Ona nazywa się Bessie i pochodzi z Rumunii oraz pracuje *at dresses*. Abba założył na nos swe okulary w miedzianej oprawce i poświęcił dużo czasu, aby odcyfrować niezrozumiałe dla siebie słowa. Gdzie ten chłopak nauczył się tylu angielskich słów? Trzeci list oznajmiał, że się ożenił i że ślubu udzielił im *a reverend*. Załączył również swoją fotografię z żoną.

Abba nie mógł w to uwierzyć. Jego syn ubrany był jak prawdziwy dżentelmen z cylindrem na głowie. Panna młoda zaś wyglądała jak hrabina w białej sukni z trenem i w welonie; w rękę trzymała bukiet kwiatów. Pesza spojrzała na zdjęcie i uderzyła w płacz. Bracia Gimpla wytrzeszczali tylko oczy ze zdumienia. Do domu zaczęli przybiegać sąsiedzi i znajomi z całego miasteczka, aby zapoznać się z ostatnimi nowinami. Daliby sobie głowę uciąć, że Gimpel został przeniesiony przy pomocy jakichś czarów do kraju, gdzie wszyscy mieli kieszenie wypchane złotem i gdzie wziął sobie za żonę księżniczkę - zupełnie tak jak w tych historiach, które do miasta w wydaniach broszurowych przywozili drobni handlarze.

Tak więc, aby się długo nie rozwodzić, Gimpel namówił Gecla, aby ten przyjechał do Ameryki, z kolei Gecel sprowadził tam Trejtla, w którego ślad poszli Godeł i Fajwel, a potem wszyscy pięcioro sprowadzili najmłodszych, Lippego i Chananiasza. Pesza żyła teraz tylko myślą o listach. Przymocowała do framugi drzwi puszkę na jałmużnę i za każdym razem, kiedy przychodził list, wrzucała do niej miedziaka. Abba pracował teraz zupełnie sam. Nie potrzebował już czeladników, ponieważ miał teraz niewielkie wydatki i mógł sobie pozwolić na mniejsze zarobki. W rzeczywistości mógłby zaprzestać w ogóle pracy, odkąd synowie zaczęli mu przysyłać pieniądze z zagranicy. Pomimo to wstawał jak zawsze o wczesnej godzinie i siedział w warsztacie do późnego wieczora. Dźwiękowi jego młotka wtórowały różne swojskie odgłosy, a to cykającego świerszcza za kominem, to znowu myszy, chroboczącej w swej norze, czy też skrzypiących gontów na dachu. Wszystko to, co zaszło, nie mieściło mu się w głowie. Od pokoleń mali szewcy żyli we Frampolu. I nagle ptaszki wyleciały z klatki. Czy była to kara, czy też sąd nad nim? Czy to wszystko miało

jakikolwiek sens? Abba wydrążył dziurę w podszewie, wcisnął kołek i zamruczał do siebie: - A więc to ty, Abba, wiesz co robisz, a Bóg niby nie? Hańba ci, głupcze! Niech się stanie Jego wola. Amen!

VI

Worek z Frampola

Minęło prawie czterdzieści lat. Pesza dawno już zmarła na cholera podczas okupacji austriackiej. Zaś synowie Abby wzbogacili się w Ameryce. Każdego tygodnia przysyłali do niego listy z błagalnymi prośbami, aby przyjechał do nich, ale on pozostał we Frampolu, w tym samym starym domu, na wzgórzu pełnym nie wykarczowanych pniaków. Miał już przygotowany grób obok grobu Peszy, wśród mogił małych szewców; nagrobek był już postawiony i brakowało tylko daty zgonu. Abba postawił ławkę przy grobie żony i zwykle w wigilię Rosz Haszana lub w czasie postów przychodził tu, aby się modlić i czytać *Skargi Jeremiaszowe*. Lubił bardzo spędzać czas na cmentarzu. Niebo było tu jakieś jaśniejsze i pogodniejsze niż w mieście, a do tego nad tą poświęconą ziemią, pokrytą zarośniętymi mchem nagrobkami, zalegała jakaś uroczysta, niczym nie zmacona cisza. Lubił sobie siedzieć i patrzeć na wysokie białe brzozy, które drżały nawet wtedy, gdy nie było najmniejszego wietrzyku oraz wrony bujające się na gałęziach, niczym jakieś wielkie czarne grona. Przed śmiercią Pesza uzyskała od niego obietnicę, że się powtórnie nie ożeni i że będzie regularnie przychodził na jej grób z wiadomościami od dzieci. Dotrzymywał danego jej przyrzeczenia. Kładł się na ziemi wzdłuż jej grobu i szeptał jej do ucha, tak jakby ciągle jeszcze żyła: „Gimpel ma następnego wnuka. Ogłoszono zaręczyny następnej córki Gecla, Bogu dzięki...”

Dom na wzgórzu popadł w całkowitą ruinę. Krokwie doszczętnie przegniły i dach musiał być podtrzymywany przez ułożone w słupy kamienie. Dwa z trzech okien zabito deskami, ponieważ nie można było obsadzić szkła w ramach okiennych. Podłoga zaś świeciła już tylko gołym klepiskiem. Grusza w ogrodzie uschła, a jej pień i gałęzie pokrywały łuski zeschłej kory. Sam zaś ogród zarastały gęsto krzewy trujących jagód i dzikiego wina. Pełno było również łopianu i ostu, źródła rzepów, którymi dzieci ciskają w czasie Tiszeb'aw. Ludzie zaklinali się, że widzieli tam dziwne ognie płonące nocą oraz że na poddaszu zagnieździły się nietoperze, które wkręcały się we włosy dziewcząt. Jeśli nawet i tak było, to sowa hukająca gdzieś obok domu z całą pewnością nie była żadnym przywidzeniem. Sąsiedzi ciągle ostrzegali Abbę, aby wyprowadził się z tej rudery zanim będzie za późno - najmniejszy wiatr mógłby ją zmieść. Namawiali go również, aby przestał pracować - synowie zalewali go przecież pieniędzmi. Ale Abba jak zwykle, na przekór wszystkim, wstawał o świcie i szedł do warsztatu, aby zacząć robotę. I chociaż żółtawe włosy nie tak łatwo zmieniają kolor, broda Abby całkowicie posiwiiała. Jego brwi rozrosły się niczym krzaki i zakryły mu oczy, a wysokie czoło wyglądało jak kawałek żółtego pergaminu. Nie stracił jednak wyczucia w rękę. W

dalszym ciągu wychodziły spod jego ręki mocne, porządne buty, chociaż zabierało mu to teraz trochę więcej czasu. Dalej drążył dziury szydłem, szył igłą, wbijał kołki młotkiem i chrapliwym głosem śpiewał sobie starą szewską piosenkę:

Matka kupiła koziołka,
Szochet zabił koziołka,
Och, tak Panie, koziołka!
Awremele zabrał uszy,
Berele wziął płucka,
Gimpele dostał gardziel,
A Dowidl ozór,
Herszele wziął kark...

A ponieważ nie było nikogo, kto by mu wtórował, śpiewał więc refren sam zamiast chóru:

Och, tak Panie, koziołka!

Przyjaciele namawiali go, aby wziął sobie służącą, ale on nie chciał wpuszczać obcej kobiety do domu. Od czasu do czasu jedna z sąsiadek przychodziła do niego, aby pozamiatać i posprzątać w domu, ale nawet to było mu trudno znieść. Przyzwyczyił się już do swojej samotności. Nauczył się gotować i zwykle pitrasił sobie zupę, a w piątki przygotowywał nawet czulent na szabat. Najbardziej jednak lubił siedzieć w warsztacie i zagłębiać się w swoje myśli, które wraz z upływem lat stawały się coraz bardziej pogmatwane. Dniem i nocą prowadził rozmowy sam ze sobą. Zadawał sobie pytania i udzielał na nie odpowiedzi. Przychodziły mu do głowy mądre słowa, bystre, stosowne do danej chwili wyrażenia, przepełnione mądrością wieku dojrzałego, tak jakby jego dziadowie ożyli i na nowo prowadzili swe nie kończące się dysputy w jego umyśle, dotyczące tego, jak i przyszłego świata. Wszystkie jego myśli koncentrowały się wokół jednego problemu: Czym jest życie, a czym jest śmierć, czymże jest czas, że płynie bez ustanku i jak daleko jest Ameryka? Zamykał wtedy oczy; młotek wypadał mu z rąk, ale on w dalszym ciągu słyszał charakterystyczne szewskie stukanie młotkiem - najpierw lekkie stuknięcie, potem trochę głośniejsze, a w końcu trzecie, najgłośniejsze - tak jakby siedział koło niego jakiś duch i naprawiał niewidzialne buty. Kiedy jeden z sąsiadów zapytał go, dlaczego nie jedzie do synów, wskazał tylko na stertę butów i powiedział: - Nu, a buty? Kto będzie je naprawiał?

Mijały lata, a on nie miał pojęcia, gdzie one wszystkie się podziały. Przybywający do Frampola wędrowni kaznodzieje przywozili ze sobą niepokojące wieści ze świata. W synagodze krawców, do której Abba ciągle chodził, młodzi mówili o wojnie i antysemitycznych ustawach, o Żydach uciekających do Palestyny. Chłopi, którzy byli od lat klientami Abby, nagle przestali do niego przychodzić i zaczęli nosić swoje buty do polskich szewców. A pewnego dnia starzec usłyszał, że nowa wojna światowa jest nieunikniona. Hitler - niech szczerze jego imię! - zebrał swoje zastępy barbarzyńców i groził zagarnięciem Polski. Ten bicz na Izraela wygnał Żydów z Niemiec, tak jak to

miało miejsce kiedyś w Hiszpanii. Starzec pomyślał od razu o Mesjaszu i strasznie się podniecił. Kto wie? Być może była to właśnie walka między Gogiem a Magogiem? Być może Mesjasz rzeczywiście przyjdzie i zmarli powstaną z grobów! Widział już otwierające się groby i wychodzących z nich małych szewców - Abbę, Gecla, Trejtla, Gimpla, swego dziada, swego ojca. Zawołał ich wszystkich do domu i postawił nalewkę i ciasteczka. Pesza, jego żona, spłonęła wstydem, gdy odkryła w jakim stanie był dom. „Nic nie szkodzi - zapewniał ją - weźmy kogoś do sprzątnia. Jak długo jesteśmy razem!” Nagle pojawiła się chmura i otuliła cały Frampol - synagogę, dom nauki, mykwę, wszystkie żydowskie domy, w tym i jego dom - i przeniosła miasteczko do Ziemi Świętej. Można sobie wyobrazić jego zdziwienie, gdy zobaczył swych synów z Ameryki. Upadli mu do stóp z krzykiem: „Przebacz nam, ojcze!”

Kiedy Abba oczami duszy zobaczył ten obraz, uderzenia jego młotka nabrały tempa. Widział dalej małych szewców ubranych w powiewne szaty z jedwabiu i satyny przewiązane szerokimi szarfami, jak przeżywają radość bycia w Jerozolimie. Modlą się w Świątyni Salomona i jedzą mięso wołu i Lewiatana. Jak starożytny Jochanan, szewc słynny ze swej pobożności i mądrości, wita całą rodzinę i wciąga ją w dyskusję nad *Torą* i szewskim rzemiosłem. Po szabacie cała rodzina wraca do Frampola, który stał się już częścią Ziemi Izraela i wchodzi do swojego starego domu. I chociaż dom jest tak mały, jak przedtem, to jednak jakimś cudownym sposobem stał się dostatecznie obszerny, niczym kryjówka jelenia opisana w Biblii. Wszyscy razem pracują w jednym warsztacie, każdy z Abbów, Gimplów, Geclów, Godlów, Trejtlów i Lippów, i szyją złote sandały dla córek oraz wspaniałe buty dla synów Syjonu. Sam Mesjasz odwiedza małych szewców i prosi ich, aby mu zdjęli miarę na parę jedwabnych pantofli.

Pewnego ranka, gdy tak wędrował gdzieś w swych myślach, nagle usłyszał straszny huk. Starcowi ciarki przeszły po kościach: toż to odgłosy trąb Mesjasza! Upuścił but, który właśnie naprawiał i wybiegi w ekstazie. Ale nie był to Eliasza prorok zapowiadający Mesjasza. Hitlerowskie samoloty bombardowały Frampol. W mieście wybuchła panika. Bomba spadła koło synagogi z takim hukiem, że Abba poczuł, jak mu się mózg wywraca. Dookoła niego zapanowało piekło. Wybuchom towarzyszyły strzelające w powietrze słupy ognia, które rozświetlały cały Frampol. Nad dziedzińcem synagogi unosiła się czarna chmura. Stada ptaków krążyły po niebie. Palił się las. Patrząc na dolinę ze swego wzgórze, Abba widział sady w kłębach dymu. Obsypane owocem jabłonie stały w płomieniach. Kilku mężczyzn, stojących obok niego rzuciło się na ziemię. Krzyczeli do niego, aby zrobił to samo. Nie słyszał ich. Wydawało mu się, że poruszają tylko ustami, jakby odgrywali jakąś pantomimę. Poczul, że kolana się pod nim uginają. Trzęsąc się ze strachu powrócił do domu i zapakował do worka swój tałes, filakteria, koszulę i narzędzia szewskie, a także banknoty, które trzymał w sienniku. Potem wziął kij, pocałował mezuzę i wyszedł. Tylko cudem nie stracił życia; dom stanął w płomieniach w chwilę po jego wyjściu. Dach zsunął się, jak jakaś przykrywka, odsłaniając poddasze wraz z jego skarbami. Ściany się zawaliły. Abba odwrócił się i zobaczył jak ogień trawi półkę ze świętymi księgami. Szczerniałe strony przewracały się na wietrze, ukazując świecące ognistym blaskiem litery, zupełnie tak jak na tablicach *Tory*, danych Żydom na

V

Za oceanem

Od tego dnia życie Abby zmieniło się nie do poznania - przypominało do złudzenia niejedną historię, którą, czytał w Biblii, lub fantastyczną opowieść zasłyszana z ust wędrownego kaznodziei. Porzucił dom swoich przodków i miejsce swego narodzenia i z kijem w ręku poszedł w świat, tak jak patriarcha Abraham. Zniszczenia, które ogarnęły Frampol i okoliczne wioski, przywodziły na myśl Sodomę i Gomorę, ginące w szalejącym ogniu. Spędzał teraz nocę na cmentarzu wraz z innymi Żydami, mając za podglówek nagrobek, zupełnie jak Jakub w Betel, gdy był w drodze z Beer-Szeby do Charanu.

W Rosz Haszana Żydzi zmuszeni byli odprawić ceremonię w lesie. Abba prowadził odmawianie najbardziej uroczystej modlitwy *Szemone esre*, ponieważ był jedynym, który miał tałes. Stał pod sosną, która służyła za ołtarz i chrapliwym głosem zaintonował modlitwę błagalną przeznaczoną na Straszne Dni. Zawtórowały mu od razu kukułka i dzięcioł, wszystkie zaś inne ptaki znajdujące się w okolicy zaczęły ćwierkać, gwizdać i skrzeczeć. Nitki babiego lata unosiły się w powietrzu i pchane lekkim wietrzykiem wplątywały się w brodę Abby. Od czasu do czasu dochodziły gdzieś z lasu przytłumione odgłosy, przypominające dźwięki baraniego rogu. Ponieważ zbliżał się Sądny Dzień, Żydzi z Frampola wstawali w nocy, aby odmówić modlitwę o przebaczenie, recytując te fragmenty, które dobrze pamiętali. Na okolicznych pastwiskach rżały i parskały konie. Słysząc było również rechot żab. Od czasu do czasu dochodziły z daleka odgłosy strzałów armatnich; krwawa luna rozlewała się po niebie. Z nieba spadały kawałki żelaza, a błyski wybuchów rozświetlały horyzont. Zagłodzone dzieci zapadały na różne choroby i wyczerpane płaczem umierały w ramionach matek. Wiele osób pochowano na polach, a jedna kobieta powiła tam dziecko.

Abbie wydawało się, że przywdział skórę swojego prapradziada, który uciekł przed pogromami Chmielnickiego i którego imię zapisane jest w kronikach Frampola. Gotów był złożyć z siebie ofiarę dla Świętego Imienia. Oczyma wyobraźni widział księży i Inkwizycję, a kiedy powiał wiatr między gałęziami drzew wydawało mu się, że słyszy głos żydowskich męczenników: „Słuchaj Izraelu, Pan jest Bogiem naszym, Pan jest jeden!”

Na szczęście Abba mógł wspomóc wielu Żydów swoimi pieniędzmi. Przydały się też jego szewskie narzędzia. Za pieniądze wynajęli wozy i zaczęli uciekać na południe, do Rumunii. Niektóre, nawet długie, odcinki drogi musieli jednak pokonywać na piechotę i buty im się rozpadały. Abba zatrzymywał się wtedy pod jakimś drzewem, wyciągał swoje narzędzia i zabierał się do naprawy. Z Bożą pomocą pokonali w końcu wszystkie niebezpieczeństwa i nocą przekroczyli

rumuńską granicę. Następnego ranka, a była to wigilia Jom Kipur, pewna stara wdowa zabrała Abbę do swego domu. Wysłany również został telegram do synów Abby w Ameryce, informujący ich, że ojciec znalazł bezpieczne schronienie.

Możecie być pewni, że synowie Abby poruszyli niebo i ziemię, aby ocalić swego ojca. Kiedy dowiedzieli się, gdzie przebywa, pospieszyli do Waszyngtonu i po wielu trudnościach uzyskali dla niego wizę. Następnie telegraficznie przesłali pieniądze do konsula w Bukareszcie, błagając go, aby pomógł ich ojcu. Konsul wysłał umyślnego do Abby i starca wsadzono do pociągu jadącego do Bukaresztu. Tam trzymano go przez tydzień, a następnie odesłano do włoskiego portu, gdzie go ostrzyżono i odwszawiono, wrzucając do kotła z parą całą jego odzież. Potem wsadzono go na ostatni statek płynący do Stanów Zjednoczonych.

Była to dla niego długa i ciężka podróż. Pociąg z Rumunii do Włoch wiół się przez góry trzydzieści sześć godzin. Podano mu jakieś jedzenie, ale z obawy, że może tknąć czegoś niekoszernego, nie jadł nic. Jego filakteria i taśes gdzieś przepadły. Ich brak spowodował u niego zanik poczucia czasu. Nie był w stanie już odróżnić szabatu od dnia powszedniego. Najwyraźniej był jedynym Żydem na pokładzie. Na statku znajdował się również jeden człowiek, który mówił po niemiecku, ale Abba nie mógł go zrozumieć.

W czasie podróży szalał sztorm. Abba leżał cały czas i często wymiotował żółcią, chociaż nic nie jadł oprócz sucharów popijanych wodą. Zapadał w drzemkę, ale zaraz budził go warkot silników, pracujących dzień i noc, oraz przeciągły, stawiający na nogi świst rakiet sygnalizacyjnych wystrzelanych ze statku. Po każdym takim sygnale czuł wszędzie smród spalenizny i siarki. Drzwi jego kabiny ciągle trzaskały, tak jakby jakiś diablik bujał się na nich. Szklane naczynia w kredensie nieustannie przesuwwały się i brzęczały; ściany kabiny drżały i skrzypiały, a cały pokład bujał się jak kołyska.

W czasie dnia Abba wpatrywał się w iluminator, umieszczony nad jego koją. Statek wzbijał się do góry, jakby chciał dosięgnąć nieba, które następnie zapadało się gdzieś w otchłań, tak jakby świat wracał do pierwotnego chaosu. Następnie statek zanurzał się w odmęty oceanu i raz jeszcze firmament zostawał oddzielony od wód, tak jak w *Księdze Rodzaju*. Fale miały żółtawo-czarniawy kolor siarki. Teraz znowu wznosiły się w horyzont niczym masyw górski, co przypominało Abbie słowa Psalmisty: „Góry skakały jak barany, pagórki - niby jagnięta”. Następnie odpływały na dół tak, jak przy cudownym Rozdzieleniu Wód. Abba miał małą wiedzę, ale mimo to porównania z *Biblią* ciągle cisnęły mu się do głowy, i wydało mu się nagle, że tak jak prorok Jonasz ucieka przed Bogiem. On także leżał w brzuchu wieloryba i jak Jonasz modlił się do Boga o wybawienie. Następnie miał wrażenie, że otaczający go zewsząd ocean zmienia się w bezbrzeżną pustynię pełną węży, potworów i smoków, tak jak to opisuje *Piąta Księga Mojżeszowa*.

Nocą nie mógł zmrużyć oka. Kiedy wstawał, aby pójść za potrzebą, czuł się bliski omdlenia i tracił równowagę. Już po wszystkim, z wielkim trudem stawał na nogi i na zgiętych kolanach, całkowicie gubiąc kierunek, posuwał się wzdłuż wąskiego, krętego korytarza. Cały czas stękał i wołał o pomoc, aż jakiś marynarz brał go i prowadził z powrotem do kabiny. Za każdym razem,

kiedy mu się .to przytrafiało, był pewien, że już umiera oraz że nie będzie miał porządnego żydowskiego pochówku, ale zatopił go w oceanie. Wyznawał wtedy swe grzechy i bijąc się kościstą dłonią w piersi, krzyczał: „Przebacz mi, Ojcze!”

Tak jak nie był w stanie pamiętać, kiedy zaczął swą podróż, tak również nie był świadom, kiedy dobiegła końca. Statek przycumował już do nabrzeża w doku nowojorskiego portu, ale Abba nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Zobaczył wielkie budynki i wysokie wieże, ale wziął je za piramidy egipskie. Wysoki mężczyzna w białej czapce wszedł do jego kabiny i coś do niego zaczął krzyżeć, ale on siedział jak oniemiały. W końcu ktoś pomógł mu się ubrać i wyprowadzono go na pokład, gdzie czekali na niego jego synowie i wnuki. Abba stanął jak wryty; otoczył go tłum polskich dziedziców, hrabiów i hrabin, chrześcijańskich chłopców i dziewcząt, wszyscy zaczęli się na niego rzucać, ścisnąć go i całować, krzyżąc jednocześnie coś w dziwnym języku, trochę przypominającym jidysz. Prawie że zniesiono go ze statku i wsadzono do samochodu. Pojawiły się również inne samochody, wypełnione krewnymi Abby, i wszyscy wyruszyli w drogę. Samochody pędziły po drogach niczym wystrzelone strzały, przelatując po mostach nad rzekami i dachami domów. Jakby za dotknięciem jakiejś czarodziejkiej różdżki domy raz wyrastały z ziemi, to znów gdzieś znikwały, a niektóre z nich sięgały chmur. Przed oczami Abby rozciągały się całe miasta; pomyślał wówczas o Pitomie i Ramzesie. Samochód pędził tak szybko, że wydawało mu się, iż ludzie na ulicach szli do tyłu. Wszędzie błyskało i grzmiało; sam łoskot i trąbienie, tak jakby był to jednocześnie dzień wesela i zagłady. Narody oszalały, urządzając sobie taki pogański festyn...

Jego synowie tłoczyli się wokół niego. Widział ich jakby przez mgłę i nie poznawał. Mali mężczyźni o siwych włosach. Zaczęli krzyżeć, jakby był głuchy.

- Ja jestem Gimpel!

- A ja Gecel!

- Fajwel!

Starzec zamknął oczy i nic nie odpowiadał. Ich głosy zlewały się w jeden niezrozumiały krzyk i wydawało mu się, że cały świat wokół niego przewrócił się do góry nogami i popadł w jakiś nieopisany chaos. Nagle pomyślał o Jakubie, gdy ten przybył do Egiptu, a na jego powitanie wyjechały rydwany Faraona. Czuł, że już to wszystko przeżył w poprzednim wcieleniu. Zadrżała mu broda, a z piersi wydobył się chrapliwy szloch. Zapomniany fragment *Biblii* uwiązał mu w gardle.

Po omacku objął jednego ze swych synów i szlochając wykrztusił: - Czy to ty? Jeszcze żyjesz?

To zaś, co miał zamiar powiedzieć, brzmiało: „Teraz mogę już umrzeć, skoro zobaczyłem, że jeszcze żyjesz”.

VI

Amerykańskie dziedzictwo

Synowie Abby żyli na przedmieściach jednego z miast New Jersey. Ich siedem domów, otoczonych ogrodami, stało nad brzegiem jeziora. Zwykle każdego ranka jeździli do fabryki obuwia, która była własnością Gimpla, ale w dzień przyjazdu Abby wszyscy wzięli wolne, aby przygotować przyjęcie na jego cześć. Miało się ono odbyć w domu Gimpla zgodnie z wszelkimi zasadami koszerności. Żona Gimpla, Bessie, której ojciec był nauczycielem hebrajskiego w starym kraju, pamiętała wszystkie obyczaje żydowskie i pilnie ich przestrzegała, posuwając się aż do tego, że zakryła sobie głowę chustką. Jej szwagierki zrobiły to samo, a synowie Abby założyli jarmułki, które kiedyś nosili w czasie Dni Świątecznych. Wnuki i prawnuki, które nie znały słowa w jidysz, nauczyły się kilku zwrotów na tę okazję. Znały natomiast legendy o Frampolu, małych szewcach i pierwszym Abbie, założycielu rodu. Nawet chrześcijanie z sąsiedztwa stosunkowo dobrze byli zapoznani z historią rodziny. Ogłoszenia, które Gimpel zamieszczał w miejscowej prasie, z dumą oznajmiały, że jego rodzina należy do arystokracji szewskiej:

Nasza tradycja i doświadczenie sięgają trzystu lat i związane są z polskim miastem Brody, gdzie nasz przodek Abba nauczył się rzemiosła od miejscowego majstra. Społeczność Frampola, gdzie nasza rodzina uprawiała swoje rzemiosło od piętnastu pokoleń, nadała mu tytuł Mistrza w uznaniu jego działalności dobroczynnej. To poczucie obowiązku wobec potrzeb społecznych szło zawsze w parze z naszym przywiązaniem do najwyższych wymogów rzemiosła, a także naszymi surowymi zasadami uczciwości w stosunkach z naszymi klientami.

W dniu przyjazdu Abby gazety w Elizabeth zamieściły notatkę, mówiącą o tym, że siedmiu braci ze słynnej fabryki obuwia wita swojego ojca, który przybył z Polski. Gimpel otrzymał masę telegramów z gratulacjami od konkurentów, krewnych i przyjaciół.

Przyjęcie okazało się nadzwyczajne. W jadalni Gimpla rozstawiono trzy stoły; jeden dla starca, jego synów i synowych, drugi dla wnuków, a trzeci dla prawnuków. I chociaż był jeszcze jasny dzień, stoły przybrano świeczkami o różnych kolorach - czerwonym, niebieskim, żółtym i zielonym - a ich płomienie odbijały się w lśniących naczyniach i srebrach, kryształowych kieliszkach, pucharach do wina i karafkach, co niesłychanie przypominało seder w czasie Pesach. Cały zaś pokój przystrojony został mnóstwem kwiatów. Z pewnością synowe wolałyby, aby Abba był odpowiednio ubrany na tę okazję, ale Gimpel postawił na swoim, i pozwolono Abbie spędzić pierwszy dzień pobytu w długim, typowym dla Frampola chałacie. Ale i tak Gimpel zamówił fotografa, aby zrobił zdjęcia z bankietu do opublikowania w gazetach, a także zaprosił na przyjęcie rabina oraz kantora, aby ten, dla uczczenia starca, zaśpiewał kilka tradycyjnych pieśni.

Abba usiadł w fotelu w głowach stołu. Gimpel i Gecel przynieśli miseczkę z wodą i polali nią

ojcu ręce, aby odmówił błogosławieństwo przed jedzeniem. Jedzenie na srebrnych tacach podawały kolorowe służące. Przed starcem postawiono różnego rodzaju soki i sałatki owocowe, słodkie likiery, koniaki i kawior. Ale w jego głowie powstał wielki zamęt. Przed oczami stanęły mu postacie a to Faraona, Józefa, żony Potifara, to znowu obrazy Ziemi Goszen, a potem nagle pojawił się szef kuchni i główny kamerdyner. Ręce mu się trzęsły i nie był w stanie nic wziąć do ust, tak że Gimpel musiał mu pomagać. I pomimo tego, że synowie jego prześcigali się między sobą, aby z nim porozmawiać, ciągle nie mógł ich odróżnić. Kiedy tylko zadzwonił telefon, podskakiwał do góry w fotelu - wydawało mu się, że Niemcy bombardują Frampol. Cały dom kręcił się dookoła w szalonym pędzie niczym karuzela; stoły stały na suficie i wszyscy siedzieli do góry nogami. W świetle świec i elektrycznych żarówek jego twarz nabrała jakiejś chorobliwej bladości. Zapadł w sen tuż po zupie, w czasie gdy podawano kurczaka. Szybko zaprowadzono go do sypialni, rozebrano i wezwano lekarza.

Spędził kilka tygodni w łóżku, na zmianę tracąc i odzyskując przytomność. W okresach przytomności zapadał w nieregularne drzemki, jak przy febrze. Nie miał nawet sił, aby odmawiać modlitwy. Przy jego łóżku dzień i noc siedziała pielęgniarka. W końcu wyzdrowiał na tyle, że mógł zrobić kilka kroków i wyjść na chwilę na dwór, przed dom, nie odzyskał jednak jeszcze równowagi psychicznej. Wchodził do szaf z ubraniami, zamykał się w łazience i zapominał jak się z niej wydostać; dzwonek u drzwi i radio wprawiały go w przerażenie; wpadał również ciągle w popłoch z powodu przejeżdżających obok domu samochodów. Pewnego dnia Gimpel zabrał go do synagogi, odległej o dziesięć mil, ale nawet tam nie mógł się wszystkiemu nadziwić. Szames był dobrze wygolony; kandelabry świeciły elektrycznym światłem; nie było też dziedzińca, ani kurka z wodą, pod którym można byłoby umyć ręce, ani też pieca, wokół którego można byłoby się skupić. Zaś kantor, zamiast śpiewać tak jak powinien, wydawał z siebie jedynie jakieś chrapliwe dźwięki. Wszyscy zebrani mieli na sobie malutkie szale modlitewne, przypominające raczej chustki na szyję. Abba był przekonany, że zaciągnięto go do kościoła w celu przechrzczenia...

Gdy przyszła wiosna, a on nie czuł się lepiej, synowe zaczęły przebąkiwać, że nie byłoby takim złym pomysłem wysłanie go do domu opieki. Ale zaszło coś nieprzewidzianego. Pewnego dnia, gdy otwierał szafę, zauważył na dnie worek, który wydał mu się jakiś znajomy. Zajrzał więc do środka i od razu rozpoznał swoje narzędzia szewskie z Frampola: kopyto, młotek i gwoździe, swój nóż i cążki, pilnik i szydło, a nawet zniszczony but. Ogarnęło go podniecenie; nie mógł uwierzyć własnym oczom. Usiadł na stołeczku i zaczął dotykać wszystkiego swymi niezgrabnymi już i zeszywniałymi ze starości palcami. Kiedy Bessie weszła do pokoju i zobaczyła, że bawi się brudnym starym butem, wybuchnęła śmiechem.

- Co robisz, ojcze? Bądź ostrożny, bo jeszcze, broń Boże, się zatniesz!

Tego dnia Abba nie leżał i nie drzemał w łóżku. Do samego wieczora pochłonięty był pracą i nawet zjadł swój kawałek kurczaka z większym apetytem. Uśmiechał się do wnuczków, kiedy przychodzili zobaczyć, co robi. Następnego ranka, kiedy Gimpel opowiedział swym braciom, jak ojciec powrócił do swych dawnych przyzwyczajień, zaśmiali się tylko, nie przywiązując do tego

większej wagi - ale wkrótce okazało się, że to zajęcie stało się dla starca zbawienne. Poświęcał mu się każdego dnia, bez żadnych oznak zmęczenia. Wyszukiwał ciągle w szafach stare buty i błagał swych synów, aby dostarczyli mu skóry i potrzebnych narzędzi. Kiedy mu wreszcie ulegli, naprawił do ostatniej wszystkie pary butów, jakie znalazł w domu - męskie, damskie i dziecięce. Po święcie Pesach bracia spotkali się i postanowili wybudować mały domek na dziedzińcu. W domku tym urządzili warsztat szewski z całym zapasem skórzanych podeszew, surowej skóry, gwoździ, barwników, szczotek - wszystkiego, co choćby w minimalnym stopniu potrzebne jest do uprawiania szewskiego rzemiosła.

W Abbę wstąpiło nowe życie. Jego synowe aż za głowę się złapały - starzec jakby odmłodził o piętnaście lat. Tak jak za dawnych czasów we Frampolu wstawał teraz o świcie, odmawiał swoje modlitwy i od razu zabierał się do roboty. Znowu zaczął używać sznurka przewiązanego supłami jako miarki. O pierwszej parze butów, którą zrobił dla Bessie, mówiono głośno w sąsiedztwie. Ciągle narzekała na stopy, ale te buty, twierdziła, były najwygodniejsze, jakie kiedykolwiek miała na nogach. Wrótce inne dziewczęta poszły w jej ślady i chodziły dobrze dopasowanych butach, szytych na miarę. Potem przyszła kolej na wnuki. Nawet niektórzy sąsiedzi, chrześcijanie, zaczęli przychodzić do Abby, kiedy usłyszeli, że robi świetne buty na miarę z samej czystej przyjemności. Musiał porozumiewać się z nimi przede wszystkim przy pomocy gestów, ale jakoś obie strony dawały sobie z tym radę. Młodsze wnuczki i prawnuczki przyzwyczyły się do stania przy drzwiach i obserwowania go przy pracy. Teraz, kiedy zarabiał już pieniądze, zasypywał ich słodyczami i zabawkami. Wystrugał nawet rylec, aby móc uczyć ich podstaw hebrajskiego oraz zasad pobożności. Pewnej niedzieli Gimpel przyszedł do warsztatu i, nie bez pewnych oporów, podwinął rękawy, aby dołączyć do ojca. Inni bracia nie chcieli być gorsi i już następnej niedzieli w warsztacie pojawiło się osiem żydów. Synowie Abby założyli na siebie fartuchy i przystąpili do roboty. Wycinali podeszwy, formowali obcasy, drażyli dziury i wbijali kołki, tak jak za dawnych dobrych czasów. Kobiety stały na zewnątrz i śmiały się, ale jednocześnie były dumne ze swych mężów. Dzieci natomiast patrzyły na to jak urzeczone. Słońce wlewało się przez okna do środka i w świetle jego promieni widać było tańczące w powietrzu pyłki kurzu. Nad trawą i wodą górowało pogodne niebo rozkwitającej wiosny. Płynęły po nim białe chmury w kształcie rozłożystych krzewów, łodzi żaglowych, owiec i stad słoni. Ptaki śpiewały, bzyczały muchy i trzepotały motyle.

Abba podniósł do góry gęste brwi i skierował swe smutne oczy na swoich potomków, siedmiu szewców: Gimpla, Gecla, Trejtla, Fajwla, Lippego i Chananasza. Nie, dzięki Bogu, nie stali się jak ci bałwochwalcy w Egipcie. Nie zapomnieli o swym dziedzictwie, ani też nie ztratili się pośród niegodnych. Coś zacharczało głęboko w piersi starca i nagle z jego gardła dobył się chrapliwy śpiew:

Matka miała dziesięciu

Dziesięciu małych chłopców

Och, tak Panie, dziesięciu małych chłopców!

Szósty nazywał się Wełwele,
Siódmy zaś Zajnwele,
A ósmy Chenele,
Dziewiąty znów Tewele,
Dziesiąty zwał się Judele...

A synowie Abby podchwycili chórem refren:

Och, tak Panie, Judele!

Radość

I

Rabin Bajnisz z Komarowa, pochowawszy Bunema, swego trzeciego syna, przestał się modlić za swe chorujące dzieci. Pozostał mu już tylko jeden syn i dwie córki i wszyscy pluli krwią. Jego żona, często zakłócając ciszę jego pokoju, krzyczała do niego: - Dlaczego siedzisz tak cicho? Dlaczego nie starasz się poruszyć nieba i ziemi? - Podnosząc zaciśnięte pięści do góry, zawodziła: - Na co przydała się twoja wiedza, twoje modlitwy, zasługi twoich przodków, twoje długie posty? Co On ma przeciwko tobie, nasz Pan na Niebie?

Raz w napadzie rozpaczy schwyciła świętą księgę i rzuciła nią o podłogę. Rabi Bajnisz podniósł ją bez słowa i zareagował tak jak zwykle, mówiąc: - Zostaw mnie w spokoju!

I chociaż nie miał jeszcze pięćdziesiątki, jego broda - tak rzadka, że można było policzyć wszystkie włosy - już posiwiała niczym u starca. Jego wysoka postać zgarbiła się, a czarne przenikliwe oczy patrzyły gdzieś w dal. Przestał komentować *Torę* i przewodniczyć w czasie posiłków. Już od tygodni nie pojawił się w domu nauki. I chociaż jego zwolennicy przybywali z innych miast, aby go odwiedzić, musieli wracać z kwitkiem, nawet bez możliwości przywitania się z nim. On zaś siedział w milczeniu za zamkniętymi drzwiami; było to jednak brzemiennie w skutki milczenie. Cały tłum jego zwolenników, chasydów, na których opierał swój byt, stopniowo rozproszył się, dołączając do grup skupionych wokół innych rabinów. Przy nim pozostał jedynie najściślejszy krąg starych, mądrych chasydów. Kiedy jego najmłodsza córka, Rebeka, zmarła, nie odprowadził jej nawet na cmentarz. Wydał polecenie swemu szamesowi, Awigdorowi, aby ten zamknął okiennice, które pozostały już zamknięte na stałe. Przez otwór w kształcie serca wpadało mizerne światło, przy którym rabin przeglądał księgi. Nie recytował już na głos tekstów, kartkował jedynie strony, zatrzymując się od czasu do czasu w jakimś miejscu, przymykał przy tym jedno oko i wodził jakby za czymś tępym wzrokiem. Maczał pióro w kałamarzu i brał kawałek papieru, ale nie był w stanie nic napisać. Nabijał fajkę, ale jej nie zapalał. Nic nie wskazywało również na to, że dotykał śniadania czy kolacji, które przynoszono mu do pokoju. Tak mijały tygodnie i miesiące.

Pewnego letniego dnia rabin pokazał się w domu nauki. Kilku chłopców i młodzieńców zajętych było studiowaniem ksiąg, a kilku starców, którzy tam ciągle przebywali, pogrążonych było w medytacjach. Ponieważ nie widzieli swego rabina przez tak długi czas, wszyscy zamarli ze strachu na jego widok. Robiąc krok do przodu, a później do tyłu, rabin spytał: - Gdzie jest Abraham Mosze z Borysowa?

- W gospodzie - odpowiedział jeden z młodzieńców, któremu jeszcze nie odebrało mowy.
- Czy mógłbyś poprosić go, aby przyszedł do mnie?

- Oczywiście, rabi.

Młodzieniec więc od razu udał się do gospody. Rabin podszedł do półek z książkami, wyciągnął jedną na chybił trafił, zajrzał do środka i odstawił z powrotem na półkę. I stał tam tak bez ruchu w rozpiętym chałacie, w długiej bluzie z frędzlami, w przykrótkich spodniach i białych skarpetkach, z kapeluszem zsuniętym na tył głowy, rozwichrzonymi pejsami i ściągniętymi brwiami. W domu nauki panowała taka cisza, że można było usłyszeć wodę kapiącą do miski i muchy bzyczące wokół świeczników. Zegar dziadka z długimi łańcuchami i wymalowanymi na tarczy owocami granatu zazgrzytał i wybił trzecią. Przez otwarte okna zaglądały do środka drzewa owocowe z przyległego sadu; słychać było świergot ptaków. Nad wzgórkami kurzu wibrowały ledwo widoczne cząsteczki, już jakby nie składające się z materii, ale jeszcze nie przeistoczone w świat ducha, odbijając barwy tęczy. Rabin skinął na chłopca, który dopiero co ukończył szkołę języka hebrajskiego i zaczął już sam czytać *Talmud*.

- Jak się nazywasz?

- Mosze.

- Co studiujesz?

- Pierwszy traktat.

- Który rozdział?

- *Szur Szenagah ath haparah*

- Jak to się tłumaczy?

- Byk ubódł krowę.

Rabin przydeptał ślizgającą się stopę. - Dlaczego byk ubódł krowę? Co mu krowa zrobiła?

- Byk nie rozumuje.

- Ale Ten, który stworzył byka, tak.

Chłopiec nie widział, jak na to odpowiedzieć. Rabin uszczypnął go w policzek.

- No, idź i studiuj dalej - powiedział i wrócił do swego pokoju.

Wkrótce potem przyszedł do niego reb Abraham Mosze. Był to mały, o młodzieńczo wyglądającej twarzy mężczyzna z siwą brodą i takimiz pejsami. Miał na sobie sięgający ziemi chałat, przewiązany grubą ciemnozieloną szarfą i trzymał w ręku długą, sięgającą mu kolan, fajkę. Na głowie spod wysokiego kapelusza widać było jarmułkę. Jego ekscentryczność była szeroko znana. Poranne modlitwy odmawiał po południu, a popołudniowe, kiedy już inni dawno wrócili z wieczornych modłów. Śpiewał psalmy w czasie święta Purim, a w czasie modlitwy *Koi Nidre* przysypiał. W wigilię Pesach, kiedy już wszyscy zajęci już byli świętowaniem, on zabierał się do studiowania komentarza do traktatu *Talmudu* o szkodach i rekompensatach. Krążyły pogłoski, że pewnego razu w gospodzie wygrał z pewnym generałem partię szachów i że tenże generał w nagrodę dał mu pozwolenie na sprzedaż nalewki. Cały interes prowadziła żona, a on sam spędzał więcej czasu w Komarowie niż w domu. Mawiał, że mieszkać w Komarowie, to jak stać u podnóża góry Synaj; już samo powietrze oczyszczało każdego, kto tu żył. Kiedy był w dość wesołym nastroju, zwykł mawiać, że w Komarowie nie trzeba nawet studiować, wystarczy wałkonić się na ławce w

domu nauki i można wdychać wraz z powietrzem wszystkie mądrości *Tory*. Chasydzi wiedzieli, że rabin wysoko ceni reba Abrahama Mosze, dyskutuje z nim ezoteryczne doktryny i pyta go o radę. Reb Abraham Mosze zawsze był sadzany w głowach stołu. Mimo to za każdym razem, gdy miał odwiedzić rabina, szykował się do tego jak młodzieniec. Mył wtedy ręce, zapinał swój kaftan, układał pejsy i czesał brodę. Kiedy wchodził do domu, przybierał postawę pełną uszanowania, którą należy okazać świętemu mężowi, jakim niewątpliwie był rabin.

Rabin nie posyłał po niego od czasu śmierci Rebeki; już samo to wskazywało w jak głębokim smutku był pogrążony. Tym razem reb Abraham Mosze szedł żwawym krokiem, prawie że biegł. Kiedy dotarł do drzwi rabina, zatrzymał się na moment, poprawił kapelusz, dotknął piersi, wytarł czoło chustką i wszedł zwolniwszy kroku. Rabin siedział na krześle swego dziada z oparciami z kości słoniowej i palił fajkę. Jedna z okiennic była już otwarta. Na stole widać było pół szklanki herbaty, a obok niej leżała bułeczka. Najwidoczniej wrócił do równowagi.

- Rabi, oto jestem - powiedział reb Abraham Mosze.

- Tak, widzę. Usiądź, proszę.

- Dziękuję.

Rabin przez chwilę pogrążony był w milczeniu. Położył wąską dłoń na brzegu stołu i wpatrywał się w białe paznokcie swych długich palców. Potem rzekł: - Abrahamie Mosze, jest źle.

- Co jest źle?

- Abrahamie Mosze, jest gorzej niż myślisz.

- Cóż może być gorszego? - spytał ironicznie Abraham Mosze.

- Abrahamie Mosze, ateści mają rację. Nie ma sprawiedliwości, nie ma Sędziego.

Reb Abraham Mosze przyzwyczajony był do ostrych słów rabina. W Komarowie nawet Panu Wszechświata by się dostało. Co innego jednak okazywać ducha buntu, a zupełnie co innego zaprzeczać samemu istnieniu Boga. Reb Abraham Mosze pobladł. Kolana mu się zatrzęsły.

- Kto więc rządzi światem, rabi?

- Nikt nie rządzi.

- Kto więc?

- Totalne kłamstwo!

- No, no...

- Kupa gnoju...

- A skąd się wziął gnój?

- Gnój był na początku.

Reb Abraham Mosze zamarł. Chciał coś mówić, ale wszystkie argumenty, które miał wytoczyć, uwięzły mu w gardle. No cóż, to smutek mówi przez niego, pomyślał. Niemniej jednak ogarnęło go zdziwienie. Jeśli Hiob mógł wszystko przetrzymać, to rabina również powinno być stać na to.

- Co więc powinniśmy zrobić, rabi? - spytał reb Abraham Mosze ochryłym głosem.

- Powinniśmy czcić bałwany.

Aby nie upaść na podłogę, Reb Abraham Mosze schwycił się brzegu stołu.

- Jakie bałwany? - spytał. Wszystko w nim wewnątrz stężało.

Rabin zaśmiał się półgębkiem. - Nie przerażaj się; nie wyślę cię do księdza. Jeśli ateści mają rację, to czyż jest jakaś różnica między Terahem a Abrahamem? Każdy służył innemu bałwanowi. Terah, który był prostaczkiem, wymyślił bożka z gliny. Abraham wymyślił Stwórcę. Znaczenie ma to, co ktoś wymyślił. Nawet kłamstwo musi mieć trochę prawdy w sobie.

- Po prostu żarty się ciebie trzymają - wyjąkał reb Abraham Mosze. Czuł, że wyschło mu w ustach i ścisnęło w gardle.

- No, nie trzęś się tak! Siadaj!

Reb Abraham Mosze usiadł. Rabin podniósł się ze swego krzesła, podszedł do okna, i stał tam przez dłuższą chwilę, patrząc gdzieś w przestrzeń. Potem podszedł do szafki na książki. Z szafki rozniósł się zapach wina i zgaszonych świec. W środku znajdowała się balsaminka, puszka na etrog oraz lampka chanukowa. Rabin wyjął księgę *Zohar*, otworzył na chybił trafił, spojrzął na stronę, pokiwał z uznaniem głową i oblizując usta wykrzyknął:

- Miły wynalazek, bardzo miły!

II

Coraz więcej chasydów opuszczało Komarów. W soboty w domu nauki z trudnością udawało się zebrać minjan. Wszyscy szamesi, oprócz Awigdora, wyjechali. Nie mogąc znieść samotności, żona rabina wyjechała na dłuższy czas do swego brata, rabina w Białej. Reb Abraham Mosze został w Komarowie. Jeden szabat w miesiącu spędzał ze swoją rodziną w swym rodzinnym mieście. Jeśli nie należy opuszczać człowieka, kiedy jego ciało choruje, rozumował, to tym bardziej nie można zostawiać go w samotności, gdy jego dusza jest chora. Jeśli ich rabin grzeszył, niech Bóg uchowa, wówczas nałożono by chorem na tego, kto by się z nim zadawał, ale przecież teraz stał się bardziej pobożny niż kiedykolwiek przedtem. Modlił się, studiował księgi, chodził do mykwy. Tak żarliwie zaangażował się w świadczenie dobroczynności, że sprzedał to, co mu było najdroższe - srebrne świeczniki, wielką chanukiję, swój złoty zegarek, talerz sederowy - i rozdawał między biednych to, co uzyskał. Reb Abraham Mosze wyrzucał mu, że trwoni to, co odziedziczył po przodkach, na co rabin odpowiedział: - Biedni ludzie naprawdę istnieją. Jest to jedyna rzecz, której możemy być pewni.

Minęło lato i nadszedł elul. W dni powszednie Awigdor, szames, dał w barani róg w domu nauki. Zwykle Komarów był zatłoczony do granic możliwości w miesiącu elul: nie starczało łóżek w gospodach, młodzi zmuszeni byli spać w komórkach, stodołach, poddaszach. Ale w tym roku w Komarowie było spokojnie. W gospodach okiennice zamknięte były na trzy spusty. Trawa rozrosła się dziko na dziedzińcu rabina; nie było nikogo, kto mógłby o nią zadbać. Nitki babiego lata

szybowały w powietrzu. Jabłka, gruszki i śliwki wisały dojrzałe na drzewach w sadzie, ponieważ nie było chłopców, którzy je zawsze zrywali. Ptaki świergotały jakby głośniejszym niż to zwykle bywało. Liczne krecie nory wieńczyły wzgórki świeżej ziemi. Niektóre krzewy zaowocowały trującymi jagodami. Pewnego dnia rabin zerwał taką jagodę po drodze do mykwy. Jeśli coś takiego może człowieka zmienić w trupa, pomyślał, czymże jest trup? Powąchał ją i wyrzucił. Jeśli wszystko zależy od takiej jagody, to wszystkie nasze sprawy są jagodami. Rabin wszedł do mykwy. - No, demony, gdzie jesteście? - powiedział głośno i jego słowa wróciły do niego echem. Niech przynajmniej będą diabły. Usiadł na ławce i rozebrał się, wziął swój mały tałas i zaczął mu się przyglądać. Nici, węzły i nic więcej.

Woda była zimna, ale to nie zrobiło mu różnicy. Komu jest zimno? A jeśli nawet, to co z tego? Z zimna z trudem łapał oddech i przywarł mocno do poręczy. Potem zanurzył się i pozostał pod wodą przez dłuższą chwilę. Rozpierał go jakiś wewnętrzny śmiech. Dokąd jeszcze oddychasz, musisz oddychać. Rabin wytarł się i ubrał. Kiedy wrócił do swojego pokoju, otworzył jedną z ksiąg Kabały, *Dwie Tablice Przymierza*. Napisane tam było, że „rygor prawa powinien zostać złagodzony, aby pozbawić Szatana jego strawy”. No, a jeśli to tylko bajka? Rabin przymrużył jedno oko, ale drugim ciągle patrzył. A słońce? Zamknij oczy i już nie ma słońca. A ptaki? Zatkaj uszy i nie ma już ptaków. A ból? Połknij dziką jagodę i ból przejdzie. Cóż więc pozostaje? Nic. Przeszłość już nie istnieje, a przyszłość jeszcze nie nadeszła. Z tego wniosek, że nic nie istnieje poza danym momentem. A jeśli tak, to nie mamy w ogóle czym się martwić.

Nie więcej niż trzydziestu chasydów zebrało się w Komarowie na Rosz Haszana. I chociaż rabin pojawił się na modłach w swej białej szacie i tałasie, nikt nie wiedział, czy się modli, ponieważ nie wydobył z siebie żadnego słowa. Po modłach chasydzi zasiedli do stołu, ale miejsce zajmowane przez ich rabina pozostawało puste. Jakiś starzec zaintonował krótką pieśń, a inni ją podchwycili, wtórując mu chrapliwymi głosami. Reb Abraham Mosze powtórzył komentarz rabina do *Tory*, który ten wygłosił dwadzieścia lat temu. Chwała Bogu, że rabin żył, ale z zupełnie praktycznych powodów był dla nich jak martwy.

Awigdor przyniósł do pokoju rabina karafkę wina, jabłka z miodem, głowę karpia, dwie chałki, ćwiartkę kurczaka z duszoną marchewką i plasterek ananasa dla pobłogosławienia pierwszych owoców. Ale chociaż był już wieczór, rabin nie tknął niczego.

W miesiącu elul zachowywał post. Miał uczucie, jakby jego ciało było całkowicie puste. Ciągłe gdzieś w żołądku głód dawał o sobie znać, ale on nie miał z nim nic wspólnego. Czymże było jedzenie dla niego, Bajnisza z Komarowa? Czy należy poddawać się pożądlivościom ciała? A jeśli ktoś się temu oprze, to co ono robi - umrze? Niech umiera, jeśli tego pragnie. Ja w każdym razie jestem z tego zadowolony. Złotozielona mucha wleciała do środka przez otwarte okno i usiadła na szklącym się oku karpia. Rabin zamruczał: - No, na co czekasz? Jedz...

Rabin siedział na swym starym krześle z rękami opartymi na poręczach i zapadał od czasu do czasu w drzemkę. Był tak głęboko zatopiony w swych myślach, że nie zdawał sobie sprawy z otaczającej go rzeczywistości, jak i nawet z tego, że przeprowadzał proces myślowy. Pozostając tak

ni to we śnie, ni to na jawie, spostrzegł nagle swą najmłodszą córkę, Rebekę. Weszła przez zamknięte drzwi i stanęła na wprost niego wyprostowana i blada, z włosami zaplecionymi w dwa warkocze. Na sobie miała swoją najlepszą, wyszywaną złotem suknię. W jednej ręce trzymała modlitewnik, a w drugiej chustkę. Zapomniawszy o tym, że zmarła, rabin spojrzął na nią z pewnym zaskoczeniem, No, proszę, jest już dorosłą dziewczyną, dlaczego więc nie jest jeszcze zaręczona? Biła od niej jakaś nieopisana szlachetność; wyglądała tak, jakby dopiero co wyzdrowiała po ciężkiej chorobie; perły na jej szyi świeciły jakimś nieziemskim blaskiem. Wszystko to niosło ze sobą atmosferę Strasznych Dni. Spojrzała na rabina, a na jej twarzy malowała się skromność a jednocześnie miłość.

- Wesołych świąt, ojcze.

- Wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku - powiedział rabin.

- Ojcze, zmów modlitwę.

- Co? Ach, tak, oczywiście.

- Ojcze, przyłącz się do gości przy stole - powiedziała na wpół prosząc, na wpół żądając.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach rabina. Przecież ona nie żyje! Od razu też zalał się łzami i skoczył na nogi, tak jakby chciał rzucić się w jej kierunku. Łzy zasłaniały mu oczy i postać Rebeki jakby się zniekształciła, wydłużyła i częściowo zamazała, chociaż ciągle jej sylwetka majaczyła w pomroce nocnej panującej w pokoju. Rabin zauważył srebrną klamrę przy jej modlitewniku i koronkę jej chustki. Zaś jej lewy warkoczyk przewiązany był białą wstążką. Tylko jej twarz, jakby zasłonięta welonem, rozmywała się w jakąś nieostrą plamę. Głos rabina zaczął się łamać.

- Moja córeczko, czy jesteś tu?

- Tak, ojcze.

- Dlaczego przyszłaś?

- Po ciebie.

- Kiedy to nastąpi?

- Po świętach.

Wydawało się, że zamierza odejść. W wirujących cieniach półmroku traciła swą fizyczność, choć suknia jej ciągle jeszcze ciągnęła się po ziemi, a jej fałdy i całe meandry wypukłości i zagłębień tworzyły jakby złoty tren, od którego bił tajemniczy blask. Wkrótce i to się rozmyło i nie pozostało nic oprócz poczucia jakiejś nadprzyrodzonej cudowności i niebiańskiej radości. Rabin nie płakał, ale obfite łzy spływały mu po policzkach, a ich ciężkie krople padały na jego białą jedwabną szatę, wyszywaną w kwiaty i liście. Rozchodził się zapach mirtu, goździków i szafranu. W ustach miał uczucie przesyty, tak jakby najadł się marcepanu.

Rabin zapamiętał to, co mu powiedziała Rebeka. Założył futrzany kołpak, wstał i otworzył drzwi prowadzące do domu nauki. Był już czas na wieczorne modły, ale starcy jeszcze nie odeszli od stołu.

- Wesołych świąt, moi przyjaciele - rzekł rabin radosnym głosem.

- Wesołych świąt, rabi.

- Awigdor, chcę odmówić modlitwę.
- Jestem gotowy, rabi.

Awigdor przyniósł wina i rabin, intonując melodię przypadającą na święto, zaczął się modlić. Potem umył ręce, wypowiadając przy tym słowa odpowiedniego błogosławieństwa i odmówił modlitwę nad chlebem. Po skosztowaniu rosółu przystąpił do komentowania *Tory*, czego już od lat nie robił. Mówił cichym głosem, ale wszyscy go słyszeli. Podniósł kwestię zaćmienia księżyca w czasie Rosz Haszana. Odpowiedzią na to jest, że w czasie Rosz Haszana człowiek modli się o życie, a życie oznacza wolny wybór, wolność zaś jest Tajemnicą. Jeśliby człowiek znał prawdę, jak mogłaby istnieć wolność? Gdyby piekło i niebo znajdowały się w środku placu targowego, każdy byłby wtedy świętym. Ze wszystkich darów, którymi Bóg obdarzył człowieka, największy z nich zasadza się w tym, że twarz Boga została przed nim ukryta na zawsze. Ludzie są dziećmi Najwyższego i Wszechmocny gra z nimi w chowanego. Ukrywa swą twarz, a dzieci, które wierzą, że On istnieje, szukają go. Ale co, jeśli, Boże broń, człowiek straci wiarę? Żli ludzie żywią się zaprzeczeniem, które samo w sobie stanowi wiarę, wiarę w czynienie zła, z której człowiek bierze siły dla swojego ciała. Ale jeśli świętobliwy człowiek traci swą wiarę, to prawda zostaje mu objawiona i zostaje na nowo powołany. Symboliczne znaczenie słów „Kiedy człowiek umiera w namiocie” jest następujące: kiedy człowiek świętobliwy schodzi ze swej drogi i, tak jak źli ludzie, nie ma dla siebie stałego schronienia, wówczas z wysokości spływa światło i wszystkie wątpliwości przestają...

Głos rabina powoli słabł. Starcy nachylili się w jego kierunku i przysłuchiwali się mu uważnie. W domu nauki było tak cicho, że można było usłyszeć trzask świec. Reb Abraham Mosze pobladł. Zrozumiał znaczenie ukryte za tymi słowami. Jak tylko zakończyły się obchody Rosz Haszana, wysłał kilka listów, które pisał aż do świtu. Rabinowa powróciła z Białej, a na Jom Kipur przybyło wielu chasydów. Rabin był znowu sobą, tak jak za dawnych czasów. W święta Kuczek komentował *Torę* w swoim szałasie. W czasie Hoszana Raba modlił się wraz ze swymi chasydami przez całą noc, aż do świtu. A w Simachat Tora był niezmordowany w tańcu dookoła bimy. Jego chasydzi powiedzieli później, że Komarów, nawet za poprzedniego rabina, cześć jego pamięci, nie obchodził tego święta z takim oddaniem i zapałem. Rabin rozmawiał osobiście z każdym chasydem z osobna. Wypytywał się o rodzinę i z uwagą czytał każdą prośbę. Pomagał dzieciom przybierać szalas wstążkami, kiściami winogron i zawieszać latarnie. Własnoręcznie plótł koszyki z wikliny na mirt. Szczypał w policzki chłopców, którzy przychodzili ze swoimi ojcami i dawał ciasteczka. Zgodnie z regułą, rabin modlił się późno i sam, ale w dzień po Kuczkach modlił się w domu nauki, gdzie zebrał się pierwszy od długiego czasu minjan. Po obrzędach poprosił o szklanekę kawy. Reb Abraham Mosze wraz z grupą młodzieńców stał i obserwował, jak rabin pije kawę. Między łykami pykał ze swojej fajki. Potem powiedział im: - Chcę, abyście wiedzieli, że świat materialny nie ma w sobie żadnej treści.

Po śniadaniu rabin odmówił modlitwę. Następnie poprosił, aby przygotowano mu łóżko i mrucał coś o swym starym tałasie. Z chwilą gdy się tylko położył, jego twarz przybrała natychmiast śmiertelną maskę. Pożółkła i przybrała kolor jego małego tałesu. Powieki mu opadły, a czoło

pokryte zmarszczkami nabrało dziwnego wyglądu. Prawie że było widać, jak życie z niego uchodzi; ciało się skurczyło i zmieniło swój kształt. Rabinowa chciała wołać po doktora, ale rabin dał ręką do zrozumienia, że nie chce, aby to robiła. Otworzył oczy i patrzył w stronę drzwi. Obok mezuzy na framudze drzwi, stali oni wszyscy - jego czterej synowie i dwie córki, jego ojciec, cześć ich pamięci, i jego dziadek. Wszyscy patrzyli z czcią w jego kierunku, wyciągając w oczekiwaniu ramiona. Każdy z nich błyszczał innym światłem. Wychylali się do przodu, tak jakby powstrzymywało ich niewidzialne ogrodzenie. Więc tak to wygląda, pomyślał rabin. A więc wszystko jest teraz jasne. Usłyszał szloch żony i chciał ją pocieszyć, ale już gardło i wargi odmówiły posłuszeństwa. Nagle reb Abraham Mosze pochylił się nad nim, bo wydało mu się, że rabin chce coś powiedzieć. Rabin zdołał jeszcze wyszeptać: - Należy zawsze być przepelnionym radością.

To były jego ostatnie słowa.

Z pamiętnika nie narodzonego

I

Tam, gdzie nie sięgnęła żadna stopa ludzka, gdzie nie uświadczysz również bydła, w piątek, trzynastego dnia i trzynastego miesiąca, między dniem a nocą, za Górami Ciemności, w opustoszałych lasach, w zamku Asmodeusza, w świetle zaczarowanego księżyca.

Ja, autor tych słów, stałem się wybrańcem fortuny, która obdarza swymi łaskami jedynie jednego szczęśliwca spośród dziesięciu tysięcy: nie narodziłem się. Mój ojciec, student jesziwy, zgrzeszył tak jak Onan i z jego nasienia ja zostałem stworzony - na wpół duch, na wpół demon, na wpół powietrze, na wpół cień, z porożem niczym kozioł i uskrzydłony niczym nietoperz, o umyśle uczonego i sercu łotrzyka. Jestem i mnie nie ma. Gwiżdżę w kominach i tańczę w łaźniach; czasem przewracam garnek z jadem szabasowym w kuchni biedaka; lub czynię kobietę nieczystą nim jej mąż wróci z podróży. Lubię płatać różne figle. Pewnego razu, kiedy młody rabin wygłaszał swe pierwsze kazanie w czasie Wielkiego Szabatu przed Pesach, zmieniłem się w muchę i ugryzłem tego uczonego człowieka w koniec języka. Odpędził mnie, ale wpadłem mu za to do ucha. Próbował mnie również stamtąd wypędzić, ale ja już tańczyłem wokół jego wysokiego czoła i zacząłem sobie paradować po jego głębokich rabinackich zmarszczkach. On dalej wygłaszał kazanie, a ja sobie śpiewałem, bawiłem się świetnie, słuchając, jak ten świeżo upieczony erudyta męczył się nad tekstem, nie potrafiąc wydobyć z siebie żadnych głębszych myśli, którymi planował oszołomić swych słuchaczy. Och, tak, jego wrogowie z zadowoleniem będą wspominać ten szabat! Och, a jak jego żona zwymyślała go tego wieczoru! W rzeczy samej, kłótnia pomiędzy nimi zaszła tak daleko, że aż wstydzę się Wam o tym mówić - nie wpuściła go do swego łóżka. A była to przecież noc święta Pesach, kiedy każdy żydowski mąż powinien czuć się niczym król, a każda żydowska żona powinna przypominać królową. I jeśli było jej przeznaczone, że ma począć Mesjasza tej nocy, zniszczyłem to w zarodku!

Ponieważ życie moje trwa wiecznie, a także nie muszę się martwić, jak zarobić na życie i wychować dzieci, nie muszę również odpowiadać przed nikim za swoje czyny, robię więc wszystko, co mi się żywnie podoba. Wiezorami podglądam kobiety w rytualnej kąpieli lub też zakradam się do, sypialni pobożnych rodzin i podsłuchuję niezbyt stosowne dla wrażliwego ucha rozmowy pomiędzy mężem a żoną. Lubię bardzo czytać listy innych ludzi oraz liczyć to, co kobiety przechowują w swoich zawiniątkach. Mam tak wyostrzony słuch, że słyszę nawet myśli, kielkujące w czyjejs głowie, i chociaż nie mam ust i jestem niemy niczym ryba, potrafię, kiedy nadarzy się ku temu okazja, zdobyć się na kąśliwą uwagę. Nie odczuwam potrzeby posiadania pieniędzy, ale lubię

popęłniać drobne kradzieże. Kradnę spinki z kobiecych sukien i luzuję im wszystkie supły i węzły. Chowam ważne papiery i spisane testamenty - jakichże to najróżniejszych figli się imam! Dla przykładu:

Żydowski ziemianin, reb Pałtiel, człowiek uczony, hojny i szczery z natury, pochodzący ze znakomitej rodziny, zubożał. Jego krowy przestały dawać mleko, ziemia stała się jałowa, a pszczoły przestały robić miód. Wszystko zmierzało ku najgorszemu. Reb Pałtiel zrozumiał, że szczęście się od niego odwróciło i rzekł do siebie: „No cóż, umrę jako biedak”. Posiadał kilka tomów *Talmudu* i *Księgę Psalmów*, usiadł więc i zaczął je studiować, i modlić się. Myślał sobie przy tym: Pan daje i Pan odbiera. Dopóki starczy mi chleba, nie będę głodny, ale kiedy i tego zabraknie, przyjdzie chwila, aby wziąć kij i worek na plecy i iść na żebrzy.

Człowiek ten miał żonę, Gryne Pesze, której bogaty brat, reb Getz, mieszkał w Warszawie. Nie dawała więc mężowi spokoju.

- Co za sens, aby siedzieć tu i czekać, aż zjemy ostatnią kromkę chleba? Jedź do Warszawy i powiedz mojemu bratu, co się stało.

Mąż jej miał jednak swoją dumę i odpowiedział jej na to: - Nie chcę żebrać u nikogo łaski. Jeśli Bóg zechce, to będę miał środki do życia, poznam wówczas Jego szczodroblivość, jeśli jednak pisana jest mi bieda, cała ta podróż zakończy się tylko tym, że niepotrzebnie sam siebie poniżę.

Ponieważ jednak kobiety zostały obdarzone dziewięcioma miarkami gadulstwa i jedynie półmiarką wiary, tak go namawiała i przekonywała, aż w końcu skapitulował. Założył na siebie podniszczone palto, podbite nadgryzionym przez mole futrem z lisów i zakrytym wozem pojechał do Rejowca, a stamtąd do Lublina, a następnie przez wiele dni tułał się drogą z Lublina do Warszawy.

Podróż była długa i męcząca, wóz włókł się prawie cały tydzień. W nocy reb Pałtiel spał w napotkanych po drodze gospodach i nie widział w tym nic zdrożnego, bo minęły już Kuczki i ciężkie, czarne chmury zwiastowały deszcz. Koła wozu grzęzły głęboko w błotnistej mazi, która oblepiała szprychy grubą warstwą. Aby długo się nie rozwodzić, powiem krótko: warszawski krezus, reb Getz, krzywił się, narzekał, gryzł brodę i mruczał coś o tym, że nowo odnalezieni kuzyni, zarówno z jego, jak i żony strony wypełzają niczym robactwo z dziur w ścianach. W końcu wyjął pięćsetguldenowy banknot i dał go swemu zdesperowanemu szwagrowi. Następnie pożegnał się z nim ni to chłodno, ni to ciepło, wzdychając i uśmiechając się przy tym na przemian, prosząc równocześnie, aby pozdrowił jego siostrę. Siostra to przecież siostra, jego własna krew.

Reb Pałtiel wziął banknot, włożył do wewnętrznej kieszeni i wyruszył do domu. Rzeczywiście upokorzenie, którego doświadczył, kosztowało z pewnością o ponad pięć razy więcej niż pięćset guldenów. Ale cóż można na to poradzić? Oczywiście jest, że raz człowiek zbiera zaszczyty, a innym razem musi znosić zniewagi. W każdym razie zniewagi były już tylko sprawą przeszłości, a w kieszeni miał za to pięćset guldenów. A mając taką sumę można kupić krowy, konie i kozy oraz nareperować dach i zapłacić podatki, a także zatroszczyć się o Bóg tylko wie jak wiele innych potrzeb. Byłem tuż obok niego (tak się zdarzyło, że w tym czasie byłem pchłą, gnieźdząc się w

brodzie reba Pałtieła) i szepnąłem mu do ucha: - No i co powiesz na to? Gryne Pesza z pewnością nie jest taka głupia!

Odpowiedział mi na to: - Bez wątpienia było mi to pisane. Kto to wie? Być może niebiosa chciały, abym odpokutował za jakiś grzech i od teraz szczęście będzie mi już sprzyjać.

Ostatniej nocy w drodze powrotnej spadł duży śnieg, a potem złapał tęgi mróz. Wóz nie mógł poruszać się po oblodzonej drodze i reb Pałtiel musiał przesiąść się na sanie. Wrócił przemarznięty, zachrypnięty i wyczerpany długą podróżą. Od razu też skierował swe kroki do domu.

Jego żona, Gryne Pesza, siedziała i grzała się przy kominku. Kiedy go zobaczyła wydała z siebie piskliwy głos: - O, biada mi! Jak ty wyglądasz? Widziałam już jak chowali lepiej wyglądających osobników!

Kiedy usłyszał jej lamenty, reb Pałtiel sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni, wyciągnął banknot, położył go na stole i powiedział: - Weź to, to jest twoje. - I oddał jej ten dar miłosierdzia, który go tak drogo kosztował.

Na twarzy Gryne Peszy malowało się przygnębienie na przemian z uczuciem radości. - No cóż, spodziewałam się tysiąca - powiedziała. - Ale i na pięćset też nie ma co wybrzydzać.

Kiedy mówiła te słowa, wyskoczyłem z brody reba Pałtieła i usiadłem na nosie Gryne Peszy. Wskoczyłem z taką siłą, że biedna kobieta wypuściła z rąk banknot, który wpadł do ognia. I zanim którekolwiek z nich zdążyło krzyknąć, zielonkawo-niebieski płomień strzelił do góry i z pięciuset guldenów pozostała tylko kupka popiołu.

Na cóż by się zdało, gdybym opowiedział Wam, co on mówił i co ona na to odpowiedziała? Możecie sami to sobie wyobrazić. Wskoczyłem z powrotem do brody reba Pałtieła i pozostałem tam do czasu, kiedy - aż jestem zły na siebie, że muszę Wam to powiedzieć - zmuszony był wziąć worek i kij żebraczy i iść na żebrzy. Spróbujcie powiesić pchłę! Spróbujcie uciec przed nieszczęściem! Spróbujcie odgadnąć, gdzie czyha zły duch!...

Kiedy wróciłem w Góry Ciemności i opowiedziałem Asmodeuszowi to, co zrobiłem, wytargał mnie tylko za uszy i powtórzył całą historię swojej żonie Lilit, która zaczęła śmiać się aż do rozpuku. Jej radosny śmiech nappełnił echem całą pustynię. Ona zaś, przecież Królowa Dworu Szatana, własnoręcznie uszczypnęła mnie w nos.

- Naprawdę jesteś wspaniałym małym diablikiem! - powiedziała do mnie. - Pewnego dnia dokonasz wielkich rzeczy!

II

Tam, gdzie niebiosa są miedziane, a ziemia żelazna, na polanie pełnej muchomorów, w rozwalającej się szopie, na kupie gnoju, w garnku bez dna, w noc szabasową w czasie zimowego przesilenia dnia z nocą, nie do wyobrażenia sobie teraz, ani potem, ani w nocy. Amen Sela!

Złowieszcze przepowiednie mojej pani, Lilit, zostały spełnione. Nie jestem już diablikiem, ale w pełni dojrzałym diabłem, a do tego płci męskiej. Mogę przybierać postać ludzką, mogę płatać swoje przewrotne figle i wyprowadzać ludzi w pole. Prawda, że można mnie przegnać świętym zaklęciem, ale kto w obecnych czasach zna Kabałę? Nędzni rabini mogą mi jedynie nasypać soli na ogon. Ich amulety są dla mnie jedynie bezużytecznymi skrawkami papieru; a ich zaklęcia przyprawiają mnie o śmiech. Niejednokrotnie zostawiałem im w myckach na pamiątkę czarcie łajno lub wiązałem supły na ich brodach.

Tak, robię straszne rzeczy. Jestem prawdziwym demonem i uosobieniem wszelkiego zła. Pewnej księżycowej nocy zmieniłem się w worek soli i położyłem się obok drogi. Wkrótce pojawił się wóz. Widząc napełniony worek, woźnica zatrzymał konie, zeskoczył na drogę i wrzucił mnie na wóz. Któż nie wzięłby czegoś za nic. Byłem ciężki jak ołów i ten nieuk ledwo mógł mnie podnieść. Kiedy już byłem w wozie, otworzył worek i polizał zawartość - oczywiście chciał stwierdzić, czy jestem solą, czy też cukrem. W sekundę zmieniłem się w cielę i pozwałam Wam zgadywać do trzech razy, gdzie mnie wówczas lizał. Kiedy zobaczył, co robi, biedaczysko, o mało nie postradał zmysłów. Zaczęły mu się trząść ręce i nogi. „Co się dzieje?! - krzyczał. - Gdzie u diabła jestem?” Nagle zatrzepotałem skrzydłami i odleciałem w postaci orła. Woźnica wrócił do domu już jako chory człowiek. A teraz chodzi wszędzie z amuletem i kawałkiem bursztynu o cudownych właściwościach, ale pomoże mu to jak umarłemu kadzidło.

Pewnej zimy zjawiłem się w miasteczku Turobin, zbierając datki na potrzebujących w Ziemi Świętej. Chodziłem od domu do domu, otwierałem puszki z jałmużną i wybierałem drobne, najczęściej sfatygowane miedziaki. Z jednego z domów dochodził zapach dobrze rozgrzanego pieca. Jego właścicielką była panna po trzydziestce, której rodzice już nie żyli. Utrzymywała się piekąc ciasteczka dla uczniów jesziwy. Była niskiego wzrostu, korpulentna, o dużych piersiach i jeszcze większej... jak Wy to nazywacie tę część ciała. W domu było ciepło, a w powietrzu unosił się zapach cynamonu i maku, przyszło mi więc na myśl, że nic nie stracę, jeśli się zwiążę na jakiś czas węzłem małżeńskim z tą starą panną. Wyglądziłem więc swoje rude pejsy, uczesałem brodę palcami, wydmuchałem zziębnięty nos i uciałem sobie pogawędkę z dziewczyną. Od słowa do słowa doszło do momentu, kiedy powiedziałem jej, że jestem bezdzietnym wdowcem.

- Nie zarabiam dużo, ale w portmonetce, którą trzymam pod małym tałesem, mam kilkaset guldenów.

- Czy twoja żona dawno umarła? - pyta mnie, a ja odpowiadam:

- Na święto Estery minie trzy lata.

Pyta dalej: - Co jej było?

Odpowiadam więc: - Umarła przy porodzie - i zaczynam szlochać.

Widzi więc, że jestem uczciwym człowiekiem - gdyby było inaczej, czyż mężczyzna oplakiwałby swą żonę w trzy lata po śmierci? Krótko mówiąc, dochodzi do ożenku. Kobiety z miasteczka biorą sierotę pod swoje skrzydła i zbierają jej posag. Dają jej obrusy, serwetki, prześcieradła, koszule, halki, majtki. Ponieważ jest dziewczicą, ustawiają chupę na dziedzińcu synagogi. Prezenty ślubne zostają rozdane, każdy tańczy z nowożeńcami i panna młoda prowadzona jest do swej sypialni.

- Życzę szczęścia! - mówi do mnie družba i dodaje:

- Mam nadzieję, że w następnym roku będziemy świętować obrzezanie!

Goście wychodzą. Noc jest długa i ciemna. W sypialni jest ciepło i panują egipskie ciemności. Moja oblubienica jest już w łóżku, pod puchową kołdrą - sama darła pierze na puch, czekając na męża. Poruszam się po omacku w ciemnościach; dla zachowania pozorów rozbieram się, lekko kaszlę i szepcę coś do siebie.

- Czy jesteś zmęczona? - pytam.

- Nie tak bardzo - ona na to odpowiada.

- Wiesz - mówię - moja pierwsza, niech jej dusza spoczywa w pokoju, była zawsze zmęczona. Biedactwo, była taka słaba.

- Nie mów o niej teraz - strofuje mnie moja żona.

- Być może szepnie za nami słówko w niebiosach.

- Chcę ci coś powiedzieć - mówię jej - ale tylko nie denerwuj się. Na łożu śmierci prosiła mnie, abym jej święcie przyrzekł, że nigdy już się nie ożenię.

- Nie przyrzekłeś jej tego?

- Czy miałem jakiś wybór? Wiesz, że nie wolno martwić umierających.

- Powinieneś spytać rabina, co robić - mówi do mnie piekarka. - Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

- Cóż takiego się stało? Boisz się, że wróci i cię zadusi?

- Boże uchowaj! - odpowiada. - Jak można mnie za to winić? Nic przecież o tym nie wiedziałam.

Wchodzę do łóżka, a ciało mam całe lodowate.

- Dlaczego jesteś taki zimny? - moja żona pyta.

- Czy naprawdę chcesz wiedzieć? - mówię jej na to. - Przysuń się bliżej, to szepnę ci do ucha.

- Nikt cię przecież nie słyszy - mówi zdziwiona.

- Jest takie powiedzenie, że ściany mają uszy - odpowiadam.

Nastawia ucha, a ja prosto w nie pluję. Przeszywa ją dreszcz i siada. Skrzypią deski w łóżku. Siennik zaczyna zapadać się i trzeszczeć.

- Co ty wyprawiasz? - piszczy. - Co w tym jest mądrego?

Zamiast jej odpowiedzieć, zaczynam chichotać.

- Cóż to za zabawa? - mówi. - To może uchościć dziecku, ale nie przystoi dorosłemu mężczyźnie.

- A skąd wiesz, że nie jestem dzieckiem?- odpowiedziałem. - Jestem dzieckiem z brodą. Koziołki też mają brody.

- No, cóż - mówi ona - jeśli chcesz paplać bez sensu, to paplaj sobie. Dobranoc.

I odwraca twarz do ściany. Przez chwilę leżymy spokojnie. Potem szczypię ją tam, gdzie jest najgrubsza. Moja żona podskakuje w powietrze. Łóżko się trzęsie. Ona wydaje z siebie krzyk: - Zwariowałeś, czy co? Dlaczego mnie szczypiasz? O wielkie nieba, w jakie ja ręce popadłam?

I zaczyna żałośnie płakać - tak, jak to tylko potrafi sierota bez przyjaciół, która czekała przez ponad trzydzieści lat na swój szczęśliwy dzień i nagle stwierdza, że wyszła za potwora. Nawet serce złodzieja by w tym momencie zmiękło. Jestem pewien, że sam Bóg uronił łzę tej nocy. Ale diabeł jest diabłem.

O świcie wymykam się z domu i idę do rabina. Rabin, święty człowiek, siedzi już nad księgami i mój widok wprawia go w przerażenie.

- Niech Bóg błogosławi Żyda - mówi. - Dlaczego przychodzisz tak wcześnie?

- To prawda, że jestem tu obcy. Jestem również tylko biednym człowiekiem, ale miasteczko nie musiało mnie swatać z dziwką!

- Dziwką!?

- A kimże jest panna młoda, która nie jest dziewicą? - pytam.

Rabin każe mi poczekać na siebie w domu nauki i idzie obudzić swą żonę. Ona się ubiera (zapomina nawet o umyciu rąk) i stawia na nogi kilka swoich przyjaciółek. Mała grupka kobiet wraz z rabinową udaje się do domu mojej żony, aby przeprowadzić dochodzenie i obejrzyć prześcieradła. Turobin to nie Sodoma. Jeśli popełniono grzech, całe miasteczko musi o tym wiedzieć!

Moja żona gorzko płacze. Przysięga, że nie zbliżyłem się do niej przez całą noc. Twierdzi, że jestem szalony, że szczypałem ją i plułem jej w ucho, ale kobiety kiwają tylko głowami. Prowadzą oskarżoną do rabina. Paradują przez rynek, a mieszkańcy patrzą ze wszystkich okien. Dom nauki jest przepelniony tłumem ludzi. Moja żona jęczy i lamentuje. Przysięga, że żaden mężczyzna nigdy jej nie dotknął, w tym także ja.

- To szaleniec - mówi i oskarża mnie.

Ale ja utrzymuję, że ona kłamie.

- Aby wszystko było jasne, niech doktor ją zbada - oświadczam.

- Gdzie my znajdziemy doktora w Turobinie? - pytają.

- Zawieźcie ją więc do Lublina - mówię. - Jest jeszcze chyba trochę przyzwoitości na tym świecie! - wrzeszczę.

- Dopilnuję tego, aby cała Polska o tym usłyszała. Opowiem całą historię w Radzie Rabinackiej!

- Bądź rozsądny. Jak można nas za to winić? - pyta jeden ze starszych gminy.

- Odpowiedzialność ciąży na całym Izraelu - odpowiadam z żalną miną. - Czy kto kiedy słyszał, aby miasteczko pozwoliło dziewczynie pozostać w stanie panieńskim aż po trzydzieście, a

do tego piec ciasteczka dla uczniów jesziwy?

Moja żona zdaje sobie sprawę, że próbuję zniszczyć na dokładkę jej interes, podbiega więc do mnie z zaciśniętymi pięściami. Gotowa jest mnie uderzyć i na pewno by tak zrobiła, gdyby jej nie powstrzymano.

- Ludzie! - krzyczę. - Zobaczcie tylko jaka z niej bezwstydnica!

Dla wszystkich staje się teraz jasne, że to ja jestem godny zaufania, a nie ona.

Mówiąc krótko, rabin rzecze: - Jest jeszcze Bóg na niebie. Rozwiedź się z nią i pozbądź się jej.

- Bardzo mi przykro - mówię - ale poniosłem wydatki. Ślub kosztował mnie jakieś dobre sto guldenów.

Zaczynamy się więc targować. Na pieczeniu ciasteczek moja żona zaoszczędziła, składając grosz do grosika, jakieś dodatkowe siedemdziesiąt guldenów. Próbują mnie namówić, abym się tym zaspokoił, ale ja jestem nieugięty.

- Niech sprzeda swoje ślubne prezenty - mówię.

Dziewczyna na to w krzyk: - Zabierz wszystko! Wypruj mi flaki! - Zakrywa twarz dłońmi i zaczyna szlochać - Och, mammo, wolałabym teraz leżeć razem z tobą w grobie! - Bije pięściami w stół, przewracając kałamarz, i płacze dalej. - Jeśliby mnie to spotkało, to nie ma Boga.

Szames rzuca się do niej i bije ją w twarz. Dziewczyna pada na podłogę z podwiniętą suknią, a z głowy spada jej chustka. Próbują ją podnieść, ale ona kopie, bije na oślep rękami i podnosi lament: - Nie jesteście Żydami, tylko bestiami!

Mimo to udaje mi się tego wieczoru wyciągnąć moje sto guldenów. Skryba siada, aby wypisać papiery rozwodowe. Nagle oświadczam, że muszę na chwilę wyjść - i nigdy nie wracam. Szukają mnie przez pół nocy. Wołają mnie, krzyczą za mną, szukają w każdym kącie. Moja żona zostaje na stałe słomianą wdową. I w końcu, na złość Bogu, miasteczku i aby odegrać się za swój nieszczęsny los, rzuca się do studni.

Asmodeusz sam osobiście pochwalił mnie za to, co zrobiłem, choć była to drobnostka.

- Nieźle - powiedział - jesteś na dobrej drodze. I wysłał mnie do Machlat, córki Namy, diablicy, która uczy młode demony sztuki praktykowania zła.

Starzec

I

Na początku Wielkiej Wojny Chaim Sachar z ulicy Krochmalnej w Warszawie był bogatym człowiekiem. Odłożywszy po tysiąc rubli na posag dla każdej ze swych córek, miał wynająć nowe mieszkanie na tyle duże, aby pomieścić zięcia, który oddawał się studiowaniu *Tory*. Miał tam być również dodatkowy pokój dla jego dziewięćdziesięcioletniego ojca, reba Mosze Bera, chasyda z Turzyska, który przyjechał ostatnio do Warszawy, aby z nim zamieszkać.

Ale dwa lata później mieszkanie Chaima Sachara było prawie puste. Nikt nie wiedział, gdzie jego dwaj synowie, ogromne chłopcy, których wysłano na front, zostali pochowani. Jego żona i dwie córki zmarły na tyfus. Odprowadził je wszystkie na cmentarz. W synagodze, w czasie odmawiania przepisanych na taką okazję modlitw, okupował najlepsze miejsce, co wzbudziło niechęć innych żałobników, którzy oskarżali go, że w sposób nieuzasadniony wykorzystuje swoją tragiczną sytuację rodzinną.

Po zajęciu Warszawy przez Niemców, Chaim Sachar, wysoki, barczysty mężczyzna, dobiegający sześćdziesiątki, zamknął swój sklep, gdzie targował żywymi gęsiami. Zaczął wyprzedawać meble, sztuka po sztuce, aby kupić zmarznięte ziemniaki i spleśniały groch. Robił też dla siebie i swego ojca, który przeżył wnuki, kluski z grubej, szerniałej mąki.

I chociaż Chaim Sachar już od wielu miesięcy nie miał do czynienia z żywym drobiem, jego szeroki kaftan ciągle oblepiało od góry do dołu gęsie pierze, duży kapelusz o szerokim rondzie błyszczał od tłuszczu, a buty z cholewami o zadartych nosach nosiły ślady po gęziej krwi. Dwoje małych oczu, przerażonych i wygłodniałych, patrzyło badawczo spod rozczochranych brwi; zaś czerwone obwódki, które je okalały, przypominały czasy, gdy był w stanie zakropić półkwartą wódki pełen talerz smażonych wątróbek i jaj na twardo. Teraz wałęsał się cały dzień po targu i upajał zapachami płynącymi z jatek i restauracji, węsząc niczym pies. Od czasu do czasu ucinał sobie też drzemkę na jakimś pustym wozie. Różnymi odpadkami, które zbierał w ciągu dnia do swego koszyka, palił nocą w piecu kuchennym. Zakasywał również wówczas rękawy, pokazując owłosione ramiona, i tarł rzepę na tarce. W tym czasie jego ojciec siedział i grzał się przy otwartych drzwiczkach pieca, chociaż był to środek lata. Na kolanach trzymał otwartą księgę *Miszny* i ciągle narzekał na głód.

Tak jakby to wszystko była wina syna, starzec mrucał gniewnie pod nosem: „Nie mogę tego już dłużej znieść... tego ssania w dołku...” Nie podnosząc oczu znad traktatu o nieczystości, wskazywał palcem na brzuch i następnie powracał do swojego mamrotania, gdzie słowo „nieczysty” powtarzało się jak refren. Chociaż miał ciemnoniebieskie oczy ślepeca, nie potrzebował okularów;

zachował też kilka zębów, poślizgniętych i zakrzywionych, przypominających zardzewiałe gwoździe. Każdego dnia budził się na tym samym boku, na którym zasnął. Dolegała mu jedynie ruptura. Nie przeszkadzało mu to jednak wlec się po ulicach Warszawy z pomocą ostro zakończonych laski, którą nazywał swoim „konikiem”. W każdej synagodze, w której się zatrzymywał, opowiadał historie o wojnach, złych duchach i starych, dobrych czasach, kiedy żyło się dostatnio, a wszystko było tanie, kiedy to ludzie suszyli kozuchy w piwnicach i pili spirytus prosto z beczki, przez słomkę. W zamian częstowano reba Mosze Bera surową marchwią, rzodkiewkami i rzepą. Wszystko znikало w okamgnieniu. Potem, trzęsącą się ręką, wyławiał jeszcze jakieś małe kawałki, które utkwiły w jego rzadkiej brodzie - ciągle jeszcze nie dotkniętej siwizną - i zaczynał opowiadać o Węgrzech, gdzie ponad siedemdziesiąt lat temu żył w domu swego teścia.

- Tuż po modlitwie podawano nam karafkę wina i dobry kawał cielęciny. A w zupie pływały jajka na twardo i mięciutkie kluski.

Otaczali go mężczyźni o zapadniętych policzkach, ubrani w łachmany, przepasane sznurkiem poniżej brzucha. Pochylali się nad nim, chłonąc każde jego słowo. Z łapczywości przewracali białkami, a do ust spływała im ślina, tak jakby starzec naprawdę jadł te wszystkie przepyszności, o których opowiadał. Młodzi uczniowie jesziwy, z twarzami wychudłymi od postów i niespokojnymi, rozbieganymi oczami szaleńców, nerwowo okręcali wokół palców swoje długie pejsy. Wykrzywiali przy tym twarze tak, jak gdyby chcieli stłumić uparcie powtarzające się ataki bólów brzucha.

- To były czasy. Człowiek prócz trosk przeżywał też niebiańskie chwile. Nam to nie jest dane.

Przez wiele miesięcy reb Mosze Ber włóczył się tak, szukając jakiejś strawy. Wreszcie pewnego wieczoru pod koniec lata, wróciwszy do domu, zastał Chaima Sachara, swego pierworodnego, w łóżku, chorego, bez butów i bez kaftana. Twarz Chaima Sachara była tak czerwona, jak gdyby przebywał wcześniej w łaźni, a broda splątana w węzeł. Przyszła sąsiadka, dotknęła jego czoła i zaczęła zawodzić: - Och, biada, to ta choroba. Musi iść do szpitala.

Następnego ranka na podwórku pojawił się czarny ambulans. Chaim Sachar zabrany został do szpitala, mieszkanie zostało spryskane karbolem, a ojca zabrano do ośrodka dezynfekcyjnego, gdzie dostał biały strój i buty na drewnianych podszwach. Strażnicy, którzy dobrze go znali, dawali mu pod stołem podwójne porcje chleba, a nawet częstowali papierosami. Było już po Święcie Kuczek, kiedy starcowi z ogolonym podbródkiem, zakrytym chustką, pozwolono na opuszczenie ośrodka. Jego syn już dawno nie żył i reb Mosze Ber odmówił za niego kadisz. Mieszkał teraz sam i zmuszony był palić w piecu papierem i wiórami znalezionymi na śmietniku. W gorącym popiele piekł nadgniłe ziemniaki, które przynosił w swym szalu, a w żelaznym garnku parzył cykorię. Prowadził sam swoje gospodarstwo. Robił świece, ugniatając wokół knotów kawałki wosku zmieszane z łojem; nad zlewem prał koszule i suszył je, wieszając na kawałku sznurka. Każdego wieczoru zastawiał pułapki na myszy, a następnego ranka topił je. Kiedy wychodził z domu, zawsze zamykał drzwi na kłódkę. W tym czasie w Warszawie nie trzeba było płacić czynszu. Ponadto nosił spodnie i buty z cholewami syna. Jego starzy znajomi z domów nauki zazdrościli mu. „Żyje jak król! - mówili. - Odziedziczył przecież fortunę po synu!”

Przyszła ciężka zima i nastaly trudne dni. Nie bylo węgla, w piecu brakowało kilku kafli i za każdym razem, kiedy starzec rozpalal ogień, w mieszkaniu kłębil się czarny, gęsty dym. Już w listopadzie okna zasypał śnieg, a szyby pokryła skorupa niebieskawego lodu, tak że wewnątrz było zawsze ciemno i ponuro. Woda, którą trzymał w dzbanku na nocnym stoliku, zamarzała przez noc. Chociaż w łóżku nakrywał się całą stertą ubrań, nigdy nie było mu ciepło i z zimna sztywniały mu stopy. Jak tylko zapadał w drzemkę, wszystko, czym był przykryty, spadało na ziemię, musiał więc nago wygrzebywać się z łóżka i znowu przygotowywać sobie posłanie. Brakowało nafty, nawet zapalki były luksusem. I chociaż recytował rozdział za rozdziałem z *Księgi Psalmów*, nie był w stanie zasnąć. Wiatr hulał bez przeszkód po pokojach, wałąc o drzwi, tak że nawet myszy uciekały. Kiedy wieszał koszulę, żeby ją wysuszyć, szybko sztywniała i można ją było łamać niczym szkło. Przestał się myć; twarz mu szerniała, tak jakby ktoś pomazał ją węglem. Całymi dniami siedział w domu nauki przy rozgrzanym do czerwoności żelaznym piecu. Na półkach leżały tam stare książki, przypominające do złudzenia sterty łachmanów; wokół stołów o cynowych blatach stali włóczędzy o trudnym do opisanego wyglądzie, z długimi, matowymi włosami i stopami owiniętymi w szmaty - mężczyźni, którzy stracili wszystko w czasie wojny, na wpół nadzy, ledwo okryci podartymi ubraniami, z workami zarzuconymi na plecy. Przez cały dzień, podczas gdy sieroty odmawiały kadisza, kobiety tłoczyły się wokół Świętej Arki, głośno modląc się za chorych, tak że do jego uszu ciągle dochodziły ich zawrodozenia i lamenty. W całym pomieszczeniu było duszno i szaro oraz cuchnęło niczym w kostnicy od licznie palących się świec w intencji zmarłych i chorych. Za każdym razem, kiedy reb Mosze Ber ze spuszczoną głową zapadał w drzemkę, opierał się bezwiednie o piec i parzył się dotkliwie. Wieczorem odprowadzano go do domu, ponieważ obawiał się, że się pośliznie na lodzie w swych podkutych gwoździami butach. Inni lokatorzy w jego domu widzieli go już wśród zmarłych: „Biedny człowiek - nic już z niego nie zostało”.

Któregoś grudniowego dnia reb Mosze Ber rzeczywiście się pośliznął i mocno zbił sobie prawe ramię. Młody chłopak, który go odprowadzał, wziął go na plecy i zaniósł do domu. Położył nie rozebranego starca na łóżko i natychmiast uciekł, tak jakby był złodziejem, który włamał się do mieszkania. Przez dwa dni starzec jęczał, wołał o pomoc, płakał, ale nikt się nie zjawił. Kilka razy dziennie czynił wyznanie grzechów, modląc się o szybką śmierć, bił się przy tym lewą ręką w piersi. W ciągu dnia na zewnątrz było cicho, tak jakby wszyscy pomarli; blade, zielonkawe światło przeciskało się przez okna do wewnątrz. Nocą słyszał drapanie, tak jakby jakiś kot próbował wdrapywać się po ścianach; wydawało mu się też, że gdzieś z podziemi ciągle dochodzą okropne ryki. W ciemności starzec wyobrażał sobie, że jego łóżko stoi w środku pokoju i że wszystkie okna są otwarte. O zmierzchu drugiego dnia wydało mu się, że widzi jak nagle otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi koń okryty czarną derką. Łeb miał długi niczym osioł i niezliczoną ilość oczu. Starzec od razu zrozumiał, że jest to Anioł Śmierci. Z przerażenia spadł z łóżka i narobił takiego hałasu, że postawił na nogi dwóch sąsiadów. Na podwórku zrobił się ruch, zebrał się tłum ludzi i wezwano ambulans. Kiedy wróciła mu przytomność, reb Mosze Ber stwierdził, że znajduje się w czarnym pudle, obandażowany i przykryty. Był pewien, że leży już na marach i martwiło go bardzo,

że nie miał już potomków, którzy mogliby za niego zmówić kadisz i zapewnić w ten sposób pokój jego grobowi. Nagle przypomniały mu się strofy, które zobowiązany był wymówić do Dumy, Anioła Oskarżenia, i nabrzmiała, poraniona twarz wykrzywił mu trupi grymas:

Jakimż człowiekiem jest ten, który żyje i nie widzi śmierci?

Czy będzie w stanie wyzwolić swą duszę z otchłani grobu?

II

Po święcie Pesach reba Mosze Bera zwolniono ze szpitala. Całkowicie wyzdrowiał i znowu wrócił mu wielki apetyt, chociaż nie miał nic do jedzenia. Skradziono mu cały dobytek; w mieszkaniu pozostały jedynie obdrapane ściany. Przypomniał mu się wówczas Józefów, mała wioska nad granicą z Galicją, gdzie przeżył pięćdziesiąt lat, ciesząc się wielkim uznaniem wśród chasydów z Turzyska, ponieważ znał osobiście starego rabina. Zaczął dopytywać się o możliwości wyjazdu tam, ale ci, z którymi na ten temat rozmawiał, wzruszali jedynie ramionami, podając przy tym sprzeczne informacje. Niektórzy zapewniali go, że Józefów został spalony i starty całkowicie z powierzchni ziemi. Natomiast pewien wędrowny żebrak, który odwiedził ten rejon, twierdził, że jeszcze nigdy Józefów nie był w tak kwitnącym stanie jak obecnie i że jego mieszkańcy nawet w dni powszednie jedli biały szabasowy chleb. Ale Józefów znajdował się po austriackiej stronie granicy i kiedy tylko reb Mosze Ber napomykał o swojej wyprawie, mężczyźni szydlerczo uśmiechali się ukradkiem i machali jedynie rękoma. - Nie bądź głupcem, rebie Mosze Berze. Nawet młody człowiek nie byłby w stanie tego dokonać.

Ale reb Mosze Ber był ciągle głodny. Wszystkie te rzepy, marchewki i wodniste zupy, którymi się raczył w ogólnie dostępnych garkuchniach, potęgowały jedynie niedosyt, jaki odczuwał w żołądku. Całymi nocami marzył o pierożkach z Józefowa, nadziewanych mielonym mięsem i cebulą, smakowitych flakach, nóżkach cielęcych, kurzym tłuszczu i chudej wołowinie. Jak tylko zamknął oczy, widział się od razu na jakimś weselu lub przyjęciu z okazji obrzezania. Na długim stole piętrzyły się pulchne złociste bułeczki, a chasydzi z Turzyska w jedwabnych chałatach i wysokich aksamitnych kapeluszach założonych na jarmułki tańczyli z kieliszkami nalewki w rękę i śpiewali:

Co gotuje biedak na obiad?

Barszcz i kartofle!

Barszcz i kartofle!

Szybciej, szybciej, hop-hop-hop!

Był wówczas głównym organizatorem tych przyjęć; klócił się z dostawcami, upominał muzykantów, doglądał każdego szczegółu, sam zaś nie miał czasu nawet spróbować tego, pod czym ugięły się stoły - odkładał więc to na później, na lepszą okazję. Kiedy budził się rano, czuł napływającą do ust ślinę i ogarniała go wściekłość, że nawet we śnie nie mógł skosztować tych wspaniałości. Serce waliło mu jak dzwon, a całe ciało oblewał zimny pot. Na zewnątrz z każdym dniem robiło się jakby jaśniej. Rankiem promienie słońca tworzyły na obdrapanej ścianie różnorodne wzory, które opadały i wznosiły się, tak jakby odzwierciedlały płynące fale pobliskiej rzeki. Wokół pustego haka po żyrandolu bzycały muchy. Bładoróżowy świt rozjaśniał swym chłodnym blaskiem szyby okienne, w których odbijały się zamazane kształty przelatujących często ptaków. Na dole, w podwórku, żebracy i kaleki śpiewali piosenki, wtórując sobie przy tym grą na skrzypcach lub trąbce. Reb Mosze Ber, w samej w koszuli, wysuwał się z jedyne pozostałego łóżka, aby rozgrzać swe stopy i żołądek i pogapić się na bosonogie dziewczyny w krótkich halkach, trzepiące pierzyny. Pierze leciało we wszystkie strony niczym białe kwiecie, a dookoła roznosił się znajomy zapach gnijącej słomy i smoły. Starzec rozprostowywał zakrzywione palce i nadstawiał swych długich i owłosionych uszu, jakby chciał usłyszeć jakieś dalekie głosy i po raz już tysięczny z kolei dochodził do wniosku, że jeśli nie wyniesie się stąd właśnie tego lata, to nie wyjedzie już nigdy.

- Bóg mi pomoże - mrucał do siebie. - Jeśli taka będzie jego wola, to będę ucztował w świątecznej altance w Józefowie.

Najpierw stracił wiele czasu słuchając ludzi, którzy radzili mu, aby załatwił sobie paszport i wystąpił o wizę.

Po zrobieniu sobie zdjęcia, dostał żółtą kartę, a potem wraz z tłumami innych musiał tygodniami wystawać przed austriackim konsulem, przy krętej uliczce, gdzieś nad Wisłą. Brodaci żołnierze z fajkami w ustach ciągle wymyślali im po niemiecku i okładali kolbami karabinów. Kobiety z dziećmi na rękach płakały i mdlały. Rozeszły się pogłoski, że wizy dawano tylko prostytutkom i mężczyznom, którzy płacili w złocie. Reb Mosze Ber przychodził tam każdego dnia o świcie, siadał na ziemi i zagłębiał się w lekturze traktatu Beni Issachura. Podgryzał przy tym od czasu do czasu zapleśniałe rzodkiewki i utartą rzepę. Ponieważ jednak tłum przed konsulem gęstniał z każdym dniem, postanowił pewnego dnia zrezygnować z tego wszystkiego. Sprzedał swój watowany kaftan domokrażcy i kupił bochenek chleba oraz torbę, w której umieścił swój tałes, filakteria, a także, na szczęście, kilka książek. Wyruszył na piechotę, planując nielegalnie przekroczyć granicę. Dopiero po pięciu tygodniach dotarł do Iwangorodu. W ciągu dnia, jeśli było ciepło, siedł boso przez pola, przewiesiwszy sobie buty przez ramię, jak to robili chłopci. Żywił się niedojrzałym jeszcze ziarnem i spał w stodołach. Niemiecka żandarmeria często go zatrzymywała. Przyglądano się długo jego rosyjskiemu paszportowi, a następnie rewidowano, czy nie przemycił kontrabandy i puszczano wolno. Często, gdy siedł, odzywała się jego przepuklina i jelita wychodziły pod skórę; kładł się wtedy na ziemi i wciskał je z powrotem na miejsce rękami. W wiosce, niedaleko Iwangorodu, spotkał grupę chasydów z Turzyska, w większości młodych. Kiedy usłyszeli, dokąd idzie, i że ma zamiar dostać się do Galicji, spojrzeli na niego z osłupieniem i niedowierzaniem.

Następnie poszeptali coś między sobą i zaczęli go ostrzegać: - W takich czasach próbować szczęścia to szaleństwo. Poślą cię na szubienicę pod byle pretekstem.

Bojąc się z nim dłużej rozmawiać, aby nie wzbudzić podejrzeń władz, dali mu kilka marek i czym prędzej odprawili. W kilka dni później w tej samej wiosce ludzie szeptali między sobą o starym Żydzie, którego zaaresztowano gdzieś na drodze i postawiono przed plutonem egzekucyjnym. W tym czasie reb Mosze był nie tylko żywy i cały, ale znajdował się już po austriackiej stronie granicy. Za kilka marek pewien chłop przewiózł go wozem, ukrytego pod kupą słomy. Starzec od razu skierował się do Rejowca. Zapadł tam na dezynterię i leżał w przytułku kilka dni. Wszyscy myśleli, że już umiera, ale on jakoś się powoli z tego wylizał.

Nie brakowało teraz już jedzenia. Gospodynie raczyły reba Mosze Bera kaszą gryczaną z mlekiem, a w soboty jadał nawet nóżki cielęce w galarecie i wypijał kieliszek nalewki. Z chwilą gdy wróciły mu siły, od razu ruszył w drogę. Drogi były mu tu znajome. W tym regionie, tak jak przed pięćdziesięciu laty, chłopci ciągle jeszcze nosili białe sukmany i czterograniaste czapki z kutasikiem; mieli również brody i mówili po ukraińsku. W Zamościu starca zaaresztowano i wrzucono do więzienia wraz z dwoma młodymi chłopami. Policja skonfiskowała jego torbę. Odmówił chrześcijańskiego jedzenia i przyjmował tylko chleb i wodę. Co drugi dzień wzywany był do komendanta, który wrzeszczał mu coś prosto do ucha, tak jakby reb Mosze Ber był głuchy. Reb Mosze Ber nic z tego nie rozumiał, kiwał więc tylko głową i próbował rzucać się komendantowi do nóg. Trwało to tak aż do zakończenia Rosz Haszana. Dopiero wówczas Żydzi w Zamościu dowiedzieli się, że starzec przybyły z zagranicy trzymany jest w więzieniu. Rabin oraz przewodniczący gminy uzyskali jego zwolnienie, płacąc komendantowi okup.

Zaproszono reba Mosze Bera, aby pozostał w Zamościu aż do zakończenia Jom Kipur, ale on nawet nie brał tego pod uwagę. Spędził tam jedynie noc, wziął trochę chleba i tuż o świcie wyruszył piechotą do Biłgoraja. Przedzierał się przez rżyska, a potem odpoczywał w gęstych lasach, żywiąc się wykopaną po drodze rzepą i zebranymi w lesie poziomkami. Chłopskim wozem przejechał dwa, trzy kilometry. Parę kilometrów przed Biłgorajem kilku pastuchów przewróciło go na ziemię, ściągnęło mu buty i uciekło.

Reb Mosze Ber szedł dalej boso, i dlatego też dotarł do Biłgoraja dopiero późno w nocy. Włóczędzy, którzy nocowali w domu nauki, nie wpuścili go do środka, usiadł więc na schodach i oparł zmęczoną głowę na kolanach. Była jasna, jesienna noc. Doskwierało już zimno. Na tle gwiazdzonego nieba, rozjaśnionego żółtawą poświatą księżycy, widać było zarysy stadka kóz, które w ciszy zajęte były ogryzaniem kory z pali drewna zgromadzonego na zimę w podwórku synagogi. Jakby pogrążona w bezgranicznym smutku sowa lamentowała kobiecym głosem, raz cichnąc, to znowu zaczynając i tak bez końca. O świcie przyszli ludzie z latarniami, aby odmówić Selichot. Wprowadzili starca do środka, umieścili koło pieca i przykryli go tałesami, które leżały pozostawione w skrzyni. Później przyniesiono mu parę ciężkich, podkutych gwoździami wojskowych butów z niewyprawionej skóry. Buty strasznie ocierały stopy, ale reb Mosze Ber chciał koniecznie czcić Jom Kipur w Józefowie, a do Jom Kipur pozostał już tylko jeden dzień.

Wyszedł wcześniej. Miał do pokonania jedynie około ośmiu kilometrów, ale chciał przybyć o świcie, aby zdążyć na modlitwy Selichot. Ale kiedy tylko wyszedł za miasto, sztywne buty zaczęły mu sprawiać taki ból, że nie mógł ująć dalej ani kroku. Musiał je ściągnąć i iść bosy. Później przyszła ulewa z grzmotami i błyskawicami. Zapadał się po kolana w błotniste kałuże i co chwila się potykał. Cały umazał się gliną i błotem, stopy mu opuchły i zaczęły krwawić. Noc spędził w stogu siana pod gołym niebem, ale było tak zimno, że nie mógł zmrużyć oka. W okolicznych wsiach ujadły ciągle psy, a deszcz padał bez końca. Reb Mosze Ber był przekonany, że nadszedł już koniec. Modlił się do Boga, aby go oszczędził aż do pory, gdy się odmawia modlitwę Neila, tak aby mógł osiągnąć niebo oczyszczony ze wszystkich grzechów. Po jakimś czasie, gdy na wschodnim nieboskłonie przez chmury zaczęła przeciskać się luna światła, a mgła stawała się coraz bielsza, nowa energia wstąpiła w reba Mosze Bera i znowu wyruszył w kierunku Józefowa.

Dotarł w chwili, gdy chasydzi z Turzyska już się zebrali, jak nakazywała tradycja, aby uraczyć się nalewką i ciastkiem. Kilku od razu zauważyło, że przybył ktoś nowy i wszyscy zaczęli się cieszyć, ponieważ uważano go już dawno za zmarłego. Przyniesiono mu natychmiast gorącą herbatę. Odmówił szybko modlitwy, a potem zjadł kromkę białego chleba z miodem, kawałek karpia i krepłech, a także wypił kilka kieliszków nalewki. Potem zaprowadzono go do łaźni parowej. Dwóch szanowanych obywateli towarzyszyło mu na siódmą półkę i osobiście wysmagało go dwoma wiązkami nowych witek. Starzec aż płakał z zadowolenia.

Kilka razy w czasie Jom Kipur znalazł się na progu omdlenia, ale zachował post do samego końca. Następnego ranka chasydzi dali mu nowe ubranie i poprosili, aby oddał się studiowaniu *Tory*. Wszyscy mieli dużo pieniędzy, ponieważ handlowali z bośniackimi i węgierskimi żołnierzami i wysyłali mąkę do dawnej Galicji w zamian za szmuglowany tytoń. Utrzymanie reba Mosze Bera nie stanowiło więc dla nich żadnego uszczerbku. Chasydzi z Turzyska wiedzieli dobrze, kim był - chasydem, który siedział przy stole ni mniej, ni więcej, tylko z rebem Motele z Czarnobyła. W rzeczywistości był gościem w domu tego sławnego rabina!

Kilka tygodni później turzyscy chasydzi, kupcy drzewni, aby okryć niesławą swych zaprzysięgłych wrogów chasydów z Sącza, zebrali potrzebne drewno i zbudowali dom rebowi Mosze Berowi, a także ożenili go ze starą panną, głuchoniemą wiejską dziewczyną, mającą około czterdziestki.

Dokładnie dziewięć miesięcy później urodziła mu syna - teraz już miał kogoś, kto odmówi za niego kadisz. Tak jakby to był ślub, muzykanci grali na uroczystości obrzezania. Zamożne gospodynie napięły ciast i zajmowały się matką. Przyjęcie odbywało się w sali, gdzie zbierali się chasydzi z Turzyska; pomieszczenie to pachniało teraz cynamonem, szafranem i najlepszymi sukniami, noszonymi przez kobiety w szabat. Reb Mosze Ber miał na sobie nowy atlasowy chałat i wysoki welwetowy kapelusz. Tańczył na stole i po raz pierwszy podał swój wiek:

- Abraham miał sto lat - recytował - gdy mu się urodził syn jego, Izaak. Sara mówiła: Powód do śmiechu dał mi Bóg. Każdy kto się dowie, śmiać się będzie z mej przyczyny.

Dał chłopcu na imię Izaak.

Pożar

Chcę opowiedzieć Wam pewną historię. Na próżno jednak szukalibyście jej w książkach, ponieważ przytrafiła się mnie samemu. Przez te wszystkie lata zachowywałem ją w tajemnicy, ale teraz już wiem, że żywy nie opuszczę tego przytułku. Wyniosą mnie stąd prosto do kostnicy. Chcę zatem, aby poznano prawdę. Poprosiłem rabina i starszyznę miejską, aby przyszli do mnie, wysłuchali mnie i zapisali to, co mam im do powiedzenia, w pamiątkowej księdze gminy; dlaczegoż miałbym wprawiać tym w zakłopotanie dzieci mojego brata i wnuki? A oto moja historia.

Pochodzę z Janowa, koło Zamościa. Z oczywistych powodów miejscowość ta nazywana jest Królestwem Biedaków. Mój ojciec, Panie świeć nad jego duszą, miał siedmioro dzieci, z których pięcioro stracił. Były zdrowe i silne jak dęby i nagle padły jak ścięte toporem. Trzech chłopaków i dwie dziewczyny! Nikt nie wiedział, co im jest. Gorączka zabierała jedno po drugim. Kiedy Chaim Jonasz, najmłodszy, zmarł, moja matka - niech wstawi się za mną w niebie - zgasła jak świeca. Nie chorowała, przestała po prostu jeść i nie wychodziła z łóżka. Sąsiedzi wpadali i pytali: „Bejle Rywko, co ci dolega?”, a ona odpowiadała: „Nic, niedługo umrę”. Przyszedł doktor i puścił jej krew; stawiano jej również bańki, przykładano pijawki, odczyniano zły urok, myto uryną, ale nic nie pomagało. Wyszła tak, że zostały z niej same kości. Kiedy już zakończyła wyznanie grzechów, zawołała mnie do siebie i powiedziała: - Twój brat, Lippe, daleko zajdzie, ale martwię się o ciebie, Lejbusz.

Ojciec nigdy mnie nie lubił. Nie wiem dlaczego. Lippe, wyższy ode mnie, podobny był do rodziny matki. I chociaż nigdy się nie uczył, w szkole świetnie dawał sobie radę. Ja natomiast starałem się jak mogłem, ale i tak na niewiele się to zdało. To, co usłyszałem w szkole, wpadało mi jednym uchem, a wylatywało drugim. Pomimo to do dziś orientuję się w *Biblii*. Wkrótce też zabrano mnie z chederu.

Mój brat Lippe był, jak to się mówi, u ojca oczkiem w głowie. Kiedy mój brat coś nabroił, ojciec udawał, że tego nie widzi, ale nie daj Boże, abym to ja zrobił coś złego. Miał ciężką rękę i za każdym razem walił mnie tak mocno, że aż zmarła babka stawiała mi przed oczami. Od kiedy sięgam pamięcią tak było. Z byle powodu wyciągał na mnie pasa. Bił mnie wtedy na kwaśne jabłko. Ciągle słyszałem: „Nie idź tu, nie chodź tam”. W synagodze, na przykład, inni chłopcy psocili w czasie obrzędów, ale jeśli ja opuściłem w czasie modlitw chociażby jedno „Amen”, otrzymywałem zawsze swoją „nagrodę”. W domu robiłem wszystko. Mieliśmy ręczny młyn, a więc cały dzień męłem grykę; nosiłem również wodę i rąbałem drewno; rozpaląłem w piecu i sprzątałem w obejściu. Matka ochraniała mnie, kiedy jeszcze żyła, ale po jej śmierci byłem niczym pasierb. Nie myślcie sobie, że mnie to gryzło, ale cóż miałem robić? Mój brat Lippe pomiałał mną również - Lejbusz, zrób to, Lejbusz, zrób tamto. Lippe miał swoich kolegów, z którymi lubił pić, siedząc godzinami w gospodzie.

W naszym mieście była ładna dziewczyna, Hawele. Jej ojciec był właścicielem sklepu bławatnego. Miał zdecydowane poglądy i wiedział dokładnie, jakiego chce mieć zięcia. Ale mojemu bratu chodziło coś zupełnie innego po głowie. Zastawiał swoją pułapkę z rozmysłem. Opłacił swatów, aby nie przynosili jej żadnych propozycji małżeńskich. Rozpuścił pogłoskę, że ktoś z jej rodziny powiesił się. Pomogli mu w tym jego przyjaciele, za co dostali swoją porcję nalewki i makowca. Pieniądze nie stanowiły dla niego problemu. Otwierał po prostu szufladę ojca i brał, co chciał. W końcu ojciec Hawele musiał się poddać i wyraził zgodę na jej małżeństwo z Lippem.

Całe miasto święciło zaręczyny. Narzeczony zwykle nie daje posagu, ale Lippe przekonał ojca, aby mu dał dwieście guldenów. Otrzymał nowe ubranie godne dziedzica. W czasie wesela grały dwie kapele, jedna z Janowa, a druga z Biłgoraja. W taki oto sposób mój brat zaczął się piąć ku górze. Inaczej się miały sprawy z młodszym bratem; nie dostał nawet nowej pary spodni. Ojciec obiecał mi nowe ubranie, ale odkładał zamówienie go z dnia na dzień, a kiedy już kupił materiał, okazało się, że jest za późno, aby można było coś z niego uszyć. Poszedłem więc na ślub w starych łachach. Dziewczęta śmiały się ze mnie. Takie to miałem szczęście.

Myślałem, że podzielę los moich innych braci i sióstr. Ale widać nie przeznaczona mi była wówczas śmierć. Lippe się ożenił, i jak to się mówi, od razu na starcie uchwycił wiatr w żagle. Zaczął handlować ziarnem i wkrótce stał się wziętym kupcem. Koło Janowa był młyn wodny, należący do reba Izraela Dawida, syna Molki, wspaniałego człowieka. Izrael Dawid polubił mojego brata i sprzedał mu młyn po prostu za nic. Nie wiem, dlaczego to zrobił; niektórzy mówili, że chciał wyjechać do Ziemi Świętej, inni znowu, że miał krewnych na Węgrzech. Jakikolwiek był powód i tak wkrótce po sprzedaniu młyna umarł.

Hawele rodziła jedno dziecko za drugim, każde następne ładniejsze od poprzedniego. Były tak cudowne, że ludzie przychodzili tylko po to, aby je zobaczyć. Posag, który ojciec dał Lippemu, nadszarpnął jego własny interes i okazało się, że został bez grosza. Stracił interes, jak również siły, ale jeśli myślicie, że mój brat Lippe podał mu pomocną dłoń, to się grubo mylicie. Lippe udawał, że nic nie widzi i nie słyszy, a ojciec wyładowywał swą gorycz na mnie. Nie wiem, co miał przeciwko mnie, ale czasami ojciec nabiera takiej nienawiści do swojego dziecka. Cokolwiek bym powiedział, wszystko było źle i choćbym nie wiem jak się starał, zawsze było to za mało.

Następnie ojciec zachorował i widać było, że długo nie pociągnie. Mój brat Lippe zajęty był robieniem pieniędzy. Ja opiekowałem się ojcem. Podawałem mu basen; myłem go, kąpałem i czesałem. Nie mógł już nic trawić; wypluwał wszystko, co zjadł. Choroba zaatakowała mu nogi, tak że przestał chodzić. Musiałem mu wszystko przynosić. Za każdym razem, kiedy mnie zobaczył, spoglądał na mnie tak, jakbym był jakimś śmieciem. Czasami czułem się tak wykończony, że chciałem uciekać na koniec świata, ale jak można zostawić własnego ojca? Tak więc cierpiałem w milczeniu. Końcowe tygodnie stawały się piekłem: ojciec przeklinał i jęczał na przemian. Nigdy w życiu nie słyszałem tak okropnych przekleństw. Mój brat Lippe wpadał dwa razy w tygodniu i pytał z uśmiechem na ustach: „No i jak się czujesz, ojcze? Nic lepiej?” Kiedy ojciec go zobaczył, oczy od razu mu jaśniały. Przebaczyłem mu już i niech Bóg mu również przebaczy: bo czyż człowiek wie, co

czyni?

Umierał przez dwa tygodnie i trudno się zdobyć na opisanie jego agonii. Za każdym razem, gdy otworzył oczy i spojrzał na mnie, zaczynał płonąć gniewem. Po pogrzebie jego testament znaleziono pod poduszką; zostałem wydziedziczony. Wszystko otrzymał Lippe - dom, ręczny młyn, kredens, komodę i nawet naczynia. Całe miasto doznało szoku; taki testament, mówiono, nie jest prawomocny. Znaleziono również w *Talmudzie* precedens odnoszący się do podobnej sprawy. Zasugerowano, aby Lippe oddał mi dom, ale on usłyszawszy to zaśmiał się tylko. Natychmiast też go sprzedał, zabierając do siebie ręczny młyn i meble. Mnie pozostała tylko poduszka. Taka była szczerza i czysta prawda. Obym tylko mógł nie mniej czysty stanąć przed obliczem Boga!

Zacząłem pracować u stolarza i ledwo co wiązałem koniec z końcem. Spałem w szopie; Lippe zapomniał, że ma brata. Ale jak myślicie, kto odmawiał kadisz za ojca? Zawsze znalazł się jakiś powód, aby nie był to Lippe: mieszkałem w mieście, w młynie natomiast nie było dosyć mężczyzn, aby można było odprawić modły, a dla niego było za daleko, aby iść do synagogi w sobotę. Na początku szemrano na to, w jaki sposób mnie traktował, ale później zaczęto mówić, że widać musi mieć swoje powody. Jeśli jest się pod wozem, to inni lubią się znęcać nad tobą.

Byłem już niemłody i ciągle jeszcze nieżonaty. Zapuściłem brodę, ale nikt nie myślał o ożenku dla mnie. Jeśli już jakiś swat przyszedł, to proponował najgorsze wybiierki. Nie chcę taić, ale naprawdę się zakochałem. Dziewczyna była córką szewca. Ciągle ją obserwowałem wylewającą pomyje. Ale zaręczyła się z bednarzem. Któż chciałby sierotę? Nie byłem przecież głupi, bolało mnie to. Czasami nie mogłem spać w nocy. Przewracałem się wówczas na łóżku, jakbym miał gorączkę. Dlaczego? Cóż takiego zrobiłem mojemu ojcu? Postanowiłem, że przestanę odmawiać za niego kadisz, ale minął już prawie rok od jego śmierci. A poza tym, jak można się mścić na zmarłych?

A teraz pozwólcie, że opowiem Wam, co się stało.

Pewnej piątkowej nocy leżałem w swojej szopie na kupie wiórów. Ciężko wtedy pracowałem; w tamtych czasach zaczynało się o świcie, a od zapłaty odciągano sumę potrzebną na zakup świecy. Nie miałem nawet czasu, aby iść do mykwy. W piątek nie mieliśmy obiadu, tak aby zaostrić nam apetyt na szabasową kolację, ale wtedy żona stolarza podawała mi zawsze gorzej i mniej niż innym. Każdy dostawał ładny kawałek ryby, a ja znajdowałem na talerzu tylko ogon. Od razu zaczynałem się krztusić od nadmiaru ości. Moja zupa była wodnista, a kurze udka ledwo obciążone łykowatym mięsem stanowiły moje danie mięsne. Nie chodziło tylko o to, że nie można było tego przeżuć, ale co gorsze, jeśli połknąłeś taki kawałek, to, zgodnie z *Talmudem*, mogłeś osłabić swą pamięć. Nie mogłem nawet najeść się chałki do woli, nie mówiąc już o słodyczach, których nie miałem szansy posmakować. Tak więc chodziłem spać głodny.

Była zima i w szopie panował przejmujący chłód. Myszy robiły straszny harmider. Leżałem na kupie wiórów, przykryty szmatami. Płonałem wściekłym gniewem. Pragnąłem jedynie dostać mojego brata Lippe w swoje ręce. Przychodziła mi na myśl również Haweła; można było oczekiwać, że bratowa będzie miłsza od brata, ale ona miała tylko czas dla siebie i swoich słodkich maleństw. Ze sposobu, w jaki się ubierała, można było pomyśleć, że jest wielką panią. Te kilka razy, kiedy to

przyszła do synagogi na ślub, miała na głowie kapelusz z piórkiem. Gdziekolwiek bym się udał, wszędzie słyszałem opowieści czego to nie kupił Lippe, a czego to nie kupiła Haweła. Mogło się wydawać, że zależy im jedynie na tym, w co tu nowego się wystroić. Zafundowała sobie pelisę na skunksach, a potem futro z lisów. Paradowała sobie w falbankach, podczas gdy ja leżałem niczym bezdomny pies, a w brzuchu burczało mi z głodu. Przeklinałem ich oboje. Modliłem się, aby Bóg zesłał na nich plagi egipskie i wszystko, co tylko mi na myśl przyszło. Powoli zapadłem w sen.

Później jednak się obudziłem. Był środek nocy. Poczulem, że muszę wymierzyć zemstę. To było tak, jakby jakiś diabeł schwycił mnie za włosy i krzychał: „Lejbusz, nadszedł czas zemsty!” Wstałem. W ciemności znalazłem worek, który napełniłem wiórami. Takich rzeczy nie wolno robić w szabas, ale zapomniałem wtedy o mojej religii: z całą pewnością wstąpił we mnie dybuk. Ubrałem się po cichu, wziąłem worek z wiórami, dwa krzemienie i kawałek knota. Chciałem podpalić dom mojego brata, młyn, spichlerz, wszystko.

Na dworze było ciemno choć oko wykol, a mnie czekała długa droga. Ominąłem miasto i poszedłem na skróty przez podmokłe łąki i pola. Wiedziałem, że stracę wszystko na tym i w przyszłym świecie. Pomyślałem nawet o mojej matce, leżącej w grobie: co ona by na to powiedziała? Ale kiedy ogarnie cię szaleństwo, nie ma już odwrotu. Wówczas zaczynasz robić różne głupstwa, których potem się wstydzisz. Nie bałem się nawet, że wpadnę na kogoś znajomego. Nie byłem po prostu sobą.

Szedłem już dość długo. Wiał mroźny wiatr i dotkliwe zimno przejmowało mnie do szpiku kości. Idąc, co chwila zapadałem się w śnieg po kolana. Kiedy mijałem wioskę, nazywaną Sosny, zaatakowały mnie psy. Wiecie sami, jak to jest: kiedy jeden pies zacznie szczekać, inne zaraz dołączają się do niego. Cała sfora mnie dopadła i myślałem, że rozerwą mnie na kawałki. Tylko jakimś cudem nie pobudziło to chłopów, którzy niechybnie wzięliby mnie za koniokrada i załatwili od razu na miejscu. Byłem już skłonny zrezygnować ze wszystkiego. Chciałem rzucić worek i wrócić na swoje posłanie. Myślałem również, aby iść gdzie mnie oczy poniosą, ale mój dybuk nieustannie mi szeptał: „Teraz albo nigdy!” Posuwałem się więc z trudem dalej. Wióry nie są ciężkie, ale kiedy niesiesz pełny worek przez długi czas, zaczynasz odczuwać ciężar. Zacząłem się pocić, ale szedłem dalej, na nic nie zważając.

A teraz zwróćcie uwagę na ten zbieg okoliczności.

Gdy tak szedłem dalej, nagle zobaczyłem czerwoną lunę na niebie. Czyżby wstawał świt? Nie, to było niemożliwe. Była przecież wczesna zima i noce były długie. Zbliżałem się do młyna, więc przyspieszyłem kroku. Prawie biegłem. Mówiąc krótko, kiedy znalazłem się przy młynie, stał już w płomieniach. Czy możecie to sobie wyobrazić? Przyszedłem tu po to, aby go podpalić, a on już płonął. Stałem jak sparaliżowany. W głowie mi się kręciło. Wydawało mi się, że tracę rozum. Może rzeczywiście tak było, bo już za chwilę rzuciłem worek z wiórami i zacząłem krzycheć o pomoc. Już miałem wpaść do młyna, kiedy przypomniałem sobie o Lippem i jego rodzinie i czym prędzej pobiegłem w kierunku ich domu. Pożar szalał już tam na dobre. Wydawało się, że wszyscy zostali uwięzieni w dymie. Paliły się stropy. Zrobiło się tak jasno jak w czasie Simchat Tora. W środku było

gorąco jak w piecu, ale zdołałem wpaść do sypialni, wybiłem okno, schwyciłem mojego brata i wyrzuciłem na śnieg. Zrobiłem to samo z jego żoną i dziećmi. Prawie zadusiłem się na śmierć, ale uratowałem ich wszystkich. Zaraz po tym zawalił się dach. Moje krzyki obudziły chłopów, którzy nadbiegli tłumnie. Ocucili mojego brata i całą rodzinę. Po domu został jedynie komin i kupa popiołu, ale chłopom udało się ugasić pożar we młynie. Zauważyłem worek z wiórami i wrzuciłem go w ogień. Mój brat z rodziną znaleźli schronienie u sąsiadów. Do tego czasu wstał już dzień.

Pierwszym pytaniem mojego brata było: - Jak to się stało? Skąd tu się wziąłeś?

Bratowa rzuciła się na mnie, chcąc mi wydrapać oczy: - To on to zrobił! On podłożył ogień!

Chłopi pytali mnie z podejrzliwością: - Po kiego czorta tu przylazłeś?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zaczęli mnie więc okładać. Stłukliby mnie na miazgę, ale mój brat podniósł rękę i powiedział:

- Dostyc, sąsiedzi. Istnieje jeszcze Bóg i on go pokarze. - Mówiąc to, napluł mi w twarz.

Jakoś udało mi się dotrzeć do domu. Nie mogłem iść, ciągnąłem tylko nogi za sobą. Jak zranione zwierzę wlokłem się prawie na czworakach. Kilka razy zatrzymywałem się, aby przemyć rany śniegiem. Ale prawdziwe kłopoty zaczęły się, kiedy dotarłem do domu. Wszyscy pytali: „Gdzie byłeś? Skąd wiedziałeś, że dom twojego brata się pali?” Później dowiedzieli się, że jestem podejrzany. Człowiek, dla którego pracowałem, przyszedł do mojej szopy i narobił wrzasku, kiedy odkrył, że brakowało jednego worka. Cały Janów zaczął mówić, że to ja podpaliłem dom mojego brata i to na dodatek w szabas.

Byłem w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Groziło mi więzienie lub postawienie pod pręgierzem na dziedzińcu synagogi. Nie chciałem czekać i czmychnąłem. Jeden z furmanów zlitował się nade mną i zawiózł mnie do Zamościa w tamten sobotni wieczór. Nie zabierał nikogo, tylko ładunek, tak że wcisnął mnie między beczki. Kiedy historia o pożarze dotarła do Zamościa, wyjechałem do Lublina. Tam zostałem stolarzem i ożeniłem się. Żona nie dała mi dzieci. Pracowałem ciężko, ale nie miałem szczęścia. Mój brat Lippe stał się milionerem - należało do niego już pół Janowa - ale nigdy nie napisał do mnie nawet kilku słów. Małżeństwa jego dzieci powiązały go z rodzinami rabinów i bogatych kupców. Nie ma go już wśród żywych - umarł przygnieciony ciężarem bogactwa i zaszczytów.

Aż do dziś nikomu nie opowiedziałem tej historii. Któżby zresztą w to uwierzył? Utrzymywałem nawet w tajemnicy fakt, że pochodzę z Janowa. Zawsze mówiłem, że pochodzę ze Szczepieszyna. Lecz teraz, gdy leżę na łożu śmierci, dlaczego miałbym kłamać? To, co Wam opowiedziałem, jest prawdą, całą prawdą i tylko prawdą. Jest tylko jedna rzecz, której nie rozumiem i chyba nie zrozumieć aż do chwili, gdy dostąpię Bożej łaski: dlaczego pożar w domu mego brata wybuchł właśnie tamtej nocy? Nie tak dawno przyszło mi na myśl, że to właśnie mój gniew wzniecił ten pożar. Co o tym myślicie?

- Gniew nie może podpalić domu.

- Tak, wiem... ale jest takie wyrażenie jak „płonąć gniewem”.

- Och, to się tylko tak mówi.

No cóż, kiedy zobaczyłem ten pożar, zapomniałem o wszystkim i rzuciłem się, aby ich ratować. Gdyby nie ja, pozostałby po nich tylko popiół. Teraz, kiedy stoję już nad grobem, chcę, aby poznano prawdę.

Niewidzialni

I

Natan i Temerł

Mówią, że ja, Szatan, po zstąpieniu na ziemię w celu sprowadzenia ludzi na drogę grzechu, wstąpię następnie do nieba, aby ich oskarżać. Ścisłe rzecz biorąc, to właśnie ja stwarzam grzesznikowi pierwszą okazję, ale robię to tak sprytnie, że grzech wydaje się przejawem cnoty; tak więc inni niedowiarkowie, nie będąc w stanie wyciągnąć z tego żadnej nauki, ciągle wpadają w przepaść.

Ale pozwólcie, że opowiem wam pewną historię. W miasteczku Frampol żył kiedyś pewien człowiek, który był znany ze swego bogactwa i luksusu, jakim się otaczał. Nazywał się Natan Józefower, ponieważ urodził się w Małym Józefowie. Ożenił się z dziewczyną z Frampola i tam się osiedlił. Reb Natan, w czasie gdy działa się ta historia, miał sześćdziesiąt lat lub być może trochę więcej. Niewysokiego wzrostu, masywnie zbudowany, miał jak większość bogatych ludzi wydatny brzuch. Pośród rzadkich kępek krótkiej czarnej brody można było dojrzeć policzki o barwie czerwonego wina. Nad małymi roziskrzonymi oczkami rozrastały się bujne krzaczaste brwi. Całe swoje życie jadł tylko i pił oraz się bawił. Na śniadanie żona podawała mu kurczaka na zimno i chleb z rodzynkami, które, niczym wielki pan, zapijał kielichem dobrego pitnego miodu. Szczególnie lubił takie przysmaki jak pieczone gołąbki, szyjki nadziewane mieloną ikrą i mleczem, naleśniki z wątróbką, rosół z makaronem, itd. W mieście szeptano po kątach, że jego żona, Rojze Temerł, przygotowywała dla niego każdego dnia zapiekankę z klusek i, jeśli tylko tego zażądał, kolację szabasową w środku tygodnia. Ona zresztą również lubiła pofolgować swoim zachciankom.

Mając mnóstwo pieniędzy i żadnych dzieci mąż i żona z pewnością uważali, że nie ma nic niestosownego w rozkoszowaniu się dobrym jedzeniem. Dlatego też obydwójce szybko się rozleniwili i przybrali bardzo na wadze. Po obiedzie zwykle zamykali okiennice w sypialni i zapadali w głęboki sen w swych piernatach, tak jakby to była głęboka noc. W czasie zaś nocy zimowych, długich niczym niewola żydowska, wstawali z łóżka, aby raczyć się kurzymi żołądkami, wątróbką i konfiturami, które popijali czerwonym barszczem i sokiem jabłkowym. A potem wracali do swych przykrytych baldachimami łóżek, aby znowu pomarzyć o porannej owsiance.

Reb Natan poświęcał mało czasu swemu zbożowemu interesowi, który jakoś kręcił się sam. Z tyłu za domem, który odziedziczył po swym teściu, stał duży spichlerz z dwójgiem dębowych drzwi. Na dziedzińcu znajdowały się również inne budynki, w tym stodoły i szopy. Wielu starych chłopów z okolicznych wsi sprzedawało ziarno i len jedynie Natanowi, ponieważ wierzyli w jego uczciwość, chociaż inni mogliby zaoferować im więcej. Nigdy nie odesłał nikogo z pustymi rękami, a czasem

nawet dawał zadatek pod zbiory w następnym roku. Chłopi zaś z wdzięczności przynosili mu drewno z lasu, a ich żony zbierały dla niego grzyby i jagody. Stara służąca, owdowiała w młodości, zajmowała się domem, a nawet pomagała Natanowi w prowadzeniu interesu. Przez cały tydzień, z wyjątkiem dnia targowego, Natan nie potrzebował więc nawet ruszać palcem.

Lubił się stroić i opowiadać niestworzone historie. W lecie zwykł ucinąć sobie drzemkę na łóżku ustawionym wśród drzew w sadzie lub też czytać *Biblię* w jidysz albo jakąś książkę z ciekawymi historiami. Natomiast w szabat lubił słuchać kazań magida i od czasu do czasu zaprosić sobie do domu jakiegoś biedaka. Wiele rzeczy sprawiało mu przyjemność: na przykład ubóstwiać, jak jego żona, Rojze Temerł, łaskotała go w stopy, a robiła to, kiedy tylko sobie tego życzył. Plotkowano, że kąpie się razem ze swoją żoną we własnej łaźni, która znajdowała się na jego dziedzińcu. W jedwabnym szlafroku, haftowanym w kwiaty i liście, oraz pantoflach z pomponami wychodził popołudniami na ganek i palił fajkę z bursztynową główką. Przechodnie pozdrawiali go, a on im przyjacielsko się odklaniał. Czasami zdarzało się, że zatrzymał jakąś przechodzącą dziewczynę, zapytał o to i o tamto, a potem obróciwszy wszystko w żart puszczał ją wolno. W sobotę po przeczytaniu rozdziału *Miszny* siadywał razem z kobietami na ławce, gryzł wtedy orzechy i pestki bani, słuchał plotek i opowiadał o swoich spotkaniach z dziedzicami, księżmi i rabinami. W młodości dużo podróżował. Odwiedził Kraków, był też w Brodach i Gdańsku.

Rojze Temerł była prawie lustrzanym odbiciem swego męża. Jak mówi porzekadło: kto z kim przestaje, takim się staje. Nieduża i pulchna, o pełnych, zaróżowionych, jak na swój wiek, policzkach, nigdy nie zamykała swych małych ust. Liznąwszy trochę hebrajskiego jakoś przedzierała się przez modlitewniki, co pozwoliło jej na objęcie wiodącej roli w babińcu w domu modlitwy. Często również prowadziła narzeczoną do synagogi, przewodziła w czasie obrzezania i od czasu do czasu zbierała pieniądze na wyprawę ślubną dla jakiejś biednej dziewczyny. I chociaż była kobietą bogatą, potrafiła chorym stawiać bańki i wyciąć z maestrią kurzy pypeć. Do jej licznych uzdolnień należało również haftowanie i robienie na drutach. Posiadała duże ilości biżuterii, sukien, płaszczy i futer. Z obawy przed molami i złodziejami trzymała to wszystko w dębowych kufrach.

Z uwagi na jej ujmujący sposób bycia wszędzie ją mile przyjmowano, czy to u rzeźnika, czy w mykwie, czy też gdzie indziej. Jej jedynym zmartwieniem było to, że nie miała dzieci. Chcąc sobie jakoś to powetować, wspierała datkami biednych oraz opłacała pewnego świątobliwego i uczonego człowieka, aby modlił się w jej intencji, gdy umrze. Wielką przyjemność sprawiało jej odkładanie pieniędzy na czarną godzinę, co robiła zresztą od lat. Trzymała ten swój skarb ukryty gdzieś głęboko w torbie i lubiła od czasu do czasu przeliczać zebrane tam złote monety. Jednakże z uwagi na to, że Natan dawał jej wszystko, co tylko chciała, nie miała w ogóle pojęcia, jak należy wydawać pieniądze. I chociaż wiedziała, że posiada skarb, to jednak udawała, że nie jest niczego świadoma, a stwierdziwszy, że „owoc zakazany ma słodki smak”, nie chciała się pozbawiać tej niewinnej rozrywki.

II

Szifra Cyrł służąca

Pewnego dnia ich stara służąca zachorowała i wkrótce zmarła. Natan i jego żona pogrążeni byli w głębokim smutku nie tylko dlatego, że się do niej przyzwyczaili i traktowali ją jak bliską krewną, ale również dlatego, że była uczciwa, zaradna i lojalna, i że trudno byłoby ją kimś zastąpić. Natan i Rojze Temerł płakali nad jej grobem, a Natan odmówił nawet pierwszy kadisz. Obiecał również, że po upływie trzydziestu dni żałoby pojedzie do Janowa i zamówi dla niej nagrobek, na który zasługiwała. Należy przy tym powiedzieć, że śmierć służącej wcale go nie zrujnowała. Nie wydając prawie nic ze swoich zarobków, a także nie mając żadnej rodziny, zmarła pozostawiła wszystko swoim chlebodawcom.

Zaraz po pogrzebie Rojze Temerł zaczęła się rozglądać za jakąś nową służącą, ale żadna z potencjalnych kandydatek nie dorastała nawet do pięt zmarłej. Dziewczęta z Frampola były nie tylko leniwe, ale nie potrafiły gotować ani piec tak, aby ją usatysfakcjonować. Proponowano jej różne wdowy, rozwódki i porzucone żony, ale żadna z nich nie posiadała odpowiednich dla Rojzy Temerł kwalifikacji. Każdą kandydatkę, która zjawiała się u niej w domu, szczegółowo wypytywała, czy potrafi przyrządzić rybę, zakwasić barszcz, upiec ciasto, strudel czy ciasteczka itd.; co robi, kiedy mleko i barszcz skwaśnieją, gdy kureczak jest za twardy, rosół za tłusty, szabasowy czulent przypalony, a owsianka za gęsta lub za rzadka, oraz zadawała wiele innych podchwytliwych pytań. Każda z dziewczyn otwierała na to tylko szeroko oczy ze zdziwienia i zapominała języka w gębie, a następnie speszona wychodziła. Minęło tak kilka tygodni a rozpieszczona Rojze Temerł zmuszona teraz do zajęcia się domem, jasno zrozumiała, że łatwiej jest zjeść posiłek niż go przygotować.

No cóż, ja, Kusiciel, nie mogłem tak stać na uboczu i obserwować, jak Natan i jego żona przymierają głodem. Posłałem im więc służącą, cud nad cuda.

Urodzona w Zamościu, pracowała dla bogatych rodzin w Lublinie. Chociaż na początku nie chciała za nic się zgodzić - nawet gdyby dano jej tyle złota ile waży - aby wyjechać do takiej dziury jak Frampol, to po interwencji różnych ludzi oraz po tym jak Rojze Temerł zgodziła się zapłacić o kilka guldenów ponad to, co płaciła poprzednio, Szifra Cyrł, bo tak nazywała się ta dziewczyna, zdecydowała się na podjęcie pracy.

Z Zamościa przyjechała powozem, który trzeba było po nią posłać, z wielką ilością bagażu, na który składały się różne walizki, koszyki i torby. Widząc to wszystko ktoś mógłby pomyśleć, że przyjechała jakaś bogata panna na wydaniu. I chociaż miała dobrze po dwudziestce, to wyglądała na osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Włosy miała zaplecione w dwa warkoczki, które były zakręcone w dwa koła upięte po bokach głowy. Miała na sobie kretonową sukienkę, na ramionach szal z wzorem w kratkę i z frędzlami, a na nogach pantofle na wąskim obcasie. Miała ostro zarysowany podbródek, maleńkie usta i przenikliwe, suchawale oczy. W uszach nosiła kolczyki, a

szyję oplatał jej sznur koralii. Tuż po przybyciu do Frampola zaczęła wybrzydzać na błoto w miasteczku, gliniasty smak wody ze studni i zakalcowaty chleb domowego wypieku. Gdy pierwszego dnia pobytu Rojze Temerł poczęstowała ją ugotowaną przez siebie zupą, ta, skosztowawszy troszkę, wykrzywiła jedynie twarz i z obrzydzeniem stwierdziła: - Ależ to skwaśniałe i zjęłczałe świństwo!

Zażądała do pomocy jakiejś dziewczyny, Żydówki lub chrześcijanki, i Rojze Temerł po usilnym poszukiwaniu znalazła chrześcijankę, krzepką córkę łąziebnego. Szifra Cyrł zaczęła rządzić. Kazała dziewczynie wyszorować podłogi, wyczyścić piec i poobmiatać wszystkie kąty z pajęczyny, a Rojzie Temerł poradziła pozbyć się wszystkich niepotrzebnych mebli, a więc rozklekotanych krzeseł, stołków, stolików i spróchniałych skrzyń. Okna zostały wymyte, brudne firanki zmienione i od razu pokoje zrobiły się jakieś większe i jaśniejsze. Pierwszy posiłek przygotowany przez nią sprawił Natana i Rojżę Temerł w zadziwienie. Nawet sam cesarz nie pragnąłby mieć lepszego kucharza. Na przystawkę, przed rosołem, podała gotowane i podsmażane wątróbki cielęce i płucka, których ostry aromat przyjemnie łechtał im nozdrza. Sama zaś zupa pełna była różnych przypraw, nie do dostania we Frampolu, takich jak papryka i kapary, które to nowa służąca z całą pewnością przywozła z Zamościa. Na deser był kugel z rodzynek i moreli oraz przecieru jabłkowego z dodatkiem cynamonu, szafranu i goździków, których zapach unosił się w całym domu. A potem, jak w bogatych domach w Lublinie, podała czarną kawę z cykorią. Po obiedzie Natan z żoną chcieli, jak zwykle, udać się na drzemkę, ale Szifra Cyrł ostrzegła ich, że to niezdrowo iść spać od razu po jedzeniu, ponieważ szkodliwe wyziewy z żołądka przechodzą do mózgu. Poradziła zatem swoim chlebodawcom, aby przeszli się trochę po ogrodzie. Natanowi brzuch pękał od dobrego jedzenia, a czarna kawa uderzyła mu do głowy. Chwiał się więc na nogach i ciągle powtarzał: - No i widzisz, moja droga żono, czyż to nie skarb z tej służącej?

- Mam nadzieję, że nikt nam jej nie zabierze - powiedziała na to Rojze Temerł. Wiedząc jak zazdrośni są ludzie, bała się jakiegoś złego uroku, czy też tych, którzy mogliby zaproponować dziewczynie lepsze warunki.

Nie ma sensu rozwodzić się na temat wspaniałych dań, które przygotowywała Szifra Cyrł, tych wszystkich babek i ciasteczek, które piekła i tych przystawek, które przyrządzała. Sąsiedzi nie mogli rozpoznać ani mieszkania Natana, ani jego dziedzińca. Szifra Cyrł pobieliała ściany, doprowadziła do porządku komórki i ustępy i wynajęła robotnika, aby oczyścił ogród z chwastów, naprawił płot i poręcze na ganku. Doglądała wszystkiego, tak jakby była panią domu, a nie zwykłą służącą. Kiedy w sobotę, gdy czulent był już wcześniej przygotowany, Szifra Cyrł wychodziła na spacer, wodzili za nią wzrokiem nie tylko prości robotnicy i biedne dziewczyny, ale także chłopcy i dziewczęta z dobrych rodzin. Szła z podniesioną głową, z wdziękiem unosząc bok spódnicy do góry. Jej pomocnica, córka łąziebnego, szła za nią i niosła torbę pełną owoców i pieczywa, ponieważ, jak wiadomo, Żydzi nie mogą nosić paczek w szabat. Kobiety, siedzące na ławeczkach przed swoimi domami kiwały tylko głowami. „Jest tak dumna jak żona dziedzica” - mówiły i nie wróżyły jej długiego pobytu we Frampolu.

III

Pokusa

Pewnego wtorku, kiedy Rojze Temerł pojechała do Janowa odwiedzić swą chorą siostrę, Natan poprosił pomocnicę Szifry Cyrł, aby przygotowała mu kąpiel parową. Od rana czuł się cały obolały i łamało go w kościach, tak więc jedynym lekarstwem było pójść do łaźni i wypocić się ile dało. Dziewczyna włożyła do otoczonego ceglami pieca sporo polan, podpaliła ogień, naląła wody do kadzi i wróciła do kuchni.

Kiedy ogień już się wypalił, Natan rozebrał się i wylał kubel wody na rozgrzane do czerwoności cegły. Para wypełniła całą łaźnię. Natan wdrapał się po stopniach na najwyższą półkę, gdzie para była gęsta i gorąca i zaczął smagać się wiązka witek, którą zawczasu sobie przygotował. Zwykle Rojze Temerł asystowała mu przy tym. Kiedy on siedział i pocił się, ona lała kubelki zimnej wody, a potem zamieniali się rolami. Kiedy już wysmagali się witekami, Rojze Temerł zwykle myła go w drewnianym cebrzyku i czesała. Ale tym razem Rojze Temerł musiała jechać do Janowa, aby odwiedzić chorą siostrę i Natan uważał, że nie byłoby rozsądnie czekać na jej powrót, ponieważ jego szwagierka była bardzo stara i mogła w każdej chwili umrzeć, a wtedy Rojze Temerł musiałaby tam zostać siedem dni. Nigdy przedtem Natan nie szedł sam do kąpieli. Para wkrótce, jak zwykle, opadła. Natan chciał zejść na dół i polać więcej wody na cegły, ale nogi mu ciążyły i ogarnęło go lenistwo. Leżał na plecach z brzuchem sterczącym do góry. Na przemian smagał się witekami i tarł kolana oraz kostki. Gapił się przy tym na wygiętą krokiew zasmołowanego sufitu. Przez istniejącą tam szparę można było dojrzeć kawałek jasnego nieba. Był właśnie elul i Natana ogarnęła melancholia. Pamiętał przecież swą szwagierkę, kiedy była jeszcze młodą kobietą, pełną życia, a teraz leży już na łożu śmierci. On też nie będzie wiecznie jadał marcepanu i sypiał w puchu; przyszło mu nagle do głowy, że pewnego dnia położą go w ciemnym grobie, oczy pokryją łuski, a robaki będą toczyły ciało, które Rojze Temerł pieściła i karmiła przez prawie pięćdziesiąt lat, gdy była jego żoną.

Gdy tak leżał z brzuchem do góry, penetrując zakamarki swej duszy, usłyszał nagle szcęk łańcucha i skrzypienie drzwi. Rozejrzał się więc po łaźni i ku swojemu zdumieniu stwierdził, że do środka weszła Szifra Cyrł. Była na bosaka, z głową owiniętą białą chustką i miała na sobie jedynie halkę. Krztuszącym się głosem krzyknął: „Nie!” i pospiesznie przykrył swoje ciało. Zdenerwowany, kiwając z przerażenia głową, dawał jej znaki, aby wyszła, ale Szifra Cyrł nie zrażona tym powiedziała:

- Proszę się nie bać, panie, przecież nie gryzę.

I wylała kubel wody na gorące cegły. Syk parującej wody rozniósł się po całej łaźni, a białe kłęby pary szybko uniosły się do góry parząc dotkliwie Natana. Wtedy Szifra Cyrł weszła po

stopniach do miejsca, gdzie leżał Natan, schwyciła wiązkę witek i zaczęła go smagać. Wprawilo go to w takie osłupienie, że natychmiast zaniemówił. Nie mogąc złapać tchu, o mało co nie ześliznął się z półki. Tymczasem Szifra Cyrł dalej umiejętnie go smagała i namydlała kawałkiem mydła, które ze sobą przyniosła. W końcu odzyskał zimną krew i chrapliwym głosem wydusił z siebie: - Co ci przyszło do głowy? Czy ci nie wstyd?

- A czegoż tu się wstydzić? - beztrąsko stwierdziła dziewczyna. - Nie zrobię przecież krzywdy swemu panu...

Czesała go i masowała przez dłuższy czas. Namydlała go również mydłem i splukiwała wodą i Natan musiał przyznać, że ta mała diablica była o wiele sprawniejsza od Rojzy Temerł. Miała również delikatniejsze ręce; drażniły jego ciało i wzbudzały w nim pożądanie. Wkrótce zapomniał, że był to przecież elul, tuż przed Straszными Dniami, i kazał służącej zamknąć drewnianą zasuwę u drzwi. A potem trzęsącym się głosem uczynił jej propozycję.

- Nigdy, wujku! - rzekła rezolutnie i wylała na niego kubek wody.

- Dlaczego nie? - spytał, ociekając całą wodą.

- Ponieważ należę do mego męża.

- Jakiego męża?

- Tego, którego będę kiedyś miała, jeśli Bóg pozwoli.

- Daj spokój, Szifra - rzekł. - Dam ci coś, sznur koralu lub broszkę.

- Tracisz tylko niepotrzebnie czas - stwierdziła.

- Daj choć całusa! - błagał.

- Za całusa będziesz musiał dać dwadzieścia pięć monet - rzekła Szifra Cyrł.

- W groszach, czy po trzy grosze? - spytał niczym dobry rachmistrz, a Szifra Cyrł odpowiedziała na to tylko:

- W guldenach.

Natan zastanowił się przez chwilę. Dwadzieścia pięć guldenów to nie była jakaś błahostka. Ale ja, Stary Przechera, przypomniałem mu, że nie żyje się wiecznie i że nic strasznego się nie stanie, jeśli zostawi po sobie kilka guldenów mniej. Wyraził więc bez sprzeciwu zgodę.

Szifra Cyrł pochyliła się nad nim, oplotła mu szyję ramionami i pocałowała go w usta. Całując ugryzła go lekko, tak że przez chwilę nie mógł złapać tchu. Wezbrała w nim chuć. Nie był w stanie zejść na dół, ponieważ trzęsły mu się ręce i nogi, tak że Szifra Cyrł musiała mu w tym pomóc, a nawet zarzuciła mu na plecy szlafrok. - A więc takie z ciebie ziółko... - zamruczał pod nosem.

- Proszę mi nie ubliżać, rebie Natanie - upomniała go. - Jestem czysta jak lilia.

Tak, czysta jak świński ogon, pomyślał Natan. Otworzył drzwi, aby ją wypuścić. Sam zaś z niepokojem rozejrzał się dookoła i gdy się już upewnił, że nikt go nie widzi, wyszedł również.

- Trudno sobie wyobrazić, że coś takiego mogło się wydarzyć - mrucał do siebie. - Co za bezczelność!

Prawdziwa dziwka! I postanowił sobie, że nigdy już nie będzie miał z nią nic wspólnego.

IV

Niespokojne noce

I chociaż Natan zaszył się w nocy w swoje puchy i jedwabie, a głowę ułożył na trzech poduszkach, to jednak moja żona Lilit i jej przyjaciółki nie pozwoliły mu spać. Chociaż ogarniała go senność, nie był w stanie w ogóle zasnąć. Gdy zaś starał się na siłę zamknąć oczy, od razu zaczynały go męczyć jakieś majaki. Musiało to być coś strasznego, bo aż usiadł na łóżku. Ktoś niewidzialny zaszeptał mu coś do ucha. Wydało mu się przez moment, że czuje pragnienie. Potem znowu głowa zaczęła mu pękać. Zsunął się więc z łóżka, włożył pantofle, narzucił na siebie szlafrok i poszedł do kuchni po kubek wody. Gdy pochylał się nad beczką z wodą, pośliznął się i o mało co nie upadł. Nagle sobie uświadomił, że pożąda Szifry Cyrł, niczym młodzieniec. „Co się ze mną dzieje? - mrucał do siebie. - To z pewnością tylko jakaś diabelska sztuczka”. Zaczął iść w kierunku swego pokoju, ale nagle stwierdził, że znajduje się koło małego pokoiku służącej. Zatrzymał się pod drzwiami i zaczął nasłuchiwać. Zza pieca dochodził jakiś szelest, a w suchym drewnie słychać było trzaski. Latarnia na zewnątrz rzucała blade światło; słychać było jak ktoś wzdycha. Natan przypomniał sobie, że był to przecież elul, kiedy to bogobojni Żydzi wstawali o świcie na modlitwę Selichot. I kiedy już chciał odejść, służąca otworzyła drzwi i spytała z niepokojem w głosie: - Kto tam?

- To ja - wyszeptał Natan.

- Czego pragnie mój pan?

- Czy nie wiesz?

Jęknęła tylko i zamilkła na moment, jakby chciała się zastanowić, co robić dalej. Potem rzekła: - Idź do łóżka, panie. Nie ma o czym rozmawiać.

- Ale ja nie mogę spać - zaczął narzekać Natan tonem, którego czasami używał, gdy mówił z Rojzą Temerł. - Proszę, nie odsyłaj mnie!

- Odejdź, panie - powiedziała Szifra Cyrł gniewnym głosem - lub będę krzyczeć!

- Bądź cicho, nie będę cię do niczego zmuszał, Boże uchowaj. Podobasz mi się. Kocham cię.

- Jeśli mój pan mnie kocha, to niech się ze mną ożeni.

- Ależ jak? Mam przecież żonę! - odrzekł Natan zdziwiony.

- No i cóż z tego? A jak myślisz, po co są rozwody? - stwierdziła z determinacją w głosie i spojrzała wyzywająco na Natana.

To nie kobieta, pomyślał Natan, ale prawdziwy demon.

Przerażony nią samą i tym, co powiedziała, Natan pozostał tam gdzie stał, oparty o framugę drzwi, ociężały i zaskoczony. Anioł, który ma największą moc w miesiącu elul, przypomniał mu Siłę Cnoty, którą kiedyś czytał w jidysz - zbiór opowiadań o bogobojnych mężach uwodzonych przez

żony dziedziców, diablice, dziwki, którzy jednak oparli się pokusie. Odeśle ją od zaraz, już jutro, jeśli nawet miałbym płacić jej przez cały rok, zdecydował w duchu Natan. Ale głośno powiedział: - Co ci przyszło do głowy? Żyłem z moją żoną blisko pięćdziesiąt lat! Dlaczegoż miałbym teraz nagle się z nią rozwodzić?

- Pięćdziesiąt lat to wystarczy - odrzekła bezczelnie służąca.

Jej zuchwałość, zamiast go odstręczyć, jeszcze bardziej go podniecała. Podeszedł do jej łóżka i usiadł na jego skraju. Biło od niej jakieś bezwstydną, pełne żądzę ciepło. Owładnięty przemożnym pożądaniem rzekł do niej: - Jak mogę się z nią rozwieść? Ona się przecież na to nie zgodzi.

- Możesz to zrobić bez jej zgody - odpowiedziała służąca, bez wątpienia znając się na rzeczy.

Żadne umizgi i obietnice z jego strony nie potrafiły skruszyć jej oporu. Pozostawała głucha na wszystkie argumenty Natana. Wstawał już dzień, gdy znalazł się w swoim łóżku. Na ścianach jego sypialni zaczynała się malować szarość brzasku. Niczym węgle żarzące się na kupie popiołu, na wschodzie wstawało słońce, które rozjaśniało niebo szkarłatnym blaskiem, przypominającym ogień piekielny. Na parapecie usiadła wrona z wielkim, czarnym zakrzywionym dziobem i zaczęła krakać, jakby chciała przekazać jakieś złe wieści. Ciarki przeszły Natanowi po kościach. Poczłł, że nie jest już panem samego siebie, że Szatan schwycił mocno za wodze i prowadzi go po drodze grzechu, pełnej niebezpieczeństw i zasadzek.

Od tego czasu Natan nie zaznał już ani chwili spokoju. W czasie, gdy jego żona obchodziła w Janowie żałobę po swojej siostrze, jego każdej nocy trawiło pożądanie. Biegł wtedy do Szifry Cyrł, ale ona za każdym razem odtręcała go.

Żebrał i prosił, obiecywał kosztowne prezenty, okazałe wiano, zapis w testamencie, ale na nic mu się to nie zdało. Przysięgał sobie, że już do niej nie przyjdzie, ale za każdym razem łamał swoje przyrzeczenia. Niczym zakochany młodzik mówił tak, jakby mu rozum odebrało. Każdego szanującego się człowieka okryłoby to hańbą. Kiedy budził ją w środku nocy, nie tylko go wypędzala, ale również wymyślała mu od najgorszych. Gdy po ciemku biegł do jej pokoju, obijał się po drodze o drzwi, kredensy i piece, tak że całe jego ciało pokryte było siniakami. Raz wyrzucił miskę z pomyjami, innym zaś razem stłukł wszystkie szklane przedmioty, na które natknął się po drodze do pokoju służącej. Próbował odmówić na głos jeden z rozdziałów *Księgi Psalmów*, który znał na pamięć, i błagał Boga, aby Ten pomógł mu się wyplątać z sieci, którą ja zarzuciłem, ale jego usta zniekształcały święte słowa, a nieczyste myśli zaćmiły jasność jego umysłu. W jego sypialni ciągle roznosiło się brzęczenie i bzyczenie much, świetlików, ciem i komarów, które to ja, Szatan, tam napędziłem. Natan nie mógł zmrużyć oka, leżał z otwartymi oczami i ciągle nasłuchiwał każdego szmeru. Koguty piał, żaby skrzeczały w bagnach, świerszcze cykały, błyskawice rozwidniały niebo dziwnym blaskiem. A mały diablik ciągle mu przypominał: „Nie bądź głupcem, rebie Natanie, ona na ciebie czeka, chce tylko się przekonać, czy naprawdę jesteś mężczyzną, czy tylko mięczakiem”. I diablik ciągnął szeptem dalej: „Elul czy nie elul, kobieta i tak jest kobietą i jeśli nie zabawisz się z nią na tym świecie, to w przyszłym będzie już za późno”. Wołał więc Szifrę Cyrł i czekał, aż mu odpowie. Wydawało mu się, że już słyszy tupot jej bosych stóp, i że widzi już w

ciemności biel jej ciała lub skraj jej halki. W końcu pełen podniecenia, cały się trzęsąc, wstawał z łóżka i szedł do jej pokoju. Ale ona pozostawała nieugięta.

- Albo ja, albo pani - mówiła z determinacją. - Odejdź, panie!

A potem łapała miotłę z kupy śmieci i zdzierała go po plecach. I tak reb Natan Józefower, najbogatszy człowiek we Frampolu, szanowany przez młodych i starych, wracał upokorzony i wychłostany do swego łóżka z baldachimem, aby przewracać się z boku na bok, jak w malignie, aż do świtu.

V

Leśna droga

Kiedy Rojze Temerł powróciła z Janowa i zobaczyła swego męża, ogarnęło ją śmiertelne przerażenie. Jego twarz nabrała popielatej barwy; pojawiły się worki pod oczami; jego dotąd czarną brodę oprószyła siwizna; brzuch mu sflaczał i zwisał jak worek. Niczym ktoś dotknięty śmiertelną chorobą, ledwo powłóczył nogami.

- Och, biada mi, nawet lepsze niż ten okazy kładą do grobu! - wykrzyknęła.

Zaczęła mu zadawać pytania, ale ponieważ nie mógł powiedzieć jej prawdy, zaczął opowiadać, że cierpi na bóle głowy, zgagę, kłucie w boku i podobne choroby. I chociaż Rojze Temerł z niecierpliwością czekała na spotkanie z mężem i miała nadzieję się nim nacieszyć, jednak szybko zamówiła powóz i konie i kazała mu jechać do doktora do Lublina. Przygotowała mu walizę pełną różnego rodzaju ciast, konfitur, soków i innych wiktuałów, błagała go również, aby nie żałował pieniędzy i odwiedził najlepszych lekarzy, i postąpił tak jak mu zalecą. Szifra Cyrł również pożegnała się ze swoim panem, a nawet odprowadziła go na piechotę aż do mostu i życzyła szybkiego powrotu do zdrowia.

Późną nocą, przy świetle księżycy w pełni, gdy powóz posuwał się leśną drogą, a cienie uciekały przed nim, ja, Szatan, pojawiłem się obok reba Natana i spytałem go: - Dokąd się udajesz?

- Czyż nie widzisz? Do doktora.

- Twojej choroby nie może uleczyć doktor - rzekłem mu.

- Cóż mam więc zrobić? Rozwieść się z moją starą żoną?

- A dlaczegoż by nie? - powiedziałem na to. - Czyż Abraham nie wygnał swej niewolnicy Hagar na pustynię jedynie z bukłakiem wody, ponieważ wołał Sarę? A później czyż nie wziął Ketury i nie miał z nią sześciu synów? A czyż Mojżesz, nauczyciel wszystkich Żydów, nie wziął sobie prócz Sefory drugiej żony z ziemi Kusz, a kiedy jego siostra Miriam wyrzucała mu to, czyż nie stała się trędowatą? Czy wiesz, Natanie, że pisane jest ci mieć synów i córki, a zgodnie z prawem powinieś rozwieść się z Temerł już w dziesięć lat po ślubie? Tak więc nie możesz opuścić tego świata bez

spłodzenia potomków i dlatego też Niebiosą przysłały ci Szifrę Cyrł, aby poszła z tobą do łóżka, zaszła w ciążę i urodziła zdrowe dzieci, które po twojej śmierci odmówią za ciebie kadisz i odziedziczą po tobie majątek. Dlatego nie próbuj się opierać Natanie, bo tak jest zapisane w Niebiesiech, i jeśli tego nie wykonasz, spotka cię kara, niezadługo umrzesz, a Rojze Temerł i tak zostanie wdową, a ciebie czeka piekło.

Natan bardzo się przestraszył, gdy usłyszał te słowa. Trzęsąc się ze strachu od stóp do głów, wyjąkał: - Jeśli tak, to po co mam jechać do Lublina. Powinienem raczej kazać woźnicy zawrócić do Frampola.

Ja zaś odpowiedziałem mu na to: - Nie, Natanie. Dlaczego miałbyś mówić żonie, co zamierzasz? Kiedy się dowie, że planujesz rozwieść się z nią i wziąć służącą na jej miejsce, pograży się w wielkim smutku i może szukać zemsty na tobie lub służącej. Raczej idź za radą Szifry Cyrł. Załatw dokumenty rozwodowe w Lublinie i włóż je po kryjomu między ubrania twojej żony; w ten sposób rozwód stanie się prawomocny. Potem powiedz jej, że lekarze zalecili ci, abyś pojechał do Wiednia na operację, ponieważ masz wewnątrz guza. A przed wyjazdem zabierz wszystkie pieniądze i weź je ze sobą, a żonie pozostaw jedynie dom, meble i jej osobiste rzeczy. Dopiero kiedy będziesz daleko od domu razem z Szifrą Cyrł, poinformujesz Rojżę Temerł, że jest już rozwódką. W ten sposób unikniesz skandalu. Ale musisz się spieszyć, bo Szifra Cyrł długo nie będzie czekać, a jeśli ona cię zostawi, to możesz zostać ukarany i stracisz wszystko na tym, jak i w przyszłym świecie.

Mówiłem tak jeszcze długo do niego. Odwoływałem się do jego pobożności, jak i używałem bardzo przyziemnych argumentów, a o brzasku, kiedy już zasnął, sprowadziłem mu nagą Szifrę Cyrł i pokazałem obrazy dzieci, które miała mu urodzić, chłopców i dziewcząt, z pejsami i lokami. Dałem mu również wymaginowane potrawy, które ona dla niego przygotowała: miały one smak Raju. Obudził się po tych wizjach wygłodniały i zżerany przez pożądanie. Przed miastem powóz zatrzymał się koło gospody, gdzie Natan zjadł śniadanie i dostał miękkie łóżko. Ale w ustach pozostał mu jeszcze smak naleśników, które jadł we śnie. A na wargach ciągle czuł gorące pocałunki Szifry Cyrł. Gnany pożądaniem, założył więc na siebie szybko palto i powiedział oberżyscie, że niestety musi już jechać, bo czekają na niego kupcy.

W jakimś zaułku, gdzie go zaprowadziłem, znalazł łasego na pieniądze skrybę, który za pięć guldenów wypisał mu papiery rozwodowe, które podpisali znaleźieni przez niego świadkowie, jak tego wymaga prawo. Potem Natan zakupił w aptece mnóstwo pastylek i buteleczek z różnymi miksturami i powrócił do Frampola. Opowiedział żonie, że został przebadany przez trzech doktorów, i że wszyscy oni jednoznacznie stwierdzili, że ma guza na żołądku. Musi więc natychmiast jechać do Wiednia, aby poddać się leczeniu przez wybitnych specjalistów, inaczej nie przeżyje nawet roku.

Wstrząśnięta tym Rojze Temerł rzekła do niego: - Co tam pieniądze? Twoje zdrowie jest dla mnie o wiele ważniejsze.

Chciała mu oczywiście towarzyszyć, ale Natan zaczął ją przekonywać, że to nie ma sensu: - Cała podróż będzie nas wtedy kosztować podwójnie, a ponadto ktoś musi przecież doglądać naszego

interesu tu, na miejscu. Nie, zostań, a jeśli Bóg pozwoli, i wszystko pójdzie dobrze, wrócę i znowu będziemy żyć w szczęściu.

Aby nie rozwodzić się długo, powiem tylko, że Rojze Temerł przyznała mu rację i zgodziła się zostać na miejscu.

Jeszcze tejże samej nocy, gdy Rojze Temerł już zasnęła, Natan wstał z łóżka i po cichu włożył dokumenty rozwodowe do jej kufra. Potem poszedł do pokoju Szifry Cyrł, aby powiedzieć jej, co zrobił. Zaczęła go obejmować i całować i obiecywała, że będzie wierną żoną i dobrą matką dla jego dzieci. Ale w duchu śmiała się z niego cynicznie: Ty stary głupcze, zapłacisz jeszcze drogo za to, że zakochałeś się w dziwce.

A teraz zaczyna się historia o tym, jak ja i moi kompani doprowadziliśmy starego grzesznika Natana Józefowera do tego, że stał się człowiekiem, który widzi, ale jego nie widać, tak że nie można go normalnie pochować, jak zwykłego śmiertelnika, co stanowi karę za rozwiązłość.

VI

Powrót Natana

Minął rok i Rojze Temerł miała już drugiego męża, kupca z Frampola, handlującego ziarnem, Mosze Mechelesa, który stracił żonę w tym samym czasie, kiedy ona została rozwódką. Mosze Mecheles był małej postury, z rudą brodą, rudymi bujnymi brwiami i przenikliwymi oczami o żółtawej barwie. Często prowadził dysputy z rabinem z Frampola, w czasie modlitw zakładał dwie pary filakteriów i posiadał młyn wodny. Ciągłe pokryty był białym mącznym pyłem. Już przedtem był bogatym człowiekiem, ale po ożenku z Rojzą Temerl, kiedy przejął jej spichrze i klientów, stał się po prostu krezusem.

Dlaczego Rojze Temerł go poślubiła? Po pierwsze z tego względu, że różni ludzie się w to włączyli. Po drugie, ponieważ była samotna i uważała, że drugi mąż mógłby chociażby częściowo zastąpić jej Natana. A po trzecie, ja, Kusiciel, miałem swoje własne powody, dla których chciałem, aby wyszła powtórnie za mąż. No cóż, po ślubie zrozumiała, że popełniła błąd. Mosze Mecheles zachowywał się dość dziwnie. Był chudy, tak więc pragnęła, aby przybrał na wadze, ale on nie chciał nawet tknąć jej knedli, naleśników i kurczaków. Wolał jeść chleb z czosnkiem, ziemniaki w mundurkach, cebulę i rzodkiew, a raz w ciągu dnia kawałek chudej, gotowanej wołowiny. Jego sfatygowany kaftan miał zawsze oberwane guziki; spodnie podpasywał sznurkiem i nie chciał chodzić do łaźni, kiedy Rojze Temerł przygotowywała mu kąpiel, i trzeba było go zmuszać, aby zmienił koszulę i kalesony. A ponadto rzadko bywał w domu; albo podróżował za interesami, albo siedział na zebraniach gminy. Kładł się późno spać, a w nocy jęczał i chrapał. Wstawał skoro świt, żywy jak skowronek. Chociaż zbliżała się do sześćdziesiątki, Rojze Temerł ciągle jeszcze miała

ochotę na przyjemności życia, ale Mosze Mecheles przychodził do niej rzadko i traktował to jak zwykły obowiązek. Kobieta w końcu uznała, że małżeństwo było pomyłką, ale cóż można było na to poradzić? Musiała zapomnieć o swej dumie i cierpiała w milczeniu.

Pewnego popołudnia w miesiącu elul, kiedy Rojze Temerł wyszła na dziedziniec, aby wylać pomyje, zauważyła jakąś dziwną postać. Wydała okrzyk przerażenia. Miska wypadła jej z rąk i pomyje rozlały się na wszystkie strony. Tuż przed nią stał Natan, jej były mąż. Ubrany był jak żebrak w podarty kaftan przepasany sznurkiem. Buty miał w strzępach, a na głowie resztki kapelusza. Wpatrywał się w Rojzę Temerł tępym wzrokiem spod rozczochranych brwi. Przez moment wydawało się jej, że nie żyje, a przed nią stoi jedynie jego duch. Chciała już krzyknąć: „Biedna Duszo, wróć na miejsce swego spoczynku”. Ale ponieważ działo się to w świetle dnia, wkrótce wróciła jej przytomność umysłu i trzęsącym się głosem zapytała:

- Czyżby mnie moje oczy zwodziły?

- Nie - rzekł Natan. - To ja we własnej osobie.

Przez dłuższy czas małżonkowie stali bez słowa i wpatrywali się w siebie. Rojze Temerł była tak zaskoczona, że głos uwiązł jej w gardle. Nogi się pod nią zatrzęsły i musiała złapać się drzewa, aby nie upaść na ziemię.

- Och, biada mi, jak ty wyglądasz? - krzyknęła.

- Czy twój mąż jest w domu? - zapytał Natan.

- Mój mąż? - w głosie jej słychać było zdziwienie.

- Nie...

Już miała go zaprosić do środka, ale nagle sobie przypomniała, że zgodnie z prawem nie wolno jej było przebywać razem z nim pod tym samym dachem. Bała się także, że służąca mogłaby go rozpoznać. Schyliła się i podniosła miskę do pomyj.

- Co się stało? - spytała.

Łamiącym się głosem Natan odpowiedział jej jak spotkał Szifrę Cyrł w Lublinie, ożenił się i dał się przez nią namówić do wyjazdu na Węgry, do jej krewnych. W gospodzie nad granicą porzuciła go, kradnąc mu wszystko, nawet ubrania. Od tego czasu tułał się po kraju, spał w przytułkach i jak żebrak chodził po domach, prosząc o jałmużnę. Na początku zamierzał uzyskać dokument podpisany przez stu rabinów, który umożliwiłby mu na powtórny z nią ożenek. Wyruszył więc do Frampola. Dowiedział się jednak, że Rojze Temerł powtórnie wyszła za mąż, tak więc przyszedł prosić ją o przebaczenie.

Nie mogąc uwierzyć własnym oczom, Rojze Temerł cały czas wpatrywała się w niego. Wsparty na krzywym kiju, z oczami spuszczone w ziemię, nie różnił się niczym od zwykłego żebraka. Z jego uszu i nozdrzy wyrastały kępki włosów. Zauważyła, że pod podartym płaszczem miał na sobie okrycie z worka porozdzierane w kilku miejscach, tak że można było zobaczyć nagie ciało. Wydawało się jej również, że stał się jakby mniejszy.

- Czy jacyś ludzie z miasteczka cię widzieli? - krzyknęła. - Jestem przecież mężatką.

- Nie żądam niczego od ciebie - powiedział Natan.

- Żegnaj.

- Nie odchódź! - rzuciła Rojze Temerł. - Och, jakaż jestem nieszczęśliwa!

Zakryła twarz rękami i zaczęła szlochać. Natan odszedł na bok.

- Nie oplakuj mnie - rzekł Natan. - Przecież jeszcze nie umarłem.

- Wolałabym, żebyś nie żył - odpowiedziała. - Byłabym wówczas szczęśliwsza.

No cóż, ja, Ten, który unicestwia, nie wypróbowałem jeszcze wszystkich moich sztuczek. Szala grzechów i szala kary jeszcze się nie wyrównały. Dlatego też zmuszony byłem szybko zareagować i przemówiłem do kobiety w języku współczucia, bo jak wszyscy wiedzą współczucie, tak jak i każde inne uczucie, może służyć zarówno złym jak i dobrym celom. „Rojze Temerł - zacząłem - on jest twoim mężem; żyłaś z nim przez pięćdziesiąt lat i nie możesz teraz, kiedy doznał upadku, tak po prostu się go wyrzec”. A kiedy spytała: „Co mam robić? Nie mogę przecież tak tu stać i narazić się na pośmiewisko”, poddałem jej pewną myśl. Cała zadrżała, oczy wzniosła do góry i dała znak Natanowi, aby szedł za nią. Bez słowa sprzeciwu podążył za nią tak, jak zrobiłby to każdy inny biedak na jego miejscu, proszący o jałmużnę, który wie, że musi się poddać woli pani domu.

VII

Tajemnica starej rudery

Na dziedzińcu, z tyłu za spichlerzem, koło łaźni stała stara rudera, w której wiele lat temu mieszkali rodzice Rojzy Temerł. Teraz nikt tam nie mieszkał. Okna na parterze były zabite deskami, ale na piętrze zachowało się jeszcze kilka pokoiów w dość dobrym stanie. Gołębie znalazły sobie siedlisko na dachu, a jaskółki zagnieździły się pod rynną. Z komina wystawała stara miotła. Natan ciągle chciał rozebrać budynek, ale Rojze Temerł nie chciała o tym słyszeć, mówiąc, że dopóki ona żyje, dom jej rodziców nie zostanie zburzony. Na poddaszu wały się kupy różnych śmieci i starych szmat. Uczniowie ze szkoły twierdzili, że o północy rudera jaśnieje światłem, a w piwnicy mieszkają demony. Rojze Temerł prowadziła tam teraz Natana. Nie było łatwo do niej się dostać. Ścieżkę zarastały chwasty, które kłuły i parzyły. Suknia Rojzy Temerł zaczepiała się o ostre ciernie. Widoczne dookoła wzniesienie świeżej ziemi świadczyło, że był to raj dla kretów. Gruba warstwa pajęczyn broniła dostępu do otwartego wejścia. Jakimś kawałkiem suchej gałęzi utorowała sobie drogę do środka. Rozklekotane schody ledwo się trzymały. Z trudem podnosiła nogi, tak że musiała oprzeć się na ramieniu Natana. W powietrze wzbily się tumany kurzu i Natan zaczął kichać i kaszleć.

- Gdzie mnie prowadzisz? - spytał zdziwiony.

- Nie obawiaj się - rzekła Rojze Temerł. - Wszystko jest w porządku.

Zostawiła go w ruderze i wróciła do domu. Powiedziała służącej, aby wzięła sobie wychodne na

resztę dnia. Tej zresztą nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, od razu się wyniosła. Wtedy Rojze Temerł natychmiast otworzyła szafę, w której ciągle jeszcze wisiały ubrania Natana, a ze skrzyni wyjęła jego bieliznę i zaniósła wszystko do rudery. Poszła potem do domu raz jeszcze i wróciła tym razem z koszykiem, w którym był ryż zapiekany w garnku, flaki, nóżki cielece, biały chleb i duszone śliwki suszone. Gdy Natan połknął to, co mu przyniosła, i nawet wylizal talerz po śliwkach, Rojze Temerł poszła do studni, przyniosła kubel wody i kazała mu się umyć w drugim pokoju. Noc zapadała, ale zmierzch jakby nie chciał się jeszcze rozstać ze światem. Natan zrobił tak, jak go poinstruowała Rojze Temerł. Z drugiego pokoju zaczęły dochodzić jego westchnienia i plusk wody. Potem zmienił swe okrycie na nowe. Kiedy Rojze Temerł ujrzała go, łzy same napłynęły jej do oczu. Światło księżyca, który jaśniał pełnią, wpadało do środka przez okno i rozświetlało cały pokój, niczym za dnia. I wydawało się, że Natan, mając na sobie czystą koszulę, szlafrok wyszywany w kwiaty i liście, jedwabną szlafmycę i aksamitne pantofle, był znowu sobą, jak za dawnych czasów.

Mosze Mecheles był akurat poza miastem i Rojze Temerł nie musiała się spieszyć. Poszła znowu do domu i przyniosła pościel. Łóżko należało uzupełnić tylko kilkoma deskami. Nie chcąc zapalać świecy, aby ktoś nie zauważył jej blasku, Rojze Temerł szukała drogi po omacku i wraz z Natanem wspięła się na poddasze. Tam po jakiejś chwili natknęła się na stare deski do łóżka. Potem położyła na łóżku siennik, przykryła go prześcieradłem i rzuciła poduszkę. Pamiętała nawet o tym, aby przynieść słoik konfitur i pudełko z ciasteczkami, aby Natan mógł coś przegryźć przed snem. Dopiero gdy to wszystko zrobiła, usiadła na chwiejącym się stolku, aby odpocząć. Natan usiadł na skraju łóżka.

Po dłuższej chwili milczenia Natan się odezwał: - Na co to wszystko? I tak jutro muszę stąd iść.

- Dlaczego jutro? - odparła Rojze Temerł. - Odpocznij sobie, jak długo chcesz. Zawsze będzie czas na to, aby gnić w przytułku.

Siedzieli tak i rozmawiali ze sobą szeptem aż do późna w nocy. Rojze Temerł zanosila się od czasu do czasu płaczem, potem się uspokajała i zaczynała od nowa. Nalegała, aby Natan wyznał jej wszystko bez zatajania szczegółów, tak że znowu jej opowiedział, jak spotkał się z Szifrą Cyrł, jak wzięli ślub i jak go namówiła, aby udał się z nią do Pressburga oraz jak spędzili razem noc w gospodzie, mówiąc sobie słodkie słówka i kochając się namiętnie. I jak o świcie, kiedy on jeszcze mocno spał, wstała i odwiązała woreczek, który miał zawieszony na szyi. Opowiedział również Rojzie Temerł, jak zmuszony był wyzbyć się wielkiego wstydu i szukać miejsca na nocleg w przytułkach oraz żebrać o jedzenie u obcych. I chociaż jego opowieść wprawila ją w gniew, tak że znowu zaczęła go nazywać durniem, głupkiem, jełopem, idiotą, to jednak serce jej topniało ze współczucia.

- I co teraz robić? - szeptała do siebie cały czas. A ja, Szatan, odpowiedziałem jej na to: „Nie pozwól mu odejść. Nie nadaje się przecież do prowadzenia żebraczego życia. Mógłby umrzeć ze smutku i wstydu”. A kiedy Rojze Temerł zaczęła dowodzić, że jest przecież mężatką, a więc nie ma prawa z nim przebywać, powiedziałem jej: „Czy dwanaście linijek dokumentu rozwodowego może rozdzielić dwie dusze, które połączyło pięćdziesiąt lat wspólnego życia? Czy można przy pomocy

prawa zmienić brata i siostrę w obce sobie osoby? Czyż Natan nie stał się częścią ciebie? Czyż nie zjawia się ci co noc w twych snach? Czyż cały twój majątek nie jest wynikiem jego zapobiegliwości i starań? A czymże jest Mosze Mecheles? Tylko obcym i do tego nieokrzesanym gburem. Czyż nie lepiej byłoby smażyć się w piekle razem z Natanem niż być podnóżkiem Mosze Mechelesa w niebie?” Przypomniałem jej również jedną z historii, zawartych w książce, którą czytała, gdzie dziedzic, którego żona uciekła z poskromicielem niedźwiedzi, przebaczył jej później tę zdradę i przyjął z powrotem do swego dworu. Rojze Temerł wróciła do domu, kiedy zegar na wieży kościelnej wybił jedenastą. W swym wygodnym łóżku z baldachimem przewracała się w nocy z boku na bok, jak w malignie. Zaś Natan stał jeszcze długo przy oknie i wyglądał na dwór. Niebo było pełne gwiazd. Sowa na dachu synagogi skrzeczała jakby ludzkim głosem. Miauczenie kotów przypominało mu kobiece rozmowy. Słychać było cykanie świerszczy. Wydawało mu się również, że słyszy jak jakieś niewidoczne piły brzęczą, piłując pnie drzew. Z pól dochodziło rzenie koni, które pasły się w nocy, wraz z nawoływaniem chłopców, którzy je pilnowali. Ponieważ znajdował się na piętrze, mógł objąć wzrokiem całe miasteczko. Widział synagogę, kościół, rzeźnię, łaźnię publiczną, rynek i odchodzące od niego boczne uliczki, na których mieszkali chrześcijanie. Mógł rozpoznać każdą najmniejszą komórkę, a nawet deskę na swym dziedzińcu. Zauważył, że koza obgryza korę z drzewa, a jakaś mysz ucieka ze spichlerza, aby ukryć się w swej norze. Natan stał tak i patrzył przez długi czas. Wszystko, co go otaczało, było mu bliskie, choć jednocześnie jakieś obce, realne ale upiorne, tak jakby nie był już wśród żywych, a jedynie jego duch unosił się nad tym wszystkim. Przypomniał sobie, że było takie hebrajskie wyrażenie, które odnosiło się do niego, ale nie mógł go sobie dokładnie przypomnieć. W końcu po długim i usilnym staraniu, przypomniał sobie: ten który widzi, ale sam jest niewidzialny.

VIII

Ten który widzi, ale sam jest niewidzialny

We Frampolu rozeszły się pogłoski, że Rojze Temerł pokłóciła się ze swoją służącą i zwolniła ją w środku okresu, na który ta została przyjęta do pracy. Zdziwiło to wszystkie gospodynie, ponieważ dziewczyna była znana ze swej pracowitości i uczciwości. W rzeczywistości Rojze Temerł wyrzuciła dziewczynę, aby ta nie odkryła, że Natan żyje w ruderze. Tak jak to zwykle bywa, kiedy wodzę grzeszników na pokuszenie, wmówiłem dawnym małżonkom, że cała ta sytuacja ma charakter jedynie tymczasowy i że Natan pozostanie tu, dopóki nie przyjdzie do siebie po swojej włóczędze. Ale z drugiej strony zrobiłem wszystko, aby Rojze Temerł mile widziała obecność swego ukrywającego się gościa, a Natan był zadowolony z miejsca, gdzie teraz przebywał. I chociaż za

każdym razem, gdy się spotkali, rozmawiali o swym przyszłym rozstaniu, to Rojze Temerł starała się wytworzyć w pomieszczeniu Natana atmosferę trwałości. Znowu zaczęła dla niego gotować i smażyć smakowite dania. Po kilku dniach wygląd Natana całkowicie się zmienił. Od jedzenia ciast i zapiekanek twarz jego znowu się zaróżowiła, a jego brzuch, jak u jakiegoś bogacza, znów się wydatnie zarysował. Jak dawniej zaczął nosić haftowane koszule, aksamitne pantofle, jedwabne szlafroki i batystowe chusteczki. Aby nie nudził się z powodu swej bezczynności, Rojze Temerł przyniosła mu *Biblię* w jidysz, egzemplarz *Dziedzictwa Jeleni* i sporo książek ze zbiorami ciekawych historii. Udało jej się nawet zdobyć trochę tytoniu do jego fajki, ponieważ strasznie lubił ją palić, a także przyniosła z piwnicy butelki z winem i miodem, które Natan przechowywał od lat. Tak więc rozwiedziona para urządziła sobie od czasu do czasu małe przyjęcia.

Dopilnowałem, aby Mosze Mecheles rzadko przebywał w domu; wysyłałem go na różnego rodzaju jarmarki, a nawet rekomendowałem go często na arbitra w dysputach. Tak że nie minęło wiele czasu, a rudera z tyłu za spichlerzem stała się dla Rojzy Temerł jedynym pocieszeniem. Jak skąpiec żyje myślą o swym skarbie, który schował gdzieś daleko przed wzrokiem postronnych osób, tak Rojze Temerł myślała tylko o rudery i tajemnicy, którą nosiła w swym sercu. Czasami wydawało się jej, że Natan zmarł, a ona w jakiś cudowny sposób przywróciła go na chwilę do życia; kiedy indziej znowu wydawało jej się, że to, co dzieje się wokół niej, to tylko sen. Za każdym razem, gdy patrzyła ze swojego okna na pokryty mchem dach rudery, opanowywała ją jedna myśl: Nie! To niemożliwe, aby Natan tam przebywał; wszystko to tylko mi się śni. I natychmiast musiała tam lecieć, wdrapywała się po rozklekotanych schodach na górę, a Natan spotykał ją w pół drogi ze znajomym uśmiechem na twarzy. Czuła też jego przyjemny zapach. - Natan, czy jesteś tu? - pytała, a on jej odpowiadał:

- Tak, Rojze Temerł, jestem tutaj i czekam na ciebie.

- Czy tęskniłeś za mną? - pytała, a on jej odpowiadał:

- Oczywiście. Kiedy słyszę twoje kroki, to jakby rozpoczynało się dla mnie jakieś święto.

- Natanie, Natanie - ciągnęła wtedy dalej - czy uwierzyłbyś jeszcze rok temu, że to wszystko tak się zakończy?

On wtedy mruczał pod nosem: - O nie, Rojze Temerł, to wszystko jest jak zły sen.

- Och, Natanie, straciliśmy już wszystko na tym świecie i obawiam się, że stracimy wszystko również w przyszłym - mówiła Rojze Temerł.

On na to odpowiadał: - No cóż, to straszne, ale przecież piekło jest także dla ludzi, a nie dla psów.

Ponieważ Mosze Mecheles należał do chasydów, ja, Stary Buntownik, wysyłałem go, aby spędził Straszne Dni ze swoim rabinem. Rojze Temerł została sama w domu. Kupiła wtedy Natanowi tałas, białą szatę, modlitewnik i przygotowała mu świąteczny posiłek. Ponieważ na Rosz Haszana księżyc jest w nowiu, jadł wieczorny posiłek w ciemności, po omacku maczał kawałki chleba w miodzie, skosztował też kawałek jabłka, marchewki, głowę karpia i wymówił nad owocem granatu słowa błogosławieństwa dla pierwszych owoców. Cały dzień stał i modlił się w swojej białej szacie i tałasie.

Do jego uszu dochodził nikły dźwięk baraniego rogu z synagogi. W przerwie między modlitwami Rojze Temerł odwiedziła go w złotym wyszywanej sukni, białym atlasowym płaszczu z szalem przetykanym srebrnymi nitkami. Na szyi zawiesiła sobie złoty łańcuch, który dostała od niego na zaręczyny. Broszka, którą przywiózł jej z Gdańska, falowała na jej piersiach, a przegub ręki oplatała bransoletka, którą kupił jej w Brodach. Rozsiewała wokół siebie zapach piernika i babinca w synagodze. Wieczorem dnia poprzedzającego Sądny Dzień, Rojze Temerł przyniosła mu białego koguta na ofiarę rytualną i przygotowała posiłek, który miał zjeść przed rozpoczęciem postu. Zniosła także do synagogi świecę woskową za jego duszę. Przed udaniem się na Minchę do synagogi przysłała mu powiedziec do widzenia i zaczęła tak głośno lamentować, aż Natan przestraszył się, że ktoś może ją usłyszeć. Wpadła mu w ramiona i tak się go uczepiła, że nie było mowy, aby ktoś mógł ją od niego oderwać. Łzy zalewały jej twarz i wyła, jakby była nawiedzona.

- Natanie, Natanie - zawodziła - oby nas już więcej nie prześladowało nieszczęście!

Wykrzykiwała też inne rzeczy, które słyszy się kiedy umiera jakiś członek rodziny, powtarzając je wiele razy. Natan przeraził się, że może zemdleć i upaść, tak więc musiał ją sprowadzić schodami na dół. Potem podszedł do okna i obserwował mieszkańców Frampola udających się do synagogi. Kobiety szły szybko, żwawym krokiem, tak jakby się spieszyły, aby się pomodlić za kogoś umierającego; podtrzymywały swoje spódnice, a kiedy jakieś dwie spotkały się ze sobą, wpadały sobie w ramiona i bujały się w tę i z powrotem, tak jakby prowadziły jakąś tajemniczą walkę. Żony szacownych obywateli pukały do domów biednych ludzi i prosiły o przebaczenie. Matki, których dzieci chorowały, biegły z rozpostartymi ramionami i zawodziły jak szalone. Starzy mężczyźni przed opuszczeniem domu zdejmowali buty, nakładali na siebie białe szaty, tałesy i białe mycki. Na dziedzińcu synagogi biedacy siedzieli na ławkach, trzymając w rękach puszek na jałmużnę. Czerwona poświata rozciągała się nad dachami i odbijając się w szybach okien rozjaśniała blade twarze. Na zachodnim nieboskłonie słońce przybrało ogromne rozmiary i wydawało się, że otaczające chmury stanęły w ogniu, a za chwilę pół nieba ogarnęły czerwone płomienie. Natan przypomniał sobie wówczas o Rzece Ognia, w której dusze muszą dostąpić oczyszczenia. Słońce wkrótce schowało się za horyzontem. Ubrane na biało dziewczęta powychodziły z domów i zamknęły okiennice. Małe płomyki igrały w wysokich oknach synagogi, zaś wewnątrz cały budynek wydawał się ogarnięty jednym wielkim migotaniem świec. Z synagogi dochodził szum stłumionych głosów przerywany wybuchami szlochu. Natan zdjął buty, ubrał się w białą szatę i nałożył na siebie tałes. Częściowo z modlitewnika, a częściowo z pamięci zanucił słowa modlitwy *Kol Nidre*, którą odmawiają nie tylko żyjący, ale również umarli w grobach. Kimże był on, Natan Józefower, jak nie umarłym, który zamiast spoczywać w grobie, tuła się po świecie, który nie istnieje?

IX

Ślady na śniegu

Minęły Wielkie Świeta. Przyszła zima. Natan zaś ciągle przebywał w ruderze. Nie można było jej ogrzewać, nie tylko dlatego, że piec został rozebrany, ale również z tego powodu, że dym uchodzący z komina wzbudziłby u ludzi podejrzania. Aby uchronić Natana od zimna, Rojze Temerł dostarczyła mu ciepłą odzież i mały piecyk węglowy. W nocy przykrywał się dwoma kołdrami puchowymi. W ciągu dnia miał na sobie swoje futro z lisów i buty z cholewami na nogach. Rojze Temerł przyniosła mu także małą beczułkę nalewki. W beczułce wydrążona była dziurka, przez którą przy pomocy słomki ciągnął alkohol, kiedy tylko mu było zimno, przegryzając kawałkiem suszonej baraniny. Od dobrego jedzenia, które dostarczała mu Rojze Temerł, stał się gruby i ciężki. Wieczorami stał przy oknie i obserwował z zaciekawieniem kobiety udające się do rytualnej kąpeli. W dni targowe nie odchodził od okna. Wozy wjeżdżały wówczas na dziedziniec, a chłopcy wyładowywali worki ziarna. Mosze Mecheles w watowanej kurtce biegał w tę i z powrotem, krzycząc coś chrapliwym głosem. Chociaż bolało go, kiedy uzmysławiał sobie, że ten śmieszny człowieczek zabrał mu jego majątek i spał z jego żoną, to wygląd Mosze Mechelesa wprawiał go w rozbawienie, tak jakby to wszystko było jakimś kawałem, który on, Natan, chciał spłatać swojemu konkurentowi. Czasami miał ochotę krzyknąć na niego: „Hej, ty tam, Mosze Mecheles!” i rzucić mu kawałek tynku lub kość.

Tak długo jak nie było śniegu, Natan miał wszystko, czego potrzebował. Rojze Temerł odwiedzała go wtedy często. Nocą Natan wybierał się na spacer ścieżką, która prowadziła nad rzekę. Ale pewnej nocy spadło pełno śniegu i następnego dnia Rojze Temerł już go nie odwiedziła, ponieważ obawiała się, że ktoś zauważy jej ślady na śniegu. Natan również nie mógł wyjść na dwór za naturalną potrzebą. Przez dwa dni nie miał nic gorącego do jedzenia, a woda w cebrzyku zamarzała na lód. Trzeciego dnia Rojze Temerł kazała jakiemuś chłopu uprzątnąć śnieg leżący między domem a spichlerzem oraz między spichlerzem a rudera. Kiedy Mosze Mecheles wrócił do domu był tym wielce zdziwiony i zapytał ją: „Dlaczego?”, ale ona zmieniła szybko temat, a ponieważ nie podejrzewał niczego, wkrótce o tym zapomniał.

Odtąd życie Natana stawało się z każdym dniem trudniejsze. Po każdym opadzie śniegu Rojze Temerł łopata uprzątała ścieżkę. Aby sąsiedzi nie mogli zobaczyć co się dzieje na dziedzińcu, kazała naprawić płot. A chcąc mieć wymówkę na chodzenie do rudery, kazała wykopać obok niej dół na odpadki. Za każdym razem, kiedy widziała się z Natanem, ten jej mówił, że już czas, aby wziął swój tobolek i odszedł, ale Rojze Temerł wymuszała na nim, aby został. „Dokąd pójdziesz? - pytała. - Mógłbyś, nie daj Boże, paść z wyczerpania”. Zgodnie z almanachem na ten rok dowodziła, że zima będzie łagodna, a lato zacznie się wcześniej, na tydzień przed Purim, tak że będzie musiał przetrzymać tylko pół miesiąca kislew oraz tewet i szewat. Opowiadała mu też inne rzeczy. Czasem

nawet nie zamieniali między sobą ani jednego słowa, a tylko siedzieli w milczeniu, trzymali się za ręce i płakali. Z każdym jednak dniem oboje tracili samozaparcie i siły. Natan stawał się coraz grubszy i wyglądał tak, jakby go ktoś nadmuchał; miał ciągle wiatry, wydawało mu się też, że nogi ma jak z ołowiu, a wzrok tak mu się pogorszył, że nie mógł już czytać ksiązek z ciekawymi historiami. Rojze Temerł natomiast schudła niczym gruźliczka, straciła apetyt i nie mogła spać. W czasie bezsennych nocy ciągle szlochała. A kiedy Mosze Mecheles pytał ją, co się stało, odpowiadała, że płacze, ponieważ nie ma dzieci, które by się za nią modliły, kiedy umrze.

Pewnego dnia ulewa stopiła śnieg. Ponieważ Rojze Temerł nie odwiedzała go już od dwóch dni, Natan oczekiwał, że przyjdzie lada moment. Nie miał już nic do jedzenia; na dnie beczułki pozostało tylko trochę nalewki. Stał więc godzinami, bez przerwy, przy oknie pokrytym przez mróz cienką warstwą lodu, które dawało przez to zamglony obraz tego, co się działo na zewnątrz, i czekał na nią, ale ona nie pojawiła się. Na dworze zapadła już noc. Było mroźno i ciemno jak w grobie. Z daleka dochodziło szczekanie psów. Wiał przy tym tak silny wichur, że aż trzęsły się ściany rudery. W kominie słyhać było świst wiatru, a na dachu trzeszczenie okapów. Wyglądało na to, że w domu Natana, teraz zajmowanym przez Mosze Mechelesa, zapalono kilka lamp, ponieważ zrobiło się tam nadzwyczaj jasno, a rozchodzące się światło sprawiało wrażenie, że panujące dookoła ciemności stają się jeszcze głębsze. Natanowi wydawało się, że słyzy turkot kół, tak jakby jakiś powóz podjeżdżał pod dom. Potem w ciemnościach słyhać było, jak ktoś ciągnie wodę ze studni, a ktoś inny wylewa pomyje. Była już głęboka noc, ale pomimo późnej godziny nie zamykano okiennic. Widząc mknące w tę i z powrotem cienie, Natan pomyślał sobie, że z pewnością jacyś ważni goście musieli przyjechać i teraz zasiadają do przyjęcia. Tak długo wpatrywał się w ciemności nocy, aż kolana odmówiły mu posłuszeństwa, ostatkiem więc sił dociągnął do łóżka i zapadł od razu w głęboki sen.

Ostre zimno zbudziło go wczesnym rankiem. Wstał z łóżka, cały sztywny i ledwo co doczłapał do okna. W ciągu nocy napadało jeszcze więcej śniegu i schwycił silny mróz. Ku swemu zaskoczeniu Natan zobaczył grupę mężczyzn i kobiet, która otaczała jego dom. Z niepokojem zastanowił się, co takiego mogło się wydarzyć. Nie potrzebował jednak długo się nad tym zastanawiać, ponieważ nagle drzwi się szeroko otworzyły i czterech mężczyzn wyniosło na marach trumnę. Mosze Mecheles nie żyje! - pomyślał. Ale za chwilę zobaczył Mosze Mechelesa krocącego za trumną. Tak więc to nie on, ale Rojze Temerł zmarła.

Natan nie był w stanie płakać, tak jakby chłód ściał mu lzy. Trzęsąc się cały, patrzył jak mężczyźni nieśli trumnę, jak szames potrząsał swą puszką na jałmużnę, jak żałobnicy brnęli przez głębokie zasy śnieżne. Trupioblade niebo wisiało nisko nad okrytą białą pierzyną ziemią, prawie jej dotykając. Wydawało się, że drzewa na polach, niczym w czasie jakiejś powodzi, dryfowały pośród otaczającej je białości. Ze swego okna Natan mógł obserwować całą drogę na cmentarz. Trumna unosiła się w górę i opadała w dół; tłum, który kroczył za nią, rzednął, a miejscami całkowicie zanikał, tak jakby zapadał się całkowicie pod ziemię, aby za chwilę znowu wydostać się na powierzchnię. Natan miał przez moment wrażenie, że cały kondukt żałobny zatrzymał się i

zamarł w bezruchu, a potem znowu, że zarówno ludzie jak i trumna zaczęli posuwać się z powrotem do tyłu. Cały kondukt stopniowo malał, aż stał się jedynie czarną kropką na horyzoncie. W pewnej chwili kropka przestała się ruszać, Natan zdał sobie wówczas sprawę, że trumna dotarła na cmentarz i że teraz jego wierna żona jest chowana do grobu. W resztkach nalewki, które mu jeszcze pozostały, umył ręce, ponieważ woda w cebrzyku zamarzła, i zaczął szeptem odmawiać modlitwę za zmarłych.

X

Dwie twarze

Natan miał zamiar spakować swe rzeczy i odejść już w nocy, ale ja, Przywódca Diabłów, przeszkodziłem mu w tym. Tuż przed świtem schwyciły go straszne bóle brzucha; głowa mu się rozpałała, a kolana tak osłabły, że nie mógł zrobić ani kroku. Buty mu się rozleciały, tak że nie mógł ich założyć. Nogi zaś strasznie mu opuchły. Anioł poradził mu, aby wołał o pomoc i krzyczał tak długo, aż ludzie go usłyszą i przyjdą mu na ratunek, ponieważ żaden człowiek nie jest panem swej śmierci, ale ja wtedy rzekłem do niego: „Czy pamiętasz słowa Króla Dawida: «Niech raczej wpadnę w ręce Boga, niżbym miał wpaść w ręce ludzi?» Nie chcesz chyba, aby Mosze Mecheles i jego sługusi mieli tę satysfakcję, aby się na tobie zemścić i wydrwić cię. Już lepiej umrzeć jak pies”. Mówiąc krótko, posłuchał mnie, po pierwsze dlatego, że rządziła nim duma, a po drugie dlatego, że nie pisane mu było zostać pogrzebanym zgodnie z prawem.

Resztkami sił przyciągnął łóżko do okna, aby tam leżeć i obserwować. Wcześniej zasypiał i wcześniej się budził. Po dniu następowała noc. Czasami słyszał krzyki na dziedzińcu. Czasami zaś wydawało mu się, że ktoś woła go po imieniu. Miał wrażenie, że głowa urosła mu do monstrualnych rozmiarów i stała się tak ciężka, jakby dźwigał na karku kamień młyński. Jego palce były niczym z drewna, a język mu tak stwardniał, że wydawał się zajmować więcej miejsca niż na to pozwalała mu przestrzeń w ustach. Moi pomocnicy, złośliwe duszki, ukazywały mu się w snach. Piszczwały, gwizdały, puszczały race, chodziły na szczydłach niczym komedianci w czasie święta Purim. Śnił o potopach i pożarach, wydawało mu się, że świat został unicestwiony, a on unosi się w pustce na skrzydłach nietoperza. W swych snach widział także naleśniki, knedle, kładzione kluski z serem i kiedy się budził, czuł, że ma pełny żołądek, tak jakby rzeczywiście jadł wszystkie te rzeczy, które się mu śniły. Następnie zaczynał wzdychać i łapała go czkawka. Dotykał więc brzucha, aby się upewnić, czy to prawda, ale ten był pusty i cały obolały.

Pewnego razu, kiedy usiadł na łóżku i wyjrzał przez okno, zobaczył ku swemu zaskoczeniu, że ludzie chodzą do tyłu i nie mógł się temu nadziwić. Pośród tych, którzy przechodzili rozpoznał ludzi dawno już umarłych. Czyżby oczy mnie zwodziły? - zastanawiał się. Czy też przyszedł Mesjasz i

wskrzesił zmarłych? Im dłużej się temu przyglądał, tym większe ogarniało go zdziwienie. Całe pokolenia przesunęły się przed jego oczami. Widział kobiety i mężczyzn z tobołkami na plecach i kijami w rękach. Rozpoznał wśród nich swojego ojca i dziadka, swoje babki i babki cioteczne. Obserwował, jak robotnicy budują synagogę we Frampolu. Nosili cegły i deski, mieszali wapno, przybijali okapy. Uczniowie zaś stali wokół, patrzyli do góry i wykrzykiwali jakieś dziwne słowo, którego on nie rozumiał, bo brzmiało w obcym języku. Tak jak w tańcu wokół *Tory*, dwa bociany krążyły nad budynkiem. Potem budynek i robotnicy zniknęli, a on zobaczył grupę ludzi bez butów, brodatych, z dzikością w oczach. Nieśli oni krzyże w rękach i prowadzili Żyda na szubienicę. Był to młody mężczyzna z czarną brodą. I chociaż rozpaczał tak, że aż chwytalo za serce, oni na to nie zważali i ciągnęli go dalej, związanego sznurami. Dzwony biły, a ludzie uciekali z ulic, aby się ukryć. Było południe, ale zrobiło się tak ciemno, jakby to był dzień z zaćmieniem słońca. Na koniec młody mężczyzna krzyknął: „*Szema Izrael*, Pan jest naszym Bogiem, Pan jest jeden!” i zawisł na sznurze, a język wypadł mu z ust. Nogi bujały mu się przez dłuższy czas, a nad jego głową krążyły stada wron, przeraźliwie kracząc.

Ostatniej nocy na ziemi Natanowi śniło się, że Rojze Temerł i Szifra Cyrł były jedną kobietą o dwóch twarzach. Jej wygląd wprowadził go w stan upojenia. Dlaczego tego wcześniej nie zauważyłem? - dziwił się sam sobie. Dlaczego musiałem przeżywać te wszystkie kłopoty i obawy? Pocałował tę kobietę o dwóch twarzach, a ona odwzajemniła jego pocałunki swymi dwiema parami warg i przycisnęła się do niego dwiema parami piersi. Mówił jej słowa miłości, a ona odpowiadała mu dwoma głosami. W objęciach jej podwójnej pary ramion i piersi otrzymał odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Nie było już życia i śmierci, nie istniało tu i tam, nie było ani końca ani początku.

- Prawda ma tylko jedno oblicze! - wykrzyknął - Natan. - To jest tajemnica nad tajemnicę!

Bez możliwości złożenia ostatniego wyznania swych grzechów Natan zmarł tejże nocy. Od razu też przeniosłem jego duszę do świata podziemi. Tuła się do dziś po pustynnych bezkresach i nie może uzyskać wstępu do piekieł. Mosze Mecheles ożenił się ponownie, tym razem z młodą kobietą. Drogo za ten krok zapłacił. Wkrótce odziedziczyła po nim majątek i roztrwonila go. Szifra Cyrł została dziwką w Pressburgu i umarła w przytułku. A stara rudera stoi tak jak stała i kości Natana ciągle tam leżą. I kto wie, być może jakiś inny człowiek, który widzi, ale sam jest niewidzialny, ukrywa się w jej wnętrzu.

Słownik

Arka Przymierza, Święta Arka – biblijna pozłacana skrzynia z drewna akacjowego ozdobiona dwoma cherubami, symbolizująca obecność boską, zawierająca kamienne tablice praw, znajdująca się w świątyni Salomona w Jerozolimie. Oryginalna Arka zaginęła po zburzeniu Jerozolimy. W synagogach – szafa ołtarzowa umieszczona przy ścianie wschodniej, skierowanej na Jerozolimę, w której przechowywane są ręcznie spisane zwoje Tory.

balsaminka – pojemnik, często srebrny, w kształcie wieży, w którym spalane są wonne korzenie (besamim) w czasie ceremonii Hawdali na zakończenie szabatu.

barani róg – szofar – w starożytnym Izraelu służył do przekazywania alarmu, ostrzeżenia oraz do celów kultowych w Świątyni. Obecnie używany w synagogach w miesiącu elul, w Rosz Haszana i na zakończenie Jom Kipur.

Biblia (hebr. *Tenach*) – w judaizmie *Stary Testament*, w skład którego wchodzi *Pięcioksiąg (Tora)*, 21 ksiąg proroków i 13 ksiąg *Pism*.

bima – podium w synagodze, z którego czyta się *Torę*.

chałat – czarny, na ogół jedwabny lub aksamitny wierzchni strój noszony przez chasydów.

cyces – (hebr. *cicit*) – frędzle przymocowane do spodniej części odzieży, noszone przez Żydów płci męskiej w celu przypomnienia boskich przykazań.

czulent – potrawa z mięsa, fasoli, ziemniaków, kaszy perłowej, do której niekiedy dodawano śliwki i inne przyprawy, tradycyjnie spożywana przez Żydów aszkenazyjskich na obiad w szabat. Ponieważ gotowanie w szabat jest zabronione, czulent przyrządza się w piątek po południu i zostawia w piecu na całą noc.

dybuk – duch zmarłego, który wstąpił w ciało żyjącego człowieka.

filakteria – tefilin – niewielkie skórzane pudełeczka w kształcie sześciianu przywiązywane za pomocą czarnych rzemieni do lewego ramienia i czoła, zawierające cztery cytaty z *Tory*. Zakłada się je podczas modlitwy porannej w dni powszednie.

Gemara – „kończyc” – zakończenie; zbiór komentarzy uzupełniających do *Miszny*; wraz z nią stanowi *Talmud*.

Hoszana Raba – „Wielka Hosanna” – siódmy dzień Święta Szałasów, podczas którego procesja obchodzi 7 razy synagogę, po czym gałązkami wierzby uderza się o ziemię i o sprzęty – jest to ceremonia wywodząca się z czasów Drugiej Świątyni, mająca zapewnić deszcz.

jarmulka – mycka, mała okrągła czapeczka bez daszka, sukienka albo aksamitna.

jesziwa – wyższa szkoła religijna, w której studiowano *Talmud* i dzieła rabiniczne.

Jom Kipur – Dzień Pojednania, Sądny Dzień – przypadające na 10 tiszri święto charakterze pokutnym. Podobnie jak w szabat, wszystkie prace tego dnia są zakazane. Jest to dzień ścisłego postu, skruchy i wyznania grzechów. Według tradycji, los każdego człowieka, który nie został jednoznacznie określony w Rosz Haszana, rozstrzyga się właśnie w Jom Kipur. Przed rozpoczęciem tego dnia, w którym każdy prosi Boga o wybaczenie grzechów, należy pogodzić się z bliźnimi i uzyskać od nich przebaczenie.

Chanuka – ośmiodniowe święto obchodzone 25 kislew (grudzień) dla uczczenia zwycięstwa Machabeuszów nad armią syryjską w 166 r. p.n.e. i oczyszczenia świątyni z profanujących ją posągów bóstw. Każdego dnia święta zapala się w lampce chanukowej kolejną świecę. Chanukę nazywa się też Świętem Światła, a zapalona chanukija powinna być widoczna na zewnątrz. Jest to święto bardzo radosne; w tym czasie zabroniony jest post i wygłaszanie mów pogrzebowych.

chanukija – lampka chanukowa – specjalna lampa na 8 świec, które zapala się po zachodzie słońca przez 8 kolejnych dni święta Chanuki. Pierwszego dnia zapala się jedną świecę i każdego kolejnego dnia dodaje się jedną więcej. Światła powinny palić się co najmniej pół godziny. Nie wolno zapalać jednej świecy od drugiej – do tego celu służy specjalne światełko pomocnicze, szames.

chasyd (chasyd – pobożny) – zwolennik chasydyzmu, ruchu mistyczno-religijnego i społecznego zapoczątkowanego w XVIII w. przez Izraela ben Eliezera z Podola, zwanego też Baal Szem Tow. Chasydyzm sprzeciwiał się judaizmowi rabinicznemu, głosił ekstazę religijną, taniec i śpiew. Główny nacisk kładł na osobistą modlitwę, która miała służyć połączeniu się z Bogiem, a przez to wypełnieniu najważniejszego zadania człowieka. Rozwinął własny rytuał religijny, założył własne synagogi, lecz nigdy nie oderwał się od głównego nurtu judaizmu. Do II wojny światowej centrum chasydyzmu stanowiła Europa Wschodnia, dziś jego główne ośrodki znajdują się w Izraelu i USA.

cheder – „pokój”, dawna szkoła religijna mieszcząca się na ogół w szkole nauczyciela, obejmująca trzy grupy wiekowe: od 3 do 5 lat, od 6 do 7 lat i od 8 do 13 lat. Przedmiotem nauczania w poszczególnych klasach było: czytanie modlitewnika, czytanie *Tory* i czytanie *Talmudu*.

cherem – klątwa, wykluczenie ze społeczności gminy żydowskiej.

chupa – baldachim ślubny – w kulturze żydowskiej akt zaślubin odbywa się pod baldachimem; wstąpienie pod baldachim oznacza symboliczne zjednoczenie małżonków.

kabała – „tradycja” – ustna tradycja prawa mojżeszowego i jego interpretacja, która we wczesnym średniowieczu rozwinęła się w mistyczny, ezoteryczny system interpretacji *Biblii*, oparty na przekonaniu, że każde jej słowo i litera ma okultystyczne znaczenie. Głównymi źródłami tego systemu były dwa podstawowe dzieła *Sefer Jecira* (Księga Stworzenia) i *Zohar* (Księga Blasku).

kadisz – modlitwa żałobna, którą odmawia się za zmarłych, wyrażająca wiarę w Boga i poddanie się jego woli.

kalendarz żydowski – jest to kalendarz księżycowo-słoneczny, oparty na roku księżycowym, który liczy 354 dni. Aby wyrównać różnicę w stosunku do roku słonecznego, co dwa lub trzy lata dodaje się dodatkowy miesiąc przestępny, tzw. drugi adar, dzięki czemu wszystkie miesiące przypadają o tej samej porze roku. Dzieli się na 12 miesięcy rozpoczynających się od nowiu księżyca, liczących 29 lub 30 dni. Rok religijny zaczyna się jesienią, pierwszego dnia tiszri. Pełny cykl kalendarza hebrajskiego zamyka się w okresie 19 miesięcy. Nazwy miesięcy wywodzą się z tradycji babilońskiej:

- | | |
|-------------------------------------|------------------------------|
| 1. tiszri – wrzesień/październik | 7. nisan – marzec/kwiecień |
| 2. cheszwan – październik/listopad/ | 8. ijar – kwiecień/maj |
| 3. kislew – listopad/grudzień | 9. siwan – maj/czerwiec |
| 4. tewet – grudzień/styczeń | 10. tammuz – czerwiec/lipiec |
| 5. szwat – styczeń/luty | 11. aw – lipiec/sierpień |
| 6. adar – luty/marzec | 12. elul – sierpień/wrzesień |

Kol Nidre – aram. „wszystkie śluby”, modlitwa unieważniająca śluby złożone Bogu zbyt pochopnie lub pod przymusem, którą wypowiada się w Jom Kipur. Odnosi się tylko do zobowiązań uczynionych przez ludzi wobec Boga; ślubowanie dotyczące innej osoby nie może być odwołane bez wzajemnego porozumienia.

kreplech – rodzaj pierożków nadziewanych mięsem lub serem.

Kuczki – Święto Szałasów, Sukot – święto trwające 8 dni (w diasporze 9) od 15 dnia tiszri. Przypada jesienią, po zebraniu plonów z pól, sadów i winnic. Charakterystyczna dla tego święta jest wesołość i radość ze zbiorów oraz modlitwy o deszcze i obfite plony w roku następnym. Po niewoli babilońskiej świętu nadano znaczenie historyczne, wiążące je z wyjściem Izraelitów do Egiptu. Szałas budowane z okazji święta mają przypominać wędrówkę przez pustynię.

Powinny mieć przynajmniej trzy ściany i stać pod gołym niebem. W szalasię spożywa się posiłki. Przez wszystkie dni święta odbywają się procesje, podczas których macha się w różnych kierunkach wiązką (tzw. lulaw) złożoną z gałązki palmy, 2 gałązek wierzby, 3 gałązek mirtu i odmiany cytryny zwanej etrog – co ma symbolizować władzę Boga nad całym światem.

Lag ba-Omer – 33 dzień, czyli 18 dzień miesiąca ijar, obchodzony jako półświęto, jedyny dzień między Pesach a Szawuot, kiedy dozwolone jest zawieranie małżeństw, obcinanie włosów oraz różne formy rozrywki. Tradycyjnie dzieci bawią się łukiem i strzałami.

macewa – rodzaj nagrobka utworzonego przez pionowo ustawioną prostokątną płytę kamienną, o prostokątnym, trójkątnym lub półkolistym zwieńczeniu, pokrytą inskrypcją, często zdobioną symbolicznymi płaskorzeźbami, obrazującymi pochodzenie, przymioty czy imię zmarłego.

mały taies – tallit katan – rodzaj kaftanika z białej tkaniny z frędzlami (cyces) w czterech rogach, noszony przez pobożnych Żydów pod górną częścią odzieży przez cały dzień.

mezuz – „odrzwia” – mały zwój pergaminu, zawierający dwa fragmenty z *Księgi Powtórzonego Prawa*. Zwinięty w rolkę pergamin umieszcza się w pudełeczku z drewna, szkła lub metalu z małym otworem, przez który powinno być widoczne słowo „Szaddaj” – Wszechmogący, napisane na odwrotnej stronie zwoju. Mezuzę przymocowuje się przy futrynie drzwi każdego domu żydowskiego, po prawej stronie, w pozycji pochylej. Zwyczaj ten stanowi dosłowne spełnienie nakazu z *Księgi Powtórzonego Prawa*; „Wypisz je (słowa Tory) na drzwiach twojego domu i na twoich bramach”.

Mincha – „ofiara”, synagogałny odpowiednik codziennej ofiary popołudniowej składanej w Świątyni, modły odmawiane o dowolnej porze po południu, przed zachodem słońca.

minjan – zgromadzenie złożone z 10 Żydów płci męskiej powyżej 13 roku życia, niezbędne do odprawiania publicznych modłów w synagodze i niektórych ceremonii religijnych, np. odczytania Tory i odmówienia modlitwy za zmarłych.

Purim – „losy”, Święto Losów – radosne święto obchodzone na pamiątkę ocalenia Żydów w Persji od zamierzonych prześladowań Hamana, ministra króla Achaszwerosa, przypadające 14 adar. Główną częścią obchodów święta jest czytanie *Księgi Estery* podczas nabożeństwa w synagodze. Z okazji święta znajomi przesyłają sobie prezenty, a biednych obdarowuje się żywnością i pieniędzmi. Cechą charakterystyczną tego święta są wesołe zabawy połączone z przebieganiem i maskaradą. Uczta świąteczna przeciąga się do późnej nocy, w tym czasie nakazem religijnym jest wesoła zabawa połączona z nadużywaniem alkoholu.

seder – „porządek” uczta rodzinna pierwszego dnia Pesach charakteryzująca się ściśle określonym porządkiem. Na stół sederowy podaje się trzy mace, maror – czyli gorzkie zioła, charoset – potrawę z jabłek orzechów, cynamonu, migdałów i wina, jajka gotowane na twardo, kość goleniową jagnięcia – symbol ofiary paschalnej, wodę z solą, jarzyny oraz wino. Pan domu łamie środkową macę i część chowa. Kawalek ten starają się odnaleźć dzieci, aby otrzymać słodycze i prezenty. Najmłodszy syn zadaje cztery pytania związane ze świętem, a ojciec odpowiada, wyjaśniając znaczenie obrzędu.

Selichot – modlitwa pokutna.

Siedem Błogosławieństw – *Szewa Berachot* – błogosławieństwa odmawiane pod baldachimem podczas ceremonii ślubnej, po założeniu przez pana młodego pierścienia (obrączki) na palec panny młodej. Pierwsze błogosławieństwo odmawiane jest nad winem, 3 następne chwałą Boga jako stwórcę świata i ludzi, piąte mówi o radości powrotu do Syjonu, szóste wspomina radość pierwszej pary w Raju, siódme dziękuje Bogu za stworzenie „radości i przyjemności, panny młodej i pana młodego”. Błogosławieństwa te powtarza się w ciągu następnych 7 dni, czyli tak długo, jak powinno trwać tradycyjne wesele, w czasie modlitwy po jedzeniu, jeśli obecny jest minjan.

Simchat Tora – „radość Tory” – ostatni dzień Kuczek, podczas którego kończy się roczny cykl czytania Tory. Święto obchodzone od IX w. jako dzień radości i dziękczynienia za dar Tory. Tego dnia z arki wyjmuje się Torę i obnosi ją 7 razy w procesji wokół synagogi.

Miszna – od czasownika „szana” (powtarzać, nauczać) – kodeks prawny, dzieło stanowiące zbiór nauk prawnych judaizmu, przez setki lat przekazywanych ustnie, będących przedmiotem badań wielu pokoleń uczonych różnych szkół i tradycji. Ostatecznie skodyfikowana w II w. przez Judę ha-Nasi. *Miszna* zawiera sześć porządków (sedarim):

I. *Zeraim* (Nasiona) – przepisy dotyczące głównie rolnictwa;

II. *Moel* (Święto) – przepisy odnoszące się do szabatów, świąt i postów.

III. *Naszim* (Kobiety) – przepisy dotyczące kobiet, ślubów i rozwodów;

IV. *Nezikin* (Szkody) – prawo cywilne i karne;

V. *Kodaszim* (Świętości) – prawo dotyczące ofiar, kultu świątynnego i obowiązków kapłanów;

VI. *Tocharot* (Czystości) – o czystości i nieczystości rytualnej oraz sposobach oczyszczania się.

Porządki dzielą się na traktaty (masechtot lub masechot), te z kolei na rozdziały (perakim), a te na paragrafy, lekcje (misznajot).

mykwa – łaźnia, basen z wodą służący do rytualnych oczyszczeń ludzi i sprzętów, skalanych nieczystością.

Neila – zakończenie, modlitwa odmawiana na zakończenie Jom Kipur, po zachodzie słońca.

ohel – „namiot”, rodzaj grobowca w formie małego kamiennego lub drewnianego budynku albo daszku stojącego na 4 słupkach, pod którym umieszczano właściwe płyty nagrobne, przeznaczone dla ważnych osobistości.

Pesach – Święto Przaśników (tzn. niekwaszonego chleba – macy). Zaczyna się 15 nisan, czyli pierwszej pełni księżyca po wiosennym zrównaniu dnia z nocą, i trwa 7 dni (w diasporze 8). Podczas całego święta można spożywać tylko niekwaszone potrawy, a wszelkie rzeczy zakwaszone (chamec) należy usunąć z domu. Pesach jest wiosennym świętem odradzającej się natury oraz początkiem żniw jęczmienia, a zarazem pamiątką wyścia Izraelitów z niewoli egipskiej.

Pouczenia Ojców – *Pirkei awot*, sentencje – jeden z traktatów *Miszny*.

Strasne Dni – Jamim Noraim – 10 dni pokuty i skruchy zaczynających się w Rosz Haszana, a kończących w Jom Kipur, w czasie których należy pokutować i żałować za grzechy, aby, jak głosi jedna z tradycji, zostać zapisanym do księgi życia.

szabat – w Polsce przyjęta nazwa szabas lub szabes – święty dzień przypadający w sobotę (tj. od piątku wieczorem, jako że w żydowskim kalendarzu dzień liczy się od zachodu słońca). W szabat zakazane są wszelkie prace, a więc zapalanie ognia, gotowanie, zajmowanie się handlem i podróże. Ma to być dzień wewnętrznego skupienia, odpoczynku i radości, przeznaczony na modlitwę, odwiedzanie przyjaciół i rozmowy. W piątek wieczorem, po modlitwach w synagodze, urządza się w domu uroczystą kolację. Przed rozpoczęciem szabatu gospodyni rozpala dwie świece i odmawia specjalne błogosławieństwo, ojciec rodziny odmawia kidusz (modlitwę nad kielichem wina) przed posiłkiem. Trzem posiłkom szabasowym towarzyszy odmawianie specjalnych hymnów.

Szaddaj – Bóg

szames – 1. woźny sądowy lub synagogałny, 2. dodatkowa świeca w lampce chanukowej, od której zapala się pozostałych osiem świec.

Szawuot – Święto Tygodni, które obchodzi się 1 dzień (w diasporze 2 dni) 6 siwan – 7 tygodni po święcie Pesach. Święto wiąże się z zakończeniem żniw jęczmienia i rozpoczęciem zbioru pszenicy, dlatego też składano w ofierze dwa bochenki chleba z nowych zbiorów oraz przynoszono do świątyni pierwsze dojrzałe owoce. Później święto stało się rocznicą nadania Tory na Synaju, dlatego główną częścią modlitw jest czytanie Dziesięciu Przykazań. W dzień Szawuot dekoruje się synagogi i mieszkania zielonymi gałązkami i kwiatami, co akcentuje rolniczy charakter święta. Tego dnia tradycyjnie spożywa się wyłącznie potrawy mleczne.

szeloszim – 30 dni żałoby, liczonych od dnia pogrzebu bliskiego krewnego – rodziców, dzieci, współmałżonka. W okresie tym nie można golić i obcinać włosów, żenić się, nosić nowych ubrań, uczestniczyć w radosnych uroczystościach. W przypadku śmierci rodziców żałoba trwa cały rok i codziennie odmawia się kadisz, natomiast dla innych krewnych żałoba kończy się oficjalnie wraz z szeloszim, a kadisz odmawia się w każdą rocznicę śmierci.

Szemone esre – Osiemnaście Błogosławieństw – modlitwa odmawiana na stojąco z twarzą zwróconą w kierunku Jerozolimy. W synagodze modlitwę *Szemone esre* odmawia się najpierw po cichu, a potem powtarza ją głośno osoba wezwana do czytania.

sziva – 7 dni ścisłej żałoby po pogrzebie bliskiego krewnego, w czasie których rodzina zmarłego zbiera się w jego domu, lamentuje i odmawia błogosławieństwo. W tym czasie nie można opuszczać domu, pracować, prowadzić interesów, kąpać się, namaszczać ciała, obcinać i golić włosów, spełniać małżeńskich obowiązków, nosić skórzanego obuwia, studiować *Biblii* (oprócz *Księgi Hioba*, *Lamentacji* i fragmentów *Księgi Jeremiasza*). Pierwszy posiłek po pogrzebie dostarczają sąsiedzi i przyjaciele. Pierwszego dnia nie można zakładać tefilin. W domu żałoby zbiera się minjan, aby odprawiać modły.

Szma albo **Szema** – „słuchaj” – jedna z najważniejszych modlitw w liturgii synagogałnej, nazywana od pierwszych słów: „Słuchaj Izraelu! Pan jest Bogiem naszym, Pan jest jeden!”. Jest integralną częścią porannych i wieczornych modłów. Z czasem *Szma*, a szczególnie pierwszy werset, stała się krótkim żydowskim wyznaniem wiary. Odmawia się ją na łożu śmierci. Przez wieki żydowscy męczennicy idąc na śmierć odmawiali *Szma*.

szochet – rzeźnik uprawniony do rytualnego uboju zwierząt.

Talmud – „nauka, studiowanie” – obszerne dzieło zawierające zbiór praw i przepisów judaizmu (*Miszna*) wraz z komentarzami (*Gemara*).

tales – biały szal, zazwyczaj w czarne pasy, z frędzlami, nakładany przez mężczyznę podczas modlitw.

Tiszeb'aw – dzień postu 9 aw, upamiętniający zburzenie Świątyni.

Tora – „nauczanie, doktryna, nauka” – powszechnie przyjęte znaczenie: Prawo. Odnosi się do pierwszych pięciu ksiąg *Biblii*. Termin ten może oznaczać także zwój *Pięcioksięgu* używany w synagodze.

Zohar – Księga Blasku – główne dzieło żydowskiej literatury mistycznej – kabały.

